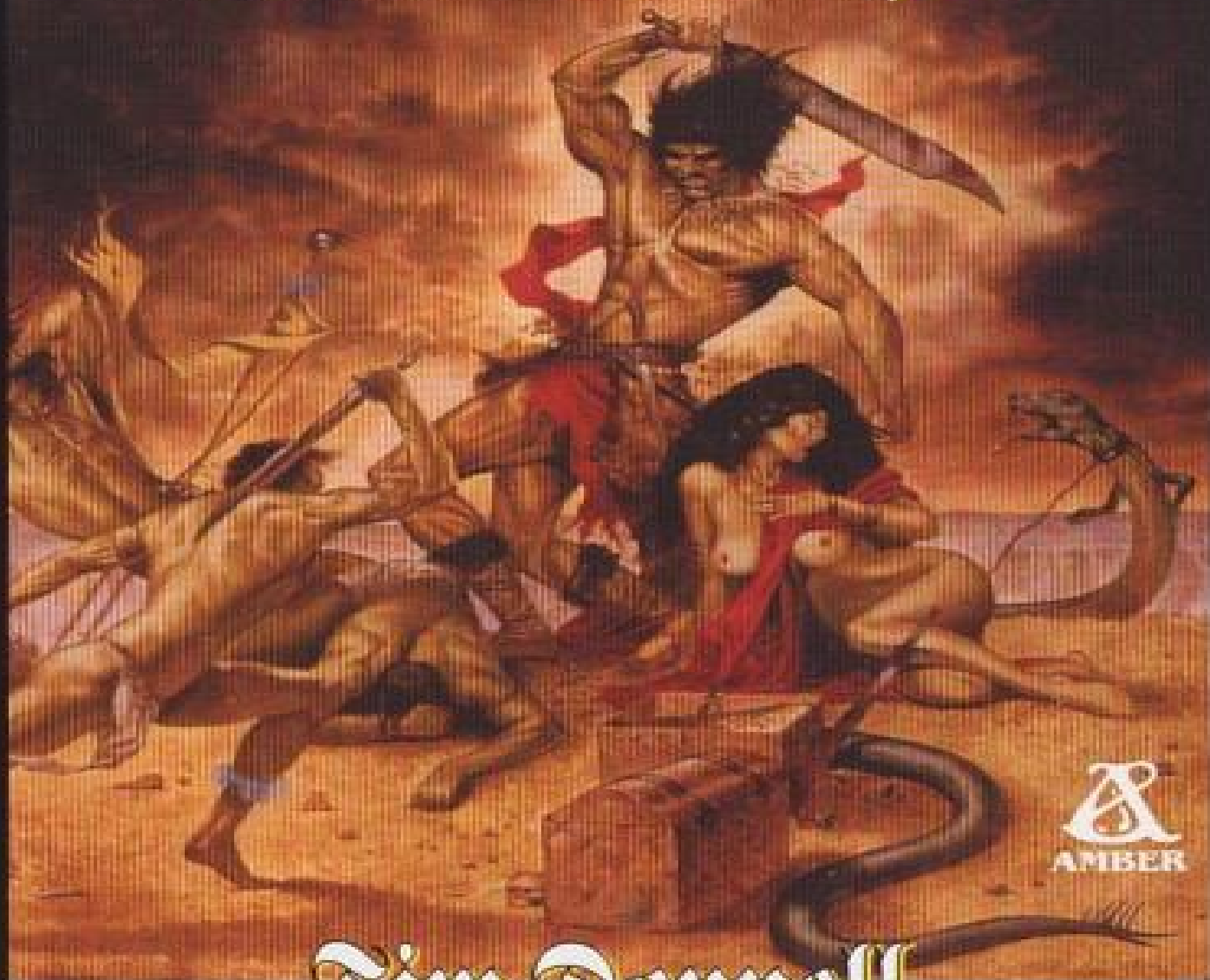


Conan

i szesé wrót strachu



AMBER

Jim Donnell

TIM DONNELL

CONAN I SZEŚĆ WRÓT STRACHU

(PRZEŁOŻYŁA EWA SKÓRSKA)

I

Tego dnia od samego rana niezrozumiały niepokój dręczył Conana, potężnego króla Aquilonii. Władca na próżno szukał przyczyny. Po sławnych zwycięstwach nad wrogami życie w królestwie, którym władał mądrze i surowo, płynęło spokojnie, nie dając powodów do niepokoju. Ale mimo to coś męczyło go przez cały dzień. Wieczorem, gdy skończył już ze sprawami państwowymi, poszedł do komnat królowej Zenobii. Miał

nadzieję, że przy niej uda mu się uwolnić od trosk. Szedł szybko korytarzami pałacu, nie zwracając uwagi na kłaniające się z szacunkiem sługi. Czarne włosy rozsypały mu się na ramionach, niebieskie oczy spoglądały posępnie spod zmarszczonych brwi. Ale gdy za prowadzącymi do komnat Zenobii drzwiami usłyszał znajomy śmiech, rozjaśniła mu się twarz i do komnaty królowej wszedł pogodny. Zenobia go nie zauważyła. Stała ze swoimi damami przy oknie i karmiła tresowane gołębie, mieszkające wysoko nad dachami pałacowych wież. Przestraszone pojawieniem się czarnowłosego giganta ptaki z szumem sfrunęły z parapetu. Zenobia wiedziała, kto stoi za jej plecami, i odwróciła się szybko.

Wystarczyło jedno spojrzenie na ukochanego, by zrozumiała, że dręczy go jakiś niepokój.

Gestem odprawiła damy.

■ Co się stało, mój miły? ■ zapytała. ■ Uśmiechasz się, ale widzę, że ciężko ci na duszy.

■ Sam nie wiem, co mnie dręczy. W królestwie spokój, gońcy nie przynieśli żadnych złych wieści, a jednak... Ty niczego nie czujesz?

■ Nie, najdroższy. Tylko od rana bardzo chce mi się spać. Kazałam damom śpiewać, nawet potańczyłyśmy trochę, potem karmiłyśmy gołębie...

Conan dopiero teraz zauważył, jaka jest blada i jakie zmęczone ma oczy.

■ Zaniosę cię do sypialni. Jutro obudzisz się wypoczęta i wesola jak skowronek ■

powiedział i lekko, jak dziecko, wziął ją na rękę.

W sypialni kazał służebnym pomóc pani przebrać się w strój nocny. Gdy całował

Zenobię na dobranoc, już prawie spała. Wszedł cicho.

Sen pochłonął Zenobię jak woda. Wciągnął w czarne, grząskie odmęty, spętał jej ręce i nogi,

zdlawił wyrywający się z gardła krzyk. Wydawało się jej, że całą wieczność próbuje otrząsnąć się z tego koszmaru, okrucami świadomości pojmując, że to sen. A jednocześnie wszystko działo się jakby na jawie... Straszna, hipnotyzująca, czarnoksięska realność. Czyjaś wola bawiła się nią jak burza suchym listkiem.

Przed szeroko otwartymi, przerażonymi oczami przesuwaly się niewyraźnie cienie.

Czasem przyjmowały jakieś kształty, czasem rozplywały się, tworząc jaskrawe plamy, sploty kolorowych spiral, miriady migoczących w ciemności punktów. Umysł królowej wycieńczony był zmaganiem się z koszmarem. Wydawało się, że jeszcze chwila i sama rozpadnie się na miliony iskier i rozplynie w ciemności. Wtedy królowa poczuła, że mrok patrzy jej w oczy.

! Ragon Sath... Ragon Sath... Ragon Sath... ! rozległ się w jej mózgu szept.

Znowu zaczęła się szamotać, chcąc wyrwać się z upiornego koszmaru, ale gardło ścisnęła jej ostra, żelazna obręcz i wszystko utonęło w purpurowym lśnieniu i jej własnym krzyku...

Potem zapadła cisza. Przed oczami kołysał się szary półmrok, gdzieś daleko słyhać było jakieś szelesty. Stopniowo dźwięki stawały się coraz głośniejsze i bliższe.

Królowa próbowała wyłowić choćby słowo i w tym momencie ciemna zasłona rozerwała się i światło chlusnęło w jej otwarte oczy. Głosy zamilkły na chwilę i natychmiast odezwały się znowu.

! Ocknęła się! Królowa otworzyła oczy! ! zaświergotał radosny młody głosik.

! Rozcieraj jej ręce, Imma, nie przerywaj! ! polecił władczo surowy, męski głos i Zenobia zobaczyła pochyloną nad sobą twarz. Kiedyś, dawno, całą wieczność temu, знаła te. twarz... Jej usta poruszyły się w niemym pytaniu. Mężczyzna zrozumiał, nachylił się.

! To ja, królowo ! odpowiedział cicho. **! Medyk Damunk. Za chwilę poczujesz się lepiej. !** Podsunął jej flakonik z jakimś aromatycznym specyfikiem. Ostry zapach natychmiast rozpędził mgłę, spowijającą świadomość. Barwy, dźwięki, wspomnienia zalały ją jak fala i koszmar odpłynął gdzieś daleko, ustępując miejsca znajomemu życiu.

Wyczerpana królowa leżała na swoim łóżu. Wygląd pościeli świadczył o tym, że przez całą noc walczyła z tuzinem wrogów. Nawet ciężka, wisząca na łóżem zasłona walala się na podłodze rozerwana. Jej nocny strój również był w strzępach. Tak walczyła królowa, by wyzwolić się z niewoli swojego snu.

Przełęcznione służebne kulily się z boku. Prawie całą noc próbowały obudzić królową, ale koszmar nie wypuszczał jej ze swych mocnych objęć. Przybiegł ze swoich komnat zaniepokojony król Conan i on dopiero zdołał unieruchomić miotającą się i jęczącą Zenobię.

Nadwornemu medykwowi Damunkowi i jego zręcznej, małej pomocnicy udało się rozbudzić

królową dopiero rannem. Conan trzymał jej wijące się ciało, a delikatne, silne ręce Immy mocno nacierały dłonie i stopy Zenobii leczniczymi maściami. Medyk przez cały czas podsuwał jej pod nos flakon z aromatycznym ziołem. Gdy królowej udało się wreszcie otworzyć oczy i popatrzyła zamglonym wzrokiem gdzieś w górę, pochylił nad nią swoją siwą głowę, próbując pochwycić jej wzrok i uwolnić od koszmaru.

! To ja, Damunk, królowo! Medyk Damunk!

W oczach Zenobii pojawił się błysk zrozumienia i rozejrzała się wokół, widać było, że wraca jej pamięć. Jeszcze jedna twarz pochyliła się nad nią i zobaczyła niespokojne, niebieskie oczy, niepokorną grzywę czarnych włosów, mocno zarysowane usta. Twarz, której każdą zmarszczkę i każdą bliznę tak dobrze знаła, straszną w gniewie i szczerą w radości, teraz wykrzywał grymas niepokoju i męki. Wyschnięte wargi królowej rozchyliły się.

! Ratuj mnie, Conanie! ! szeptała, z trudem poznając swój głos. Ręce męża delikatnie ścisnęły kruche ramiona królowej.

Conan uniósł jej głowę i odsunął splecione pasma włosów.

! Bogowie! Co to?! ! rozległ się zduszony okrzyk medyka.

Białą szyję Zenobii otaczała wąska, purpurowa szrama, przypominająca ślad po obrożu. Conan dotknął jej ostrożnie koniuszkami palców. Królowa odchyliła głowę i jęknęła. Ciało jej przeszły ostry ból, w pamięci rozbłysło groźne imię **! strach i udręka nocnych widziadeł.**

! Ragon Sath... Ragon Sath...

! Ragon Sath... Ragon Sath... ! powtórzył jak echo Damunk. **!Natrafilem na to imię w starożytnych czarnoksięskich księgach... To straszny mag, który zabija we śnie. Chce czegoś od ludzi i ludzie giną, wypełniając jego wolę...**

! Klnę się na Croma, że nie oddam mu królowej! Nie bój się, jestem przy tobie, jestem przy tobie! ! Conan gładził czule ręce, włosy i czoło pięknej Zenobii, aż zasnęła spokojnym snem. Służebne i mała Imma zostały przy niej, gotowe w każdej chwili wyrwać królową ze szponów strachu. Damunk zaprowadził Conana do swojego pokoju, gdzie stały na półkach starożytne magiczne księgi, a na stołach leżały stosy zwojów z receptami leków i zaklęciami.

Tutaj, w ciemnym pokoju przesiąkniętym kurzem i odstraszającymi myszy ziołami, wśród traktatów, kryjących w sobie śmierć i ratunek, król Conan usiadł

naprzeciw medyka. Ten sięgnął po ciężką, grubą księgę w skórzanej oprawie ze srebrnym zamknięciem i zaczął przewracać poźółkle kartki. Conan długo czekał, aż wreszcie zaczął tracić cierpliwość.

! No, znalazłeś coś o tym pomocie Nergala? ! zapytał. ! Jest tam coś o Ragonie Sathu?

! Imię Ragon Sath w starożytnym stygijskim narzeczu oznacza „Zniewolony Wiecznością”. W tej starej księdze napisano, że swoimi zbrodniami rozgniewał i bogów, i demonów.

! I cóż, bogowie i demony nie mogli go po prostu zabić? Dlaczego nadal żyje i czyni zło?

! My, ludzie, nie zawsze możemy pojąć zamysły bogów... Może śmierć byłaby zbyt lekką karą...

! Zbyt lekką? Co może być gorszego od śmierci?

! A ty, panie, co byś wybrał ! śmierć czy niekończącą się mękę samotności?

Więzienie, w którym jesteś sam ze sobą sto, tysiąc, dwa tysiące lat i z którego nie możesz uciec?

! Masz rację, Damunku, wybrałbym śmierć... ! odpowiedział z niechęcią Conan. !

Ale czego on chce od ludzi?

! Obiecano mu wolność, jeśli śmiertelnik zrobi dla niego coś, czego dokonać może tylko czarownik. Wątpliwa szansa. I posyła ludzi na pewną śmierć.

! I teraz chce tego od Zenobii? Od słabej kobiety?

! Nie wiemy, czego chce. Może kobieta zdołałaby tego dokonać, a może kryje się za tym coś innego. W księdze niczego więcej już nie ma... Tylko tyle, że Ragon Sath ma władzę nad ludźmi jedynie nocą, we śnie...

Królowa... Conan zacisnął pięści, wściekły, że nie potrafi obronić jej przed obcą wolą. Starożytne księgi, które przeglądał Damunk, nie zawierały żadnych zaklęć i specyfików, które mogłyby pomóc i odegnąć czar.

Fotel, w którym siedział król, przewrócił się z loskotem, zwoje pospadały na podłogę, trzasnęły drzwi. Damunk zaczął troskliwie zbierać z podłogi swoje skarby.

Gdy Conan wrócił do sypialni Zenobii, królowa już się obudziła. Unosząc się na pomiętych poduszkach, rozglądała się ze zdumieniem. Conan wszedł, odesłał służebne skinieniem głowy i rozkazał Immie przynieść wina. Usiadł obok królowej. Czerwona szrama na jej szyi, która rano tak przeraziła Damunka, zbladła i ledwie odcinała się od białej skóry różową blizną.

! Co się stało, Conanie? Kto śmiał urządzić tu takie pobojuwisko? Moja ulubiona zasłona rozdarta! Bogowie, co to znaczy?

Królowa dopiero teraz zauważyła, że jej ciało jest ledwie osłonięte strzępami lekkiej tkaniny, która jeszcze wczoraj była pięknym, nocnym strojem. Przerazona zerwała się z łoża. Splątane

włosy rozsypały się na nagich ramionach, oczy miały błyskawice gniewu.

! Niczego nie pamiętam! Wytłumacz mi, co się stało. Gdy wyszedłeś wieczorem, wszystko było jak zwykle. A teraz coś takiego! Co się stało z moimi włosami? Cały dzień spędzę w fotelu, zanim służebne je rozczeszą! ! Tupnęła gniewnie, próbując rozplatać pasmo włosów.

! Niczego nie pamiętasz? Nie pamiętasz, co ci się śniło?

! Nic mi się nie śniło! Kiedy wyszedłeś, zasnąłam mocno, teraz się budzę ! a tu coś takiego! Co powinnam pamiętać? Przecież ja tego wszystkiego nie zrobiłam. A może chcesz powiedzieć, że ja?... ! Zamilkła nagle, z przerażeniem patrząc na udręczoną twarz Conana. Król skinął głową, nachylił się, objął ją i czule pogładził jej włosy. Królowa spojrzała w okno i zauważyła, że słońce chyli się ku zachodowi i wieczorne cienie kładą się pod drzewami. Odwróciła się gwałtownie.

! Już wieczór! ! krzyknęła. ! Tak długo spałam? Nie męcz mnie, Conanie, powiedz, co się stało.

Gdy piła wino, a raczej nalewkę na leczniczych ziołach, i jadła przyniesione przez Imnę potrawy, Conan opowiedział jej o wydarzeniach minionej nocy. Królowa wysłuchiwała go zdumiona, raz jeszcze rozejrzała się po pokoju i kazała służebnym zrobić porządek. Gdy jedne sprzątały, doprowadzając sypialnię do poprzedniego stanu, inne ostrożnie rozczesywały włosy Zenobii. Siedziała przed zwierciadłem, nie spuszczając wzroku z różowej blizny na szyi.

Stąpając cicho po grubym kobiercu, do sypialni wszedł Damunk i stanął przed królem.

! Niczego nie pamięta i nie bardzo wierzy w to, co jej opowiedziałem ! zaszeptał

Conan, nie spuszczając wzroku z Zenobii. ! Nadchodzi noc. Co robić? Nie odejdę od niej nawet na krok, ty też zostaniesz ze swoimi lekami. Teraz muszę na chwilę wyjść, wydać pewne polecenia, bo gońcy czekają od rana. Siedź tu i nie spuszczaaj z niej oka!

Conan wyszedł, a królowa przez cały czas patrzyła na swoje odbicie, wodząc palcem po różowej bliznie, i próbowała coś sobie przypomnieć. Gdy służebne rozczesaly wreszcie jej włosy i zaplotły w dwa ścisłe warkocze, słońce skryło się już za drzewami i tylko chmury płonęły jeszcze purpurą.

Conan wrócił do Zenobii, gotów spędzić przy niej całą noc. Mimo woli zachwyił

się swoją królową, tak pięknie wyglądała w nowej sukni z lekkiego, lejącego się materiału, z dumnie uniesioną głową i zaciśniętymi, stanowczymi ustami. Stojąc obok swojego rozkosznego łóża, w zadumie dotykała haftowanej zasłony.

! Nie będę spała tej nocy ! powiedziała. ! Bądź przy mnie, nie pozwól mi zasnąć!

To, co opowiedziałeś, było takie straszne... Boję się, że umrę nagle, jak tamci, których czarownik zabił we śnie.

! Jestem z tobą i nigdzie nie odejdę. I Damunk tu zostanie, i Imma. Będziemy rozmawiali przez całą noc, a rano spokojnie zaśniesz. Imma, powiedz, by przyniesiono kości. Na pewno ma je któryś ze strażników. Nauczę was tej rozbójniczej gry i tak się wciągniecie, iż nawet do głowy wam nie przyjdzie, że noc została stworzona do spania.

Noc jest po to, by grać i opowiadać różne niewiarygodne historie! Damunk zacznie jako człowiek uczony. Tylko żadnych poważnych traktatów, lepiej przypomnij sobie młode lata, gdy uganiałeś się za spódniczkami! ! Król dał mieszanemu medykwowi sójkę w bok i z radością zauważył filuterny uśmiech na wargach Zenobii.

Imma wróciła z tacą odświeżających napojów i słodyczami dla królowej, idący za nią sługa nieśmiało postawił na stole kubek z kośćmi. Gdy wyszedł, wszyscy czworo usiedli na kobiercu i czcigodny Damunk zaczął snuć tak nieprawdopodobną opowieść, że Conan zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie spotkali się kiedyś na ulicach Shadizaru, gniazda złodziei i rozbójników. Zenobia chichotała, a mała Imma rzucała surowe spojrzenia na swojego nauczyciela, z niedowierzaniem potrząsając kędzierzawą główką. Medyk zakończył swoją opowieść z widoczną ulgą i król miał właśnie nauczyć swą królową gry w kości, gdy nagle poczuł, jak leżąca na jego ramieniu ręka zsuwa się.

Pogrążona w głębokim śnie Zenobia upadła na kobierzec.

Conan próbował obudzić królową, ale zmarszczyła tylko brwi jak kapryśne dziecko i zwinęła się w kłębek. Król wziął ją na ręce i ostrożnie położył na łożu, nie spuszczając wzroku ze spokojnej twarzy. Wydawało się, że nic nie może zakłócić bez troski tego snu.

Czas płynął powoli, cisza nocy kołysała do snu. Imma drzemiała w fotelu z głową opartą o poręcz. Damunk walczył ze snem, chodząc z kąta w kąt i oglądając znajome umeblowanie królewskiej sypialni.

Wykwintna rzeźba drewnianych płyt ozdabiających ściany, tak zabawna za dnia, teraz, w migotliwym świetle samotnego świecznika wydawała się kryć w sobie groźbę.

Małeńkie skrzydlate smoki ganiały się, chowając się wśród kwiatów i liści. Drżące światło płomieni ożywiało miniaturowe potworki, a one wily się, machając błoniastymi skrzydłami. Kwiaty wzdychając żalostnie, poruszały płatkami. Medyk zmrużył oczy i potrząsnął głową, odganiając przywidzenie.

Zenobia spała spokojnie. Conan już miał nadzieję, że koszmar się nie powtórzy, gdy jej wargi wykrzywił ból. Rozległ się cichy, żalostny jęk. Głowa królowej odchyliła się konwulsyjnie do tyłu, ręce podniosły się do szyi, próbując uwolnić ją od czegoś niewidocznego. I znowu królowa szamotała się jak schwytyany ptak, a Conan znowu próbował utrzymać ją na łożu, ściskając w silnych objęciach. Małe ręce odpychały go z nieludzką siłą, ciało szamotało się i wilo, wrywając

się z niewidzialnej niewoli. Na szyi królowej zaśniła wąska, żelazna obroża.

Medyk próbował podejść do Zenobii ze swymi specyfikami, ale został

odepchnięty. Tylko potężne ręce Conana zdołały utrzymać królową. Zwierzęcy instynkt Cymmerianina podpowiedział mu, że walczy teraz ze złośliwą, wrogą siłą. Przyciskając do siebie zawsze tak pożądane ciało Zenobii, pojął, że dla uwolnienia się od obcej woli nieszczęśliwa królowa musiałaby się zabić.

Gdy Damunk i Imma znowu podeszli do łóża, próbując podsunąć flakoniki, Conan nie rozluźnił stalowych objęć.

! Nie podchodźcie! Czekaście do rana! Odejdźcie! ! zaryczał przez zaciśnięte zęby.

Długo jeszcze ciągnęła się walka z czarnoksiężką mocą, która zawładnęła ciałem pięknej kobiety. Conan spostrzegł, że gwiazdy pogasły i niebo zaczyna szarzeć. Co przyniesie królowej ten poranek? Czy zobaczy jeszcze słońce, czy otworzy jasne oczy i zaśmieje się swym radosnym śmiechem? Gdzie jest teraz, jakie męki przeżywa jej dusza we władaniu demona?

! Na Croma! Nie oddam cię! Wrócisz! Wrócisz! ! szeptał ochryple Conan, nie wypuszczając z objęć miotającej się królowej.

Nagle wszystko się uspokoiło. Królowa leżała na łóżu nieruchoma jak posąg.

Conan dyszał ciężko. Puścił ramiona żony i wpatrzył się w zastygłą twarz. To nie jej twarz! Ona nie miała takiego wyrazu, jej wargi nie wykrzywiały się tak wyniośle i władczo! Oczy Zenobii były zamknięte, lecz Conan miał wrażenie, że patrzą na niego przez opuszczone powieki.

! Niech oni odejdą! ! wymówiła nagle królowa obcym, władczym głosem, od którego powiało śmiercią. **! Niech odejdą szybko! Ty zostań!**

Damunk chciał coś powiedzieć, ale Conan popchnął go wraz z przerażoną dziewczyną do drzwi, zamknął zasuwę i wrócił do Zenobii. Królowa usiadła powoli, niczym ożywiony marmurowy posąg. Ciężkie powieki uniosły się i na Conana popatrzyły ogromne, lśniące blaskiem ognia i śniegu oczy. Wargi poruszyły się, wypowiadając cudze słowa.

! Królowa jest w mojej władzy! Może umrzeć, ale może też żyć! Jeśli nie zajmiesz jej miejsca, każdej nocy będę do niej przychodził. Ty jesteś mi potrzebny, barbarzyńco, tylko ty!

Serce Conana rozrywały ból i wściekłość. Miał przed sobą strasznego wroga, którego nie mógł zabić. Nie miał wyboru, musiał się przed nim ukorzyć.

! Uwolnij ją, zgadzam się na wszystko! ! Jego głos drżał z gniewu, paznokcie wbily się w dłoń, aż ukazała się krew.

! Wiedziałem, że się zgodzisz. Wy, ludzie, wszyscy jesteście jednakowi. Jutro w nocy zanikniesz się w swojej sypialni i będziesz czekał. Ja, Ragon Sath, chcę cię zobaczyć!

A teraz żegnaj!

Ciało królowej opadło nagle na poduszki. Rozległ się cichy brzęk i na podłogę stoczyła się pęknięta metalowa obroża. Conan rzucił się do drzwi i rozsunął zasuwę. Do sypialni wbiegł medyk i jego mała uczennica. Zaczęli się krzątać przy Zenobii, cucąc ją.

Conan podniósł z podłogi obręcz i podszedł do okna, aby ją lepiej obejrzeć.

Przypominający wypolerowane żelazo metal lodowatym zimnem parzył palce. W

pierwszej chwili chciał go odrzucić jak jadowitą żmiję, ale opanował się i zaczął oglądać tajemnicze znaki, zdobiące czarnymi zygzakami obręcz. Już chciał zawołać Damunka i pokazać mu czarnoksiężskie pismo, ale na obręcz padł różowy promień wschodzącego słońca i przekłęta obroża roztopiła się, zamieniając w smużkę dymu. Tylko palce ciągle piekły jak poparzone.

Zenobia leżała wpatrzona w sufit niewidzącymi oczami. Jej twarz w ciągu tej nocy zapadła się, włosy straciły blask, blade usta spierzchły i popękały. Conan uniósł

bezwładne ciało żony i medykowi udało się wlać przez zaciśnięte usta kilka kropel wina.

Królowa zamknęła oczy i położono ją ostrożnie na poduszki. Spokojny sen spędził

grymas męki z pobladłej twarzy i pozwolił odpocząć wycieńczonemu ciału.

Pod drzwiami królewskiej sypialni stały przerażone damy, pałac zamarł w oczekiwaniu nieszczęścia.

Conan wyszedł z pokoju Zenobii, szczelnie zamykając za sobą drzwi. Życie toczyło się dalej, sprawy królestwa były nie mniej ważne od życia królowej. Conan oznajmił, że królową dręczyły koszmary i teraz odpoczywa. Usług dworzan na razie nie potrzebuje, medyk i służebne troskliwie się nią zajęli.

Dzień płynął swoją koleją. Kwestie państwowe król rozwiązywał szybko i zdecydowanie i do wieczora w pałacu zapanował spokój. Conan zwolnił ostatniego gońca i pospieszył do Zenobii. Patrząc na jego spokojną twarz, nikt nie domyśliłby się, że coś króla dręczy. Jak się czuje jego żona? Od medyka nikt nie przychodził, a więc nic strasznego się nie działo. Zbliża się noc... Co przyniesie? Co będzie jutro? I czy w ogóle będzie? Potrząsnął głową, odpędzając wątpliwości. Wszystko będzie ! i jutro, i całe długie życie! Po prostu nadeszła pora, by zmierzyć się z jeszcze jednym magiem. Tylu ich już było! Conan uśmiechnął się, z doświadczenia wiedział, jak wobec jego niezłomnej woli słabi okazują się czasem czarownicy. Z uśmiechem wszedł do sypialni Zenobii.

Tak samo jak wczoraj siedziała przed lustrem, ubrana w odświętną suknię, z wysoko upiętymi włosami. Mocny sen przywrócił rumieńce i świeżość jej twarzy, zapalił

blask w oczach. Odwróciła głowę i uśmiechnęła się do męża. Jego oczy szukały śladu po czarnoksiężskiej obroży, ale podtrzymująca dumną głowę smukła szyja lśniła nieskazitelną bielą.

! Co się ze mną dzieje, Conanie? Tak późno się budzę. Zbliża się wieczór, a ja dopiero wstałam. Ale tak się wspaniale czuję! Chcę pójść do ogrodu. Rozkaż, by przygotowano kolację w ogrodzie, będziemy się do późna weselić. Niech grają muzykanci, mam ochotę tańczyć.

! Rad jestem, że obudziłaś się w dobrym humorze. Zaraz nakryją stoły w ogrodzie, będziesz panią naszego nocnego święta. Niech muzyka gra głośno, abym i ja mógł ją słyszeć. Niestety, muszę na całą noc odosobnić się z Damunkiem. Wierz mi, że to bardzo ważna sprawa! Rano o wszystkim mi opowiesz. Tylko uważaj, nie uśmiechaj się za bardzo do młodego Homara, inaczej będę musiał odesłać go do odległego garnizonu na pożytek żmijom i żabom! Wybacz, na mnie już czas. Baw się za nas dwoje, ukochana.

Damy otoczyły królową i nie zdążyła rozgniewać się na Conana. Znowu się uśmiechnęła. Wieczorem w ogrodzie było cudownie. Na drzewach zapalono małe lampionki, przywieszane z zamorskich krajów, grali schowani w zarośniętej bluszczem altance muzykanci.

Królowa przypięła do włosów wonny kwiat i siadła u szczytu długiego stołu.

Postanowiła, że dzisiaj musi zawrócić w głowie młodemu Hotnarowi. Jutro niech go wyślą do najdalszego garnizonu, do Piktów i żab! Ważne sprawy z medykiem, myślałby kto! Uważaj, Conanie, żebyś nie pożałował!

Muzyka zaczęła grać głośniej, zadźwięczały puchary. Słudzy biegali z ogrodu do pałacowej kuchni i z powrotem, uginając się pod ciężarem półmisków i srebrnych dzbanów z winem.

Zasepiona królowa spoglądała od czasu do czasu na pusty fotel, przeznaczony dla Conana. Ale szybko filuterny uśmiezek wracał na karminowe usta, pochylała głowę i przesłaniając oczy firankami rżęs, słuchała szeptu Homara. Ten młody szelma ze świty króla zawsze umiał tak manewrować, by znaleźć się przy niej, gdy Conana nie było w pobliżu. Bez wytchnienia wychwalał jej urodę. Gdy musiał towarzyszyć królowi, szukał

jej płomiennym wzrokiem i królowa często czuła, jak pożera ją oczami. Conan wyśmienicie bawił się całą tą sytuacją i wieczorami chichotali oboje nad szamoczącą się na haczyku miłości rybką.

Teraz jednak Zenobia była zła na Conana. Czuła, że zachowuje się zbyt frywolnie, ale kobiece pragnienie uwielbienia popychało ją do tej niebezpiecznej gry.

Tymczasem na jasno oświetloną różnobarwnymi lampionami, niewielką polankę wyszła mała para. Pociężne karzelki, specjalnie przywieszane z bardzo daleka, miały być rozrywką

aquilońskiego dworu. Fanaberia ta kosztowała króla dwie sztabki złota.

Sięgające normalnemu człowiekowi najwyżej do pasa zgrabne istotki o pięknych, gładkich twarzach, ufnych, brązowych oczach i wijących się kasztanowych włosach wyglądały jak wieczne dzieci, jak rodzeństwo. Byli to jednak dorośli ludzie, choć nikt nie wiedział, ile mają lat. Cienkie i przenikliwe jak świergot ptaków głosiki zawsze bawiły Zenobię, a pieśni miłosne w ich wykonaniu śmieszyły do łez.

Teraz pocieszne liliputy odziano w stroje, stanowiące kopię strojów królewskiej pary, a ich głowy zdobiły złote obręcze. Ogromny miecz, który miał przypasany karzelek, zaczepiał o nogi dworzan, co wywoływało salwy śmiechu.

Karzelki tańczyły bardzo dostojnie. Kłaniały się sobie i rozchodziły z poważnymi minami, by znowu chwycić się za ręce i krążyć majestatycznie. Miecz plątał się w trawie, zaczepiał o spódnicę maleńkiej królowej, ale tancerze obracali się spokojnie, kłaniając się wyniośle i kiwając dłońmi.

Zenobia niemal płakała ze śmiechu. Z trudem ściągnęła z ręki drogocenną bransoletę i rzuciła ją maleńkiemu królowi. Ten pochwycił ją zręcznie, uśmiechnął się z wdzięcznością i z poważną miną założył na rękaw. Inni dworzanie również zaczęli rzucać błaznom klejnoty i maleńka królowa zbierała je z dostojnością w podolek niczym dojrzałe jabłka, co wywołało nowe wybuchy śmiechu. Muzyka zabrzmiała głośniejsze i na miejsce liliputów na polanę zaczęły wychodzić nowe pary. Kawalerowie i damy wirowali w tańcu, rozkoszując się chłodem nocy. Królowa tańczyła z Homarem. Jej zagadkowy uśmiech drażnił i dawał nadzieję.

Odgłosy świętowania dolatywały do sypialni, gdzie król wydawał ostatnie polecenia medykowi i dwóm potężnym strażnikom. Wierni żołnierze z jego osobistej ochrony wiele wiedzieli i milczeli jak grób. Teraz mieli pełnić nocną wartę przed drzwiami królewskiej sypialni, a rano być pod ręką, by ocucić Conana, jeśli czarnoksiężnik sam go nie uwolni. Malutka pomocnica medyka w przeczuciu, że chcą ją odesłać, patrzyła błagalnie na Conana. Król wiedział, dlaczego Imma chce zostać. Dawno już odgadł jej prawdziwe uczucia. Gdy nacierała leczniczymi maściami jego zmęczone wielodniowym polowaniem nogi lub masowała mu ciało, przywracając stwardniałym węzłom mięśni miękkość i sprężystość, w drzeniu jej mocnych rąk czuło się coś więcej niż tylko starania służące. To były miłosne pieśczęty, które zdradzały ją tak samo jak przymknięte oczy i drżące od skrywanej czułości usta.

Gdzieś w głębi duszy Conana odzywał się odzew na to nieśmiałe wezwanie.

Wiedział, że kiedyś porwie w objęcia smukłe, ciemne ciało, zanurzy twarz w niesfornych, czarnych kędziorach i głęboko zajrzy jej w oczy. Jaki mają kolor? Złoty? Zielony? Nigdy nie mógł ich zobaczyć. Przyjemnie było pomyśleć, że to wszystko będzie... Ale nie teraz...

Kiedyś, potem...

Chciał ją odesłać, aby nie widziała go w chwili niemocy, a może nawet śmierci, ale jej oczy

patrzyły tak zdecydowanie i jednocześnie błagalnie, że król się poddał.

I Dobrze, Imma. Ty też zostaniesz. Przygotuj wino **I** to twoje wspaniałe wino na ziołach, zdolne ożywić umarłego. Rano rozcieraj mnie jak najmocniej. Doskonale wiem, jak silne są twoje dłonie.

Imma rozpromieniła się na tę pochwałę i posłuszna skinieniu Damunka pobiegła przygotować medykamenty. Conan kazał medykwowi zapamiętać wszystko, co będzie mówił rano, po czym zamknął się w sypialni.

Drzwi zatrzasnęły się, brzęknęła zasuwka i Damunk przygotował się na całonocne czuwanie. Strażnicy zamarli po obu stronach drzwi niczym brązowe posągi. Wsparci o halabardy, gotowi byli raczej umrzeć, niż wpuścić kogokolwiek do króla.

Conan przeszedł się po sypialni, słuchając oddalonych dźwięków muzyki i wybuchów śmiechu, postąpił chwilę przy oknie, wdychając upajający aromat kwitnącego ogrodu, potem zdecydowanym ruchem zamknął okno i podszedł do łóżka. Można by pomyśleć, że niedaleko czeka osiodłany koń, a on sam wybiera się w niebezpieczną podróż. Jak kiedyś, gdy wędrował po świecie, walcząc mieczem i toporem, tak i teraz miał

na sobie luźną tunikę, szeroki pas z kindzalem, a na nogach mocne sandały. Po chwili wahania przypiął do pasa miecz ze wspaniałej stali, zdolny przecinać kamienie. To był

dawny Conan **I** wojownik, pirat, poszukiwacz przygód. Na czole zamiast złotej obręczy z ogromnym, skrzącym się kamieniem **I** symbolem królewskiej władzy **I** widniał zwykły skórzany rzemień, ściągający niesforne, czarne włosy.

Przysiadł na łóżku w oczekiwaniu nieznanego niebezpieczeństwa, ale zamiast tego poczuł przyjemne kołysanie. Wydawało mu się, że jest małym chłopcem, zmęczonym i śpiącym. I oto ma przed sobą łóżko i poduszki, takie upragnione i kuszące. Po chwili ułożył się wygodnie w pościeli, podkładając pod policzek potężną rękę. Na surowych ustach pojawił się szczęśliwy uśmiech i król zasnął spokojnie i beztrąsko jak w dzieciństwie.

II

Conan pędził ze straszliwą prędkością przez czarne spirale snów. Rozmazane postacie przelatywały obok niego jak niewyraźne plamy i rozplywały się gdzieś z tyłu.

Wydawało się, że ten lot **I** bez uczuć, bez świadomości siebie **I** trwać będzie wiecznie, ale migotanie niewyraźnych plam zatrzymało się nagle i Conan zawisł w pustce, klnąc w myślach i wspominając wszystkie demony, jakie tylko znał. Wymacał miecz, jednym szarpnięciem wyciągnął go z pochwy i zrobił zamach, próbując przeciąć niewidoczną pa-jęczynę, która nie pozwalała mu zwyczajnie stanąć na ziemi. Ale nie było co przecinać ani na czym stanąć. Strzępy mgły wisiały w pustce tak samo jak on sam **I** potężny król Conan.

Wściekle przekleństwa wyrwały mu się z gardła, ale zdradziecka mgła tłumila je jak przyciśnięta do twarzy poduszka.

Nagle rozległ się dźwięk, od którego zatykało uszy, szare strzępy zatrzepotały i zaczęły rozplywać się na boki. Od straszliwego chichotu, huczało mu w mózgu, a oczy wyszły z orbit. Na granicy utraty przytomności, ale mocno ściskając w drętwiejącej ręce broń, Conan spadł w dół z potwornej wysokości.

Upadł na coś miękkiego i zerwał się od razu. Stał na lekko ugiętych nogach, z mieczem w rękę, gotów odeprzeć każdy atak. I znowu rozległ się wywracający wnętrności i wywołujący drzenie kolan ohydny chichot. Niewiarygodnym wysiłkiem woli pokonał zdradziecki dygot, oczy ze wściekłości napłynęły mu krwią i odwrócił się gwałtownie, szukając wroga.

Wróg był tutaj. Choć oczy widziały tylko dziwny pokój i stojący na złotym podwyższeniu lśniący, przezroczysty tron, Conan czuł jego obecność każdą cząstką swego ciała.

Nie wypuszczając miecza, cały czas gotów do szybkiego skoku jak rozwścieczony lampart, barbarzyńca rozejrzał się.

Jego nogi tonęły po kostki w miękkim, czerwonym kobiercu lub też w pokrywających całą podłogę jakichś zręcznie zszytych skórach nieznanymi zwierząt.

Tylko złote podwyższenie z tronem lśniło w miękkim puchu. Pokój przypominał

ogromną kopułę. Sześć ścian z przypominającego miedź czerwonozłocistego metalu łączyło się nad głową. Z punktu, w którym się schodziły, zwisała na cienkiej nici błyszcząca, biała kula. Jej światło załamywało się dziwnie na licznych krawędziach przezroczystego tronu, migocząc maleńkimi tęczkami.

Conan oderwał oczy od lśnienia i znowu zaczął oglądać ściany, gotów w każdej chwili na spotkanie z niebezpieczeństwem.

Pośrodku każdego z sześciu narożników wisiał duży kawałek materiału z wyszytymi zagadkowymi symbolami. Za tkaninami były jakieś drzwi albo okna, bo płachty trzepotały jak od lekkich porywów wiatru. Conan chciał odsunąć mieczem jedną z nich, ale za jego plecami rozległ się władczy głos.

! Zatrzymaj się, szaleńcze! Jeszcze nie pora! Odwróć się!

Conan wystawił przed sobą miecz i odwrócił się gwałtownie. Zobaczył siedzącego na tronie gospodarza tej dziwnej, pustej komnaty, gospodarza jego snu. Cymmerianin zrozumiał, że żaden miecz nie może wyrządzić krzywdy przyglądającej mu się z wysokości tronu istocie. Majestatyczna postać migotała, rozmazywała się i drżała. Twarz z przenikliwymi, ścinającymi duszę w lód oczami też się zmieniała. Surowy starzec przemieniał się w młodzieńca o wyniosłej twarzy, by po chwili stać się niemal nieprzypominającym człowiekiem z krzywymi,

zagiętymi w dół kłami.

Conan opuścił bezużyteczny miecz na miękkim kobiercu i patrzył na niekończącą się przemianę tego, który od tej chwili był panem jego życia i śmierci. Ale całe życie grał

w tę grę i teraz bez strachu czekał, co będzie dalej. Demon czegoś od niego chce, jak wszyscy czarownicy jest w czymś słabszy od zwykłego człowieka i dlatego właśnie szuka pomocy u śmiertelników.

Siedzący na tronie czarnoksiężnik przestał wreszcie zmieniać swoje oblicza i na Cymmerianina patrzyła teraz podobna do człowieka istota. Jej ciało było równie potężne jak u Conana. Przyprószone siwizną włosy były krótko ostrzyżone, co nadawało twarzy wygląd wyciosanej z ciemnego kamienia rzeźby. Gdyby nie przenikające na wylot parzącym chłodem, a jednocześnie pełne śmiertelnego znużenia spojrzenie można by nazwać ją majestatyczną. Gorzki grymas zaciśniętych ust pod szyderczą wyniosłością skrywał cierpienie.

! Podobasz mi się, barbarzyńco! Dawno nie spotkałem kogoś takiego jak ty...

Widzę, że w twojej duszy nie ma strachu... Jesteś rozgniewany, ale się nie boisz... To dobrze, to znaczy, że starczy cię na troje, może nawet na czworo drzwi. Podarujesz mi trzy wspaniałe noce nadziei! A potem koniec, jak ze wszystkimi. Nie będę cię oszukiwał, nie wyjdiesz stąd żywy, tak jak ja stąd nigdy nie wyjdę... Obaj jesteśmy jeńcami ! ty moim, ja wieczności. Ty masz jednak więcej szczęścia, możesz umrzeć!

Conan patrzył na twarz maga, słuchając spokojnie słów, które w jego sercu wywołały niespodziewaną falę zrozumienia i współczucia. Uwięziona w jej miedzianej szkatule siła, jeszcze bardziej nieposkromiona niż jego własna, od wieków próbuje się stąd wydostać, a przed nią kolejne tysiąclecia mrocznej niewoli... Oparł dłonie na rękojeści miecza i spojrział prosto w oczy potężnego jeńca.

! A więc to ty jesteś Ragon Sath, Zniewolony Wiecznością ! powiedział. ! Chcesz czegoś ode mnie, tak samo jak od tych, którzy umarli we śnie, przeklinając twoje imię? Po co jednak męczyłeś Zenobię, słabą kobietę, skoro i tak nie mogła ci pomóc?

Dla zabicia czasu? ! Niebieskie oczy króla zapłonęły gniewem na wspomnienie bladej twarzy i odrzuconej do tyłu głowy wycięzionej królowej.

Znowu rozległ się śmiech i boleśnie przeniknął ciało Conana.

! Wieczność to wystarczająco długo, by poznać was, ludzi. Żyjące jedną chwilę muszki. Wszyscy jesteście jednakowi, chociaż uważacie, że tak nie jest. Jesteście tak podobni do siebie jak źdźbła trawy na łąkach, jak ryby w wodzie, jak ptaki w stadzie...

Gdy cierpią wasi bliscy, gotowi jesteście zrobić wszystko, żeby tylko uśmierzyć ich ból.

Na przykład służyć mi. Czy nie mam racji?

! Zgadza się, magu. Nigdy nie bałem się o siebie, a o nią się boję. Znalazłeś mój słaby punkt. Dlatego jestem tu, przed tobą i czekam, aż powiesz mi, o co ci chodzi.

! Barbarzyńco, podobasz mi się coraz bardziej. Będzie mi naprawdę przykro, gdy zginiesz. Dopóki nie pojawi się ktoś lepszy, będę cię często wspominać. Ale takich jest niewielu... Nie będę ci opowiadał, jak się znalazłem w tej wieży. I tak nie zrozumiesz, a ja nie chcę wspominać tego, co minęło... Tysiąclecia przygasiły lekko płomień nienawiści, ale ugasić go nie zdoła nic i nigdy... Chyba że stąd wyjdę. Ach, z jaką łatwością zrobił

bym wszystko sam i wydostał się z tej klatki! Ale nie, muszę czekać, aż jakiś nędzny śmiertelnik przejdzie po drodze bogów i otworzy mi szczęście drzwi Wieczności!

! Co mam zrobić, abyś odzyskał swobodę? I co dostanę, jeśli mi się uda?

! Co dostaniesz? To samo co ja ! wolność, swoją małą, ludzką wolność, a raczej to, co wy nazywacie wolnością. Cóż może wiedzieć o niej śmiertelnik! Podejdź bliżej.

Jeszcze bliżej!... !Wyciągnięta ręka dotknęła lekko szyi Conana i król poczuł, jak obroęcz zamknęła się, przesywając skórę tysiącem lodowatych igiełek. Próbował zerwać zimną obroęcz, ale poczuł jeszcze większy ból. Podniósł gniewne oczy i napotkał przenikliwy, władczy wzrok Ragona Satha. Czarownik patrzył na Conana z lekko przekrzywioną głową, tłumiąc jego gniew. Na potężnej szyi czarownika lśniła matowym blaskiem taka sama obroęcz.

! Mówiłem ci już, że obaj jesteśmy jeńcami. Teraz otwórz pierwsze drzwi i zdobądź za nimi to, co wyda ci się najważniejsze. Będę cię obserwował i trochę ci pomogę.

Ale tylko wówczas, gdy zdołasz zrozumieć i odczuć... Idź! ! Wskazał ręką jedną z płacht, która uniosła się w górę jak od porywu silnego wiatru. Conan schował do pochwy miecz i śmiało wkroczył w kłęby mgły.

Tym razem spadanie trwało krócej. Rażące, ostre światło uderzyło go w oczy i w tym samym momencie spadł w wodę. Natychmiast zaczął przebierać rękami i szybko wypłynął na powierzchnię zielonkawej wody. Ileż to razy wychodził cało z przeróżnych opresji! Morskie głębiny też nie były mu obce. Ostatnie silne uderzenie rąk i głowa wynurzyła się z wody. Mokra włosy zalepiały oczy, usta wypluwały gorzką słoną wodę.

Conan odsunął mokre kosmyki z oczu i rozejrzał się. Aż po horyzont widać było spokojne, bezkresne morze. Ani śladu lądu. Oślepiająco białe słońce plonęło niemiłosiernie na jasnym niebie, przypiekając jego mokre ciało. Jeszcze kilka razy przekręcił się w wodzie, wypatrując choćby niewyraźnego paska lądu. Niczego nie dostrzegł. Ale oto na falach mignął ciemny przedmiot, zniknął i znowu wypłynął. Conan popłynął w tamtą stronę potężnymi wymachami ramion, w głębi duszy pewien sukcesu.

Łapiąc oddech, Cymmerianin wczepił się w oślizgły kawałek belki z jakiegoś statku, od dawna niesiony na grzbietach fal. Pokonanie ostatnich kilku metrów nie przyszło mu łatwo. Nasiąknięte wodą sandały i ciężki miecz ciągnęły go na dno, z góry piekło słońce, odbierając resztkę sił...

Nie sposób było ustalić, jak długo siedział w obrzydliwie ciepłej, gorzkoślonej wodzie. Słońce przez cały czas stało w tym samym punkcie nad jego głową jak przybite.

Najwyraźniej nie miało zamiaru się przesunąć.

Wyschnięte gardło płonęło z pragnienia, piekła napięta skóra na twarzy. Woda nie odświeżała ciała, lecz parzyła rozpaloną skórę. Przez wirujące przed oczami czarne kręgi prześwitywała bezkresna gładź morza. Głowa opadła bezsilnie, wtulając się w drewno, ale posłuszne nieugiętej woli ręce przez cały czas mocno obejmowały kawałek zbawczej belki.

Gorącą nieruchomość powietrza zastąpiły wkrótce parzące porywy wiatru. Fale stały się wyższe i potoki wody coraz częściej przykrywały leżącą na belce głowę. Conan odzyskiwał na krótko przytomność, unosił twarz, spluwał ze złością, nie otwierając spuchniętych powiek, chwytal łapczywie ustami powietrze i mdlał znowu.

Fale szarpały nim coraz silniej, gdy nagle poczuł wewnętrzne skupienie. Poczuł, jak nogi zaczepiają o coś. Fala zabrała go ze sobą w głąb morza, potem znowu wyrzuciła i nogi przesunęły się po dnie. W uszy wdarł się szum przyboju. Teraz fale tłukły bezlitośnie jego ciałem o przybrzeżne kamienie. Z najwyższym trudem otworzył na wpółślepięte oczy i zobaczył niewyraźny zarys brzegu i drzewa, krzaki i jasny piasek.

Nie wypuszczając belki z rak, Cymmerianin rzucił się do przodu, by uciec przed falą, która próbowała zaciągnąć go z powrotem w morze. Kolejna fala pchnęła go silnie do przodu i zachłystujący się wodą, ciągle obejmujący pozieleniałe drewno Conan znalazł się poza zasięgiem szalejącego morza.

Oderwał ręce od belki i zaczął pełznąć do przodu, zdzierając ręce o ostre muszle.

Uniósł spuchnięte powieki i spojrzał na białe słońce, które tkwiło nieruchomo w tym samym punkcie. Zobaczył na niebie nie jedno, lecz trzy identyczne, otoczone migotliwą aureolą słońca. Pochłonięty pragnieniem, by dopełznąć do drzewa, rzucającego na piasek zbawczy cień, natychmiast o tym zapomniał. Gdy udało mu się wreszcie dotrzeć do wysepki cienia, usłyszał nad sobą szelest liści. Stracił przytomność.

Ocknął się, gdy poczuł czyjś dotyk. Usłyszał ciche, poświsujące głosy, przypominające świergot ptaków. Z trudem otworzył oczy, ale zobaczył tylko biały piasek i kępkę ostrej trawy. Ziarenka piasku przykleiły mu się do policzków i rzęs, chrzęściły w zębach. Wargi miał spieczone i popękane. Z jękiem uniósł się na czworaka, objął rękami pień drzewa, które podarowało mu życiodajny cień, i powoli, chwiejąc się, wstał.

Pragnienie paliło gardło, oczy zasnuwała czerwona mgła, ale udało mu się dojrzeć stojące wokół niego dziwaczne postacie. W podnieceniu rozmawiały w swoim świszczącym języku i dotykały go co chwila czymś laskoczące miękkim.

! Pić... !wyszeptał, z trudem poruszając wargami. !Na Crolma, gdzie tu jest woda?

Dziwne stworzenia zamilkły na chwilę, potem zaszczębiotały zgodnie i jedno z nich podeszło do drzewa. Odczepiło od pasa przedmiot, przypominający ogromny pazur i zaczęło wygrzebywać w korze głębokie wyłobienie. Conan patrzył na to nic nie rozumiejącym spojrzaniem. Usiłował tylko nie upaść. Nagle poczuł, że kilkanaście rąk popycha go do drzewa.

Cymmerianin objął rękami gruby pień, by nie uderzyć w niego głową. Jego wargi znalazły się obok wydłubanej bruzdy. Coś chłodnego prysnęło mu prosto w twarz i świeżym strumyczkiem pociekło po wargach. Język poczuł dziwny smak świeżej wody, pachnącej młodą trawą i kwiatami.

Woda biła z pnia drzewa, przywracając jasność rozumowi, siłę i energię ciała. Z

każdym łykiem życie wlewało się w niego na nowo, Conan pił bez końca. Nie mógł

przestać. Gdy poczuł, że nie zmieści mu się nawet kropla więcej, zaczął łapać w ręce cudowną wodę i polewać oparzone słońcem twarz, szyję i ramiona. Woda ściekała po piersi i plecach chłodnymi strużkami, a Cymmerianin jęcząc z rozkoszy, pełnymi garściami ochlapywał nogi.

Powoli życiodajny strumyczek stawał się coraz cieńszy, wreszcie z bruzdy sączyły się tylko krople cudownego płynu i Conan zlizal je z żalem, Poczul, że znowu jest pełen sił, i obejrzał się, chcąc zobaczyć, co za stworzenia mu się przywidziały.

W pierwszej chwili pomyślał, że nadal ma halucynacje. Dobrze, że wcześniej nie mógł się im lepiej przyjrzeć. Teraz, gdy mózg pracował jasno i przed oczami przestały latać tęczowe plamy, pomyślał, że Ragon Sath jest wielkim mistrzem w tworzeniu koszmarnych wizji.

Nie wiedział, co myśleć o dziesięciu istotach, które miał przed sobą. Ludzie? Nie, nie ludzie. Zwierzęta? Nie, chociaż podobne. Pokryte krótką, miękką sierścią, z cienkimi, giętkimi ciałami, gracją ruchów przypominające koty. Stały twardo i prosto jak ludzie i były tylko trochę niższe od Conana. Ich ręce i nogi kończyły się równymi, długimi palcami z czarnymi, błyszczącymi pazurami. Gdy gestykulowały, między palcami widać było skórzastą błonę.

Ubraniami i ozdobami nie mogły zdziwić Conana, który podczas swojej wieloletniej włóczęgi napatrzył się na dzikusów odzianych w spódniczki uplecione z miękkiej, suchej trawy i obwieszonych paciorkami z rybich ości, ale ich twarze... A może mordy? Nie, mimo wszystko twarze, chociaż pokryte sierścią.

Głowy z wielkimi, odstającymi uszami były zbyt duże w stosunku do małych twarzy. Zajmujące pół twarzy dziwnych istot, czerwone, rozpalone oczy przysłonięte były ciężkimi,

szarymi powiekami, co nadawało im stary i zmęczony wygląd. Malutkie, lśniące, czarne nosy i sinobrazowe usta ginęły wobec ogromu oczu.

Istoty z dziwnego świata nadal świstały pomiędzy sobą, nie wykazując wrogości, i Conan poczuł nagle ze zdumieniem, że rozumie, o czym rozmawiają. Im dłużej przysłuchiwał się dziwacznemu świergotowi, tym lepiej go rozumiał.

! Patrzcie, może już chodzić! Trzeba go zaprowadzić do Rijpy i czym prędzej zacząć świętować. Nareszcie morze zlitowało się nad Lemnirami, dziećmi Nocy. Nareszcie zgasną te przeklęte słońca. Nadejdzie czas miłości i urodzą się nowe dzieci!

! Ale czy zechce z nami pójść? Patrzcie, jaki jest ogromny! Ma na pasie ostry kawałek metalu. Jeśli się rozzłości, wszyscy zginiemy! Morze nigdy jeszcze nie wyrzuciło tak potężnego Tirna.

! Zaraz zrozumie, że będzie mu z nami dobrze, bardzo dobrze. Przecież to tylko ogromny Tirn, podarunek od morza. Zaczynjcie pieśń gościnności.

Conan chwycił za miecz, gotów odpędzić Lemniry, ale same się cofnęły. Ujęły się za ręce i stojąc w bezpiecznej odległości, zaczęły się kołysać i przeciągle świstać.

Melodyjny świst ułożył się w czarującą melodię i napięte mięśnie Conana rozluźniły się.

Bez namysłu włożył miecz z powrotem do pochwy i zrobił krok w stronę Lemmirów.

Śpiewały, wpatrując się w niego zagadkowymi, okrągłymi oczami, a on podchodził coraz bliżej. Wreszcie Lemniry otoczyły Conana zwartym kołem i zaczęły gładzić lekko jego ciało miękkimi łapkami. Ich dotyk wydał mu się przyjemniejszy od pieszczoty kobiety.

Cymmerianin aż jęknął z rozkoszy.

Miękkie łapki gładziły, popychały, poklepywały go po plecach, piersi, rękach i Lemniry prowadziły go gdzieś po grząskim piasku, potem po twardej trawie. Wyszli w końcu na wyłożoną płaskimi kamieniami drogę. Świszczący, usypiający śpiew nie milkł, pokryte sierścią łapki bez przerwy pieściły jego ciało. Conan dawno już zapomniał, po co fale wyrzuciły go na ten brzeg. Zwolnił kroku tylko po to, by wyraźniej odczuć doprowadzające do szaleństwa poklepywania. Jego mózg jakby zgasł i chociaż rozumiał, co szczebiały Lemniry, było mu wszystko jedno.

! Zwyczajny Tirn, chociaż bardzo duży. Patrzcie, jak mruży oczy z rozkoszy!

Czarny Offa obejmie go i Noc wyjdzie na wolność! Długa, ciemna Noc!

! Patrz, Rijpa wysłała już nam naprzeciw dzieci poprzedniej Nocy! Jakież piękne są te młode dzieci Mroku!

! Tak bardzo pragnę zanurzyć się w ciemności, szeroko otworzyć oczy i znowu zobaczyć prawdziwe kolory Nocy! Ten bezbarwny, palący dzień jest nie do zniesienia!

! Już za chwilę, za chwilę, za chwilę!

Małeńkie istoty będące dokładną kopią dorosłych Lemnirów spoglądały z wysiłkiem spod przymkniętych powiek i posypywały drogę przed Cymmerianinem ciemnoczerwonymi płatkami kwiatków. Conanowi wydawało się, że idzie po kałużach krwi, ale to go nawet bawiło. Podsuwał ramiona, ręce i szyję miękkim łapkami i było mu wszystko jedno, dokąd go ciągną. Niechby nawet Nergalowi w paszczę.

Przyprowadzono go na wielki plac. Z jednej strony wychodził na las, z trzech otoczony był stojącymi rzadko ostrymi kamieniami, sterczącymi niczym zęby gigantycznego potwora.

Pośrodku placu siedział nieruchomo ogromny, czarny ptak z zanurzonymi w piasku grubymi nogami. Wokół ptaka ułożono krąg z różowych, mieniących się perłowo muszli. Trzymając się jak najdalej od tego kręgu, Lemniry pociągnęły Conana w stronę zielonej ściany szumiącego lasu.

Od wysokich drzew powiało chłodem. Z wyłobień w pniach sączył się życiodajny płyn, ściekał do wielkich, wyschniętych skorup nieznanych owoców. Dwa drzewa rosły niemal na samym placu. Z ich giętkich gałęzi zwisały sznury, zręcznie splecione z niezliczonych cienkich włókien. Kołysało się na nich szerokie gniazdo, przystrojone paciorkami z kawałków muszli, rybich kręgow i suszonych jagód. Siedząca w gnieździe istota miała oślepiająco białą sierść i jasnoczerwone oczy. Widać było, jak stworzenie marszczy malutką twarzyczkę i ze wstrętem patrzy w niebo z trzema płonącymi słońcami.

Kilkanaście Lemnirów wielkimi, twardymi liśćmi wachlowało swą władczynię, leciutko kołysząc gniazdem.

Na widok zbliżającego się Conana Rijpa uniosła się i radośnie wyciągnęła do niego rękę w odwiecznym, kobiecym wezwaniu. Conan przyspieszył kroku, chcąc jak najszybciej poczuć dotyk pokrytych białą sierścią małych dłoni. Lemniry posadziły go na leżącej na ziemi macie i Rijpa, przymykając oczy i cichutko poświstując, wsunęła cieniutkie paluszki w gęste włosy Cymmerianina.

Resztki woli opuściły ciało omdlewającego z rozkoszy giganta. Teraz należał do niej, tylko do niej, był jej rzeczą i mogła robić z nim, co chciała. Odwróciła głowę.

! Czym prędzej przygotujcie ucztę ! zaszcebiotała przenikliwie! ! Przynieście owoce irosy, tongi i dużo napojów! Silny i szczęśliwy Tim gotów jest pójść w objęcia Czarnego Offy! Dzieci poprzedniej Nocy, śpiewajcie pieśń Umierającego Światła!

Lemniry ustawiły się plecami wokół nieruchomego, czarnego ptaka, wzięły się za ręce i zaczęły kołysać. Od czasu do czasu któreś wydawało ostry, przeciągły świst, a pozostałe wtórowały mu

cichutkim szczebiotaniem.

Niemal cały plac został usłany uplecionymi z trawy matami. Dorosłe Lemniry wybiegały z lasu z owocami i naczyniami pełnymi pachnącej cieczy i sadowiły się grupkami nieopodal gniazda władczyni.

Obok Conana ustawiono plecione koszyki z żółtymi i jasnozielonymi owocami wielkości sporej dyni. Widać było, że cienka skórka z trudem powstrzymuje napór miękkiego, soczystego miąższu. Naczynia z bursztynową cieczą kusily chłodem i aromatem.

Małe Lemniry zamykały oczy i kołysząc się, przez cały czas śpiewały swą monotonną pieśń. Dorosłe osobniki łapczywie piły drzewny sok i przypadając malutkimi ustami do wielkich owoców, wysysały cały miąższ, pozostawiając tylko zmarszczoną skórkę. Conan też próbował przyssać się do ciężkiego, soczystego owocu, ale jego wysiłki wywołały tylko szczebiotliwy śmiech. Patrząc na zalaną słodkim sokiem szeroką pierś i wymazaną twarz mężczyzny, Rijpa odchyliła się na łapki swoich sług, dźwięcznie świergocząc z radości. Conan też się roześmiał. Wyjął z pasa kindżał i zaczął jeść soczysty owoc, tnąc go na wielkie kawałki.

Czuł się silny i szczęśliwy jak nigdy dotąd. Małe Lemniry śpiewały pieśń o odchodzącym świetle. Cymmerianin zapomniał o wszystkich smutkach. On także chciał, by gorące lśnienie słońce jak najszybciej zgasło, by nastąpiła cudowna, chłodna noc i oplotły mu szyję piękne, puszyste ręce Rijpy.

Pani Lemnirów z wyżyn swojego gniazda popatrzyła badawczo w oczy Conana.

! Słyszę, jak wzywa Noc ! zaszcebiotała. ! Pragnie Nocy i mnie. Prowadźcie go do Czarnego Offy. Noc nadchodzi! Szybciej, szybciej!

Conan odsunął puste kosze i skorupy. Zaczął się podnosić, gotów iść radośnie tam, dokąd posyła go Rijpa, gdy nagle żelazna obręcz zdławiła jego gardło. Światło przygasło i upadł z ochryplym jękiem na maty, pod nogi wystraszonych Lemnirów.

Gdy uścisk osłabł, klęknął, łapczywie chwytając ustami parzące płuca i dziwnym sposobem rozjaśniające umysł powietrze. Wszystko sobie przypomniał. Wydarzenia rozwinęły się przed nim jak kłębek przędzy i oczy Ragona Satha władczo zajrzały mu w duszę.

! Znajdź i przynieś to, co uznasz za najważniejsze. Znajdź i przynieś!

Jego ciało nie pragnęło już miękkich pieszczot i słodkich objęć. Rozsądek i spryt znowu do niego powróciły i Conan widział siebie jakby z boku. Zrozumiał, że miał zostać złożony w ofierze jakiemuś Czarnemu Offie. Małe Lemniry rozstąpiły się, tworząc żywy szpaler, przez cały czas poświstując i kołysząc się.

Conan podszedł do granicy oddzielającej Czarnego Offę od polany świętujących Lemnirów. Dziesiątki rąk pchało go, by przekroczył wyłożoną różowymi muszlami linię, ale stał równie

nieruchomy jak czarna postać przed nim.

Był to kamień. Czarny, porowaty kamień, któremu rzeźbiarz nadał kształt zrywającego się do lotu ptaka. Dwa otwory po bokach głowy zalepione były zastygłą, czerwoną masą. Symboliczne oczy wyglądały jak żywe. Patrzyły na niego złowieszczo.

„To co najważniejsze! To co najważniejsze!”. Conan nie miał wątpliwości, co jest najważniejsze. Lodowaty uścisk obroży ustąpił, jakby potwierdzając jego przypuszczenie.

Z kamiennej głowy ptaka sterczał lśniący matowo złoty dziób w kształcie sierpa.

Każdy kamieniarz umocowałby go lepiej, ale Conan czuł nieomylnie, że to prawdziwy dziób żywego ptaka.

Nie myślał już, czego potrzebuje od niego Czarny Offa. Wiedział tylko, czego sam chce od złowieszczygo bożka. Bez namysłu podszedł do ptaka, ściskając rękojeść miecza.

Z tyłu rozległo się wielogłose westchnienie, z wnętrza kamiennego ptaka dobiegł

cichy, narastający klekot. Po chwili triumfalny dźwięk zagłuszył inne odgłosy i skrzydła uniosły się powoli, a nogi zaczęły wygrzebywać się z piasku...

Bez chwili namysłu, nie przyglądając się ożywającemu potworowi, Conan błyskawicznie obnażył klingę i z całej siły uderzył w skrzydło. Miecz rozciął porowaty kamień i na wszystkie strony poleciały czarne odłamki. Krzyk nieludzkiego bólu i wściekłości wstrząsnął światem, ale Conan nie przestawał rąbać. Kruszywo skowyczących i wyjących kamieni uszło wyłożony muszlami krąg, a miecz ciągle lśnił, wznosząc się i opadając.

Z głowy, która przed chwilą pochylała się groźnie, by przebić Conana ostrym dziobem, została bezkształtna sterta czarnych kamieni, w której połyskiwał ostry, złoty sierp. Cymmerianin rozsunał nogami odłamki, ujął go obiema rękami i brzegiem tuniki starł czarny pył. Dłoń poczuła nieoczekiwanie żywe, przyjemne ciepło, jakby sierp, który jeszcze przed chwilą był śmiertelnościanym dziobem, dziękował za oswobodzenie.

Nagle Conan zauważył, że oślepiające światło gorącego dnia przygasło.

Porozrzucone pod nogami kamienie rozplynęły się z cichym sykiem w powietrzu i zapadła noc, na którą tak czekały Lemniry. Conan stał teraz w kompletnych ciemnościach.

Ścisnął w rękach ciepły przedmiot i nie wiedział, co robić dalej. Zapadła absolutna cisza i ciemność tak czarna, jaka pewnie bywa tylko w grobie.

Gdzieś w nieskończonej dali rozbłysnął maleńki punkcik. Zbliżał się coraz bardziej, rosnąc szybko, by wreszcie przemienić się w kulę niezbyt jasnego światła.

Conan poczuł, że coś go wciąga w tę migoczącą sferę. Zamachał rękami, tracąc oparcie i nieoczekiwanie znalazł się na miękkim kobiercu w znajomej wieży. Wszystko wyglądało tak samo jak przedtem, tylko zamiast drzwi, za którymi jeszcze przed chwilą był Conan, błyszcząca czerwono gładka ściana. Zmięta, wzorzysta zasłona leżała na podłodze.

Głos Ragona Sama rozległ się niespodziewanie i słycać go było jednocześnie ze wszystkich stron.

! Daj mi go! Muszę go jak najszybciej dotknąć! Namiętny szept trzepotał jak ptak i zdumiony Conan rozglądał się, nie wiedząc, komu oddać upragnioną zdobycz.

Drżące, smagle ręce pojawiły się tuż przed nim i Conan położył sierp na wyciągniętych dłoniach. W komnacie rozległo się przypominające jęk rozkoszy westchnienie i w czarze zamkniętych dłoni zapląsał złoty płomień, zmieniając kształt tego, co w nich leżało. Ostry dziób przemieniał się w złoty trójkąt z dziwnymi wypustkami po bokach. Pośrodku czerniał znak przypominający nieznane runy.

Conan podniósł oczy i zobaczył siedzącego na tronie Ragona Satha. Na jego wargach błędził zagadkowy uśmiech.

! Spełniłeś pokładane w tobie nadzieje, barbarzyńco. Jesteś silny, umiesz słuchać i patrzeć. Wracaj do swojego pałacu, masz przed sobą cały dzień życia. I przyjmij ode mnie radę. Nigdy nie zapominaj, że życie jest krótkie. Nie odkładaj na później tego, co chcesz zrobić dziś! ! Mag roześmiał się jak człowiek i skinął w stronę zasłony, jeszcze wczoraj zasłaniającej drzwi. ! A to weź jako podarunek dla swojej królowej w zamian za rozdartą zasłonę. Weź, nie pożałujesz! ! Głośny śmiech przeszedł w ryk huraganu, wiatr szarpnął płachtą i owinał nią Conana. Broniąc się przed lgnącą do niego tkaniną, król potknął się i upadł na coś miękkiego i znajomego.

Z rozdrażnieniem zerwał z siebie materiał i zobaczył, że leży na pomiętym łożu we własnej sypialni. Wokół panowała cisza, za oknem zaczynało świtać. Minęła tylko jedna noc, ale jakże była długa! Wydaje się, że wczorajszy wieczór był tak dawno, nawet sypialnia wyglądała jakos obco. Może w niej coś było nie tak, a może to on się zmienił.

Conan stanął w zadumie przed lustrem i zobaczył lśniącą matowo obrożę. Wcale go to nie zdziwiło. Uśmiechnął się. „Wszyscy jesteśmy jeńcami Wieczności...” ! pomyślał.

III

Świt za oknem rozpałał się coraz bardziej i król przypomniał sobie, że kazał

strażnikom wylamać drzwi, jeśli sam ich rano nie otworzy. Znowu przeszedł się po sypialni. Musiał na nowo do niej przywyknąć. Przeciągnął się, pomyślał z radością o długim dniu życia, jaki miał przed sobą, odsunął zasuwę i otworzył drzwi na oścież.

Nieruchomi jak posągi strażnicy nawet nie drgnęli. Damunk wstał z fotela i podszedł do króla.

Nie zmrużył oka tej nocy, zmęczenie i niepokój podkrawały mu oczy, jego ręce drżały. Imma spała spokojnie, zwinięta na poduszkach jak kociak. Conan popatrzył na nią i uśmiechnął się. Przypomniawszy sobie ostatnie słowa Ragona Satha.

„Ach, ty stary potworze! Jak dobrze nas znasz! Ale nie masz tego, co my ! nie możesz żyć, jak chcesz. Ale klnę się na Croma, że skorzystam z twojej rady! To będzie dobry dzień!” ! pomyślał.

Zwolnił zmęczonych strażników i odmaszerowali, bręcząc zbrojami. Damunk klasnął w ręce na widok obroży na potężnej szyi króla i zaczął zawodzić żałośnie.

! O, panie mój! Ten czarownik zamęczy cię na śmierć! Co robił z tobą tej nocy? W jakie otchłanie koszmaru wepchnęła cię jego złość?

! To nie całkiem tak, drogi Damunku. To potężny mag, ale kieruje nim nie złość, lecz rozpacz. Na razie nic więcej ci nie powiem, a jeśli wszystko dobrze się skończy, będę długo opowiadał. Ty wszystko zapiszesz i powstanie wielka, gruba księga, nie gorsza od tych, które masz u siebie na półkach. A teraz zarządz, by podano mi śniadanie. Umieram z głodu.

Damunk wyszedł. Conan zatrzymał się przed śpiącą mocno dziewczyną i wziął ją delikatnie na ręce. Pocałował najpierw w senne oczy, potem w rozchylone usta. Nie otwierając oczu, objęła go za szyję, lecz dotyk zimnej obroży zbudził ją natychmiast i ich oczy spotkały się. Niebieskie ! namiętne i żądające i złociste ! radosne i przestraszone.

Dziewczyna chciała coś powiedzieć, ale władczy pocałunek uprzedził słowa. Conan zaniósł ją do sypialni i położył na łóżu.

! Siedź cicho, zaraz wrócę ! wyszeptał, po czym wyszedł szybko, szczelnie zamykając za sobą drzwi. Wkrótce służby wnieśli obfite śniadanie, a w ślad za nimi przyczłapał Damunk, oczekując dalszych poleceń.

! Idź odpocząć, wieczorem znowu będziesz mi potrzebny. Immę już odesłałem.

Zjem śniadanie u siebie i wyjdę trochę później. Noc była ciężka i ja także chciałbym odpocząć. ! Conan ziewnął szeroko i przymknął oczy, kryjąc ogień namiętności pod opuszczonymi powiekami. Damunk skłonił się z szacunkiem i poszedł do siebie, wstrząśnięty spokojem króla, który tak obojętnie mówił o spotkaniu ze strasznym magiem, od wieków zsyłającym przerażenie na śmiertelników.

Imma siedziała na królewskim łóżu spokojna i szczęśliwa. Nie śmiała wierzyć, że król dostrzegł wreszcie jej miłość i pojął, że ona też jest kobietą. Ale usta nadal płonęły żarem jego pocałunku, a ciało czuło objęcia silnych raje. Przymykając .oczy, próbowała zachować to wrażenie i nie usłyszała wejścia króla. Conan zamknął drzwi i bezszelestnie podszedł do dziewczyny. Jakaż jest ładna z tymi wysoko uniesionymi, zdumionymi brwiami, maleńkimi,

rozchyłonymi ustami i lekko odchyłoną do tyłu kędzierzawą głową.

Zaśmiał się cicho i delikatnie przesunął dłoń po smagłym ramieniu, zsuwając lekką sukienkę. Patrząc na niego błyszczącymi oczyma, Imma niecierpliwie poruszyła drugim ramieniem. Zrzuciła stanik i przyciągnęła do piersi jego głowę.

Niczym napięta struna, jej ciało odpowiadało drzeniem na każdy jego pocałunek, na każdą pieszczotę. Czas zatrzymał się albo zaczął się cofać. A może w ogóle przestał

istnieć?... Pochwyił ich wicher miłości, zawirował nimi i poniósł w górę. Nie pozwalał

ochłonać, raz po raz zmuszając ich do ponownego odnajdywania swoich ciał. Dziewczyna była taka maleńka i krucha, a w łożu miłości przypominała panterę lub wrażliwego wierzchowca szlachetnej krwi...

Słońce stało już wysoko, gdy wreszcie udało im się otworzyć objęcia. Imma szybko włożyła suknię i jak cień wysliznęła się z sypialni, posyłając królowi na pożegnanie czuły uśmiech i wdzięczne spojrzenie.

Conan leżał, nie myśląc o niczym. Czuł się odświeżony i odmłodzony, jakby wykąpał się w lodowatym górskim strumieniu. A miał jeszcze przed sobą niemal cały dzień. Cały dzień życia! Przypomnił sobie o śniadaniu, które od dawna czeka na niego, roześmiał się, wyskoczył z łoża i przeszedł się sprężyć po pokoju. Każda cząsteczka silnego ciała cieszyła się życiem, krew buzowała jak młode wino, słońce za oknem wabiło na zewnątrz i już zrobił krok w stronę drzwi, gdy jego wzrok padł na leżącą na podłodze tkaninę. Tam, w wieży wydawał się taki mroczny, teraz połyskiwał i cieszył oko wyszukany splotem wzorów. Conan podniósł tkaninę, przerzucił przez ramię i wyszedł

z sypialni.

Szedł po galerii i czuł, jak kipią w nim najprzeróżniejsze pragnienia, domagając się wypuszczenia na zewnątrz. Ostatnią rzeczą, o którą by się teraz martwił, były sprawy państwowe.

Z jego rozkazu nikomu nie wolno było wchodzić dzisiaj do wewnętrznych komnat. Wystrojone damy i wielmoże oczekujący na galerii wyjścia króla kłaniali się z szacunkiem. Wyczuleni na najdrobniejszą nawet zmianę, dworzanie od razu spostrzegli radosny nastrój władcy, młody blask jego błękitnych oczu i lekki krok. Pallantyd, zaufany doradca króla, dowódca wyborowej armii Czarnych Smoków, postąpił krok, chcąc coś powiedzieć, lecz Conan z uśmiechem pociągnął go za sobą, po czym odwrócił się do przycichłych dworzan:

! Dzisiaj odbędzie się turniej w Nadrzecznym Zagajniku ! oznajmił. ! Markos, postaraj się, by jak najszybciej wszystko było gotowe. Mam nadzieję, że po wesołej nocy baronowie zdołają utrzymać się w siodle. ! Szedł dalej, śmiejąc się głośno i poklepując po ramieniu Pallantyda, który podobnie jak wielu innych zbyt intensywnie bawił się tej nocy. Ale ten surowy wojownik,

umiejący dzielnie walczyć na polu bitwy i z zapamiętaniem weselić się za stołem biesiadnym, bez względu na to, jak długo bawił się na królewskich ucztach, zawsze zachowywał jasny umysł i był dla Conana nieocenioną podporą w niełatwym dziele władania krajem. Markos, główny organizator królewskich zabaw, natychmiast pospieszył wykonać rozkaz. Jego atlasowa, niebieska kamizela i rubinowa czapeczka z zawadiackim złocistym piórem migotały pod stajniami, gdzie krzatali się koniuchowie, siodlając i wyprowadzając konie dla króla i świty, pojawiały przy gospodarczych zabudowaniach, gdzie słudzy pospiesznie ładowali wozy i wieźli do Nadrzecznego Zagajnika wszystko, co było potrzebne do turnieju rycerskiego, w chwilę później władczy głos Markosa rozlegał się już w kuchni, wprawiając w drzenie kucharzy i licznych pomocników. Nie przebrzmiało jeszcze nocne święto, gdy nastął czas nowej zabawy.

Dawno już król Conan nie był tak wesół. Słudzy musieli się tego ranka nieźle uwijać. Ale kaprys króla jest prawem i oto już szereg wozów jechał do Nadrzecznego Zagajnika. Na ogromnej polanie, którą Conan szczególnie lubił za otwierającą się na po-tężne wody Horotu przestrzeń, miano zbudować lekkie trybuny dla króla i dworzan oraz ustawić niewysokie ogrodzenie.

Damy niczym różnobarwne motyle biegały do swoich pokoi, by przebrać się w stroje bardziej pasujące do rycerskiego święta. Książęta i baronowie kazali giermkom szykować zbroje.

Życie w pałacu zawrzało i zawirowało w świątecznym kołowrocie. Król Conan wydał kilka rozporządzeń wiernemu Pallantydowni i pośpieszył do królowej, której nie widział od wczorajszego wieczoru.

Zenobia obudziła się niedawno i teraz siedziała przed oknem, rozkoszując się widokiem kwitnącego tulipanowego drzewa, którego bladozielone płatki wyglądały jak kielich do niebiańskiego wina. Służebna przybiegła przed chwilą z galerii i opowiedziała jej o żądaniu króla. Gdy Conan wszedł do sypialni żony, Zenobia powitała go radosnym uśmiechem i błyszczącymi oczami.

! Conanie najdroższy, co za wspaniały pomysł! Turniej w Nadrzecznym Zagajniku!

Tak lubię oglądać cię w zbroi na pięknym Orionie. ! Podeszła do męża, jej lekkie ręce spoczęły na potężnych ramionach i dostrzegła stalową obręcz na jego szyi. ! O Bogowie! !

krzyknęła jak raniony ptak. ! Co to jest, Conanie? Kto śmiał założyć ci obrozę niewolnika?

Jak mogłeś na to pozwolić! ! Jej palce dotknęły na chwilę lodowatego metalu i cofnęły się natychmiast. ! Jaka zimna! Powiedz mi, co to znaczy.

! Nie pytaj mnie teraz, moja droga, i tak nie mogę ci odpowiedzieć. ! Conan spochmurniał na wspomnienie Ragona Sama, po chwili jednak potrząsnął głową i uśmiechnął się, odpędzając mroczne myśli. ! Na razie ta obroza musi być na mojej szyi, ale już niedługo uwolnię się od niej i wtedy o wszystkim zapomnimy. Wierzysz mi, najdroższa? ! Przywarł chciwie wargami do ust królowej, próbując odpędzić niepokój z jej serca. Zenobia westchnęła i położyła głowę na jego muskularnej piersi. Jej wzrok padł na przerzuconą przez ramię Conana wzorzystą tkaninę.

I Jaka cudowna! Skąd ją masz? Co za dziwna tkanina! Wsam raz na nową zasłonę nad moje łóże.

I Właśnie po to ją przyniosłem. Niech chroni twój sen i zsyła ci cudowne sny.

Jeszcze dzisiaj każe ją zawiesić nad twoim łóżem. A teraz ubieraj się. Chcę poharcować przed tobą na Orionie. Zbyt długo stał w stajni, pewnie zapomniał, co to takiego bitwa!

Lejący się materiał zsunął się z ramienia Cymmerianina na podłogę. Król pocałował czarne, śmiejące się oczy pięknej Zenobii, delikatnie przesunął dłonią po falujących włosach i wyszedł z sypialni. Królowa odprowadziła go zakochanym spojrzeniem i usiadła przed lustrem, każąc służebnym uczesać sobie włosy w niski węzeł, ciężko spoczywający na szyi. Wiedziała, że to uczesanie podkreśla wrodzony wdzięk jej gibkiej szyi i będzie idealnie pasować do nowego stroju. Była bardzo zadowolona, że nadarza się okazja założenia nowej sukni, jakby specjalnie uszytej na ten turniej.

Służebne ubrały ją w suknię z mieniącego się, szmaragdowego jedwabiu. Wąski stanik z malinowego aksamitu ze złotymi zapięciami i głębokim wycięciem upodobał ją do odważnej woltyżerki, która czeka, aż przyprowadzą jej konia gorącej krwi.

Kokieteryjnie nasunięta na czoło malinowa czapeczka z puszystym, zielonym piórem dziwnego ptaka i rzucające zielone błyski szmaragdowe kolczyki uzupełniały strój królowej. Uśmiechając się do swojego odbicia i wyobrażając sobie zachwyty króla, Zenobia odeszła od lustra. Z przyjemnością popatrzyła na wystające spod zielonej sukni malinowe noski eleganckich pantofelków. Młoda królowa tak pięknie wyglądała w tym prostym, a zarazem niezwykle eleganckim stroju, że służebne nie mogły powstrzymać okrzyków zachwyty.

Zarumieniona i podekscytowana Zenobia w towarzystwie wystrojonych dam dworu wyszła na galerię, opasującą wyłożony starożytnymi bazaltowymi płytami ogromny dziedziniec. Pod murem koniuszowie trzymali za uzdy bijące kopytami i tańczące z niecierpliwości konie. Zenobia od razu dostrzegła swoją ulubioną klacz, szaloną Fayris. Potrząsając jedwabną grzywą z wplecionymi w nią różnokolorowymi frędzlami, przebierała niecierpliwie cienkimi nogami i kapryśnie wyginała szyję. W

pewien sposób była podobna do swojej pani.

Ubrany w lśniącą, pozłacaną, paradną zbroję, król czekał w otoczeniu świty na damy w dole szerokich schodów. Na widok królowej wbiegł lekko na górę. Nie spuszczając z Zenobii zachwyconego wzroku, podał jej rękę i triumfalnie sprowadził na dół. Koniuchowie podprowadzili konie i wkrótce kawalkada pięknych dam, zbrojnych rycerzy, giermków, koniuchów i sług pomknęła w stronę Nadrzecznego Zagajnika.

Mieszkańcy Tarancii na wieść o królewskiej zabawie wypadli na ulice i radosnymi okrzykami witali swojego króla. Wielu spieszyło w stronę zagajnika, chcąc popatrzeć na królewski turniej. Znając szczodłą naturę swojego władcy, spodziewali się nie tylko wspaniałego widowiska, ale

również obfitego poczęstunku.

Rycerze harcowali po polanie, a z przykrytych kobiercami wysokich ław podziwiali ich piękne damy. Król i królowa siedzieli w przestronnej łoży pod chroniącym przed słońcem jedwabnym baldachimem.

Heroldowie obeszlą polanę dookoła, dmąc w trąby i obwieszczając rozpoczęcie turnieju. Rycerze w bojowym rynsztunku przejechali pod królewską łożą, demonstrując swe umiejętności kierowania koniem. Za chwilę odbędzie się losowanie, potem pojedynki rycerzy, a na zakończenie król wybierze spośród zwycięzców przeciwnika dla siebie.

Na królewskim turnieju rycerze mieli przede wszystkim wykazać się zręcznością i umiejętnością władania bronią, dlatego też często zwyciężali nie najsilniejsi, lecz najzręczniejsi. Plebejusze oblepiający ogrodzenie głośno wyrażali swoje zdanie o każdym z nich:

! Popatrz no, Hams, ilu ich i jak zbroje błyszczą! Ciekawym, kto tym razem będzie walczył z królem.

! Stawiam na chudego Roylunda. Patrz, jakiego ma konia! I jak on płąsa, tak płąsa, jakby na nim siedział nie rycerz w ciężkiej zbroi, a jakiś chłopak stajenny. Ale musisz wiedzieć, że Roylund to nie jakiś tam pacholek. To wielki rycerz!

! A jużci, chudy Roylund. Gdzie mu tam do Boffina! Powiadam ci, że król jak nic wybierze Boffina.

Tymczasem rycerze wyjeżdżali kolejno na środek polany i umiejętnie prowadząc konie, zmuszali je to do statecznego chodu, to do gwałtownego zatrzymywania się.

Posłuszne swoim panom gorące konie szlachetnej kiwi harcowały przed królewską łożą, wywołując aprobujący wrzask tłumu i zachwycone okrzyki dworzan.

Po losowaniu przeciwników rycerze parami wyjeżdżali na pojedynki. Wyzywany miał prawo wybrać sobie kopię, buławę bądź topór bojowy, ale wielu wybierało miecz, ulubioną broń króla. Zgodnie z pradawnymi obyczajami w czasie pojedynku mieli zademonstrować cały swój kunszt, dlatego walka bardziej przypominała piękny taniec niż prawdziwe starcie. Rycerza uznawano za przegranego nawet wówczas, gdy stracił

strzemień, co w sumie było dość blahym błędem. Siedzący w łoży obok królowej, w lekkiej, lśniącej zbroi Conan, całą duszą rwał się na polanę, gdzie przed nim walczyli rycerze. Często reagował na widok udanego ciosu albo ładnego wypadu i rozbrzmiewał

nad polaną jego dźwięczny głos, zachęcający zręcznego wojownika do ataku. Królowa widząc, z jaką niecierpliwością Conan rwie się do walki, nie mogła powstrzymać uśmiechu. Król był już po czterdziestce i nie sposób policzyć, ile walk wygrał w ciągu swojego życia, w ilu starciach

brał udział, a wciąż jeszcze rzenie konia i szczęk mieczy budziły w nim na nowo ducha walki, rozpałały ogień w oczach, sprawiały, że ręce sięgały po broń. Jak kochała go w takich chwilach, jakże była szczęśliwa, że właśnie ona jest jego żoną, jego królową!

Zwycięzcy ustawili się półkolem naprzeciw łoży, trębacze i dobosze ogłuszającymi dźwiękami ogłosili początek królewskiego pojedynku.

Conan odwrócił głowę i napotkał błyszczące oczy Zenobii.

! Z kim dziś będziesz walczył, mój rycerzu? Kto zasłużył na tę cześć?

! Zarówno baron Boffin, jak i książę Carino, a nawet ten szelma baron Hotnar, który nie odrywa od ciebie zakochanego spojrzenia, walczyli dobrze, ale chyba wybiorę hrabiego Rinzi.

! Dlaczego właśnie jego, ukochany? Wydawało mi się, że najlepiej walczył baron Boffin. Jakim ciosem wybił miecz baronowi Roylundowi!

! Masz rację, to rzeczywiście wyśmienity wojownik, ale nie umiem wyjaśnić, dlaczego... Po prostu tak chcę!

Królowa od dawna już wiedziała, że dla Conana był to najważniejszy argument i uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

Król wezwał heroldów i oznajmił swój wybór. Rycerze rozjechali się do namiotów, a hrabia Rinzi przesiadł się na świeżego konia w oczekiwaniu.

Dzisiejsze zwycięstwo przyszło mu bez większego trudu, gdy młody, gorący koń jego przeciwnika przestraszył się szczęk mieczy i skoczył w bok, zrywając popręg.

Hrabia Rinzi, wesoly grubas, miłośnik zabaw i uczt, niespodziewanie dla samego siebie został wybrany przez króla do głównego pojedynku. Stał na brzegu polany i podpierając się pod boki, spoglądał w stronę łąw, na których siedziały damy dworu. Był bohaterem dnia i choć wiedział, że król zawsze wychodzi zwycięsko z tych pojedynków, miał zamiar pokazać, na co go stać.

Król tymczasem objeżdżał polanę na Orionie, na wspaniałym, silnym źrebku, który lekko niósł zakutego w stal pana. Posłuszny najłżejszemu ruchowi ręki jeźdźca, skręcał w miejscu, stawał dęba i przechodził w galop.

Ale oto znowu rozległ się dźwięk trąb i jeźdźcy rozjechali się w przeciwne końce polany.

Conan wybrał hrabiego Rinzi, gdyż nie miał ochoty walczyć na serio. Ale dobroduszny grubas, który za królewskim stołem jadł i pił za pięciu i często opowiadał

przy tym takie dowcipy, że co delikatniejsze damy purpurowiały, teraz doznał

zadziwiającej przemiany. Conan nigdy nie traktował go poważnie jako wojownika, teraz

jednak poczuł, że pojedynek nie będzie należał do łatwych.

Krażyli naprzeciwko siebie, jeden potężny, barczysty, w lśniącej złotem zbroi, drugi zwalisty, z opiętym kolczugą wielkim brzuchem, w turkusowo-czarnej zbroi i w hełmie z wysokim grzebieniem. Silne konie parskają i gryzły wędzidla, rwąc się do walki.

Wreszcie Conan zaatakował. Miecz ześliznął się po błyskawicznie podstawionej mu tarczy. Jeźdźcy rozjechali się i znowu popędzili ku sobie.

Nigdy jeszcze pojedynek nie trwał tak długo. Wydawało się, że hrabia Rinzi zapomniał, z kim walczy; nie chciał ustąpić i atakował coraz zacieklej. Wreszcie przeciwnicy zderzyli się z taką siłą, że tarcza hrabiego rozleciała się, a Conan zachwiał się w siodle.

Pojedynek był skończony. Damy triumfalnymi okrzykami gratulowały królowi zwycięstwa, a on, objeżdżając polanę na rozgrzanym koniu, zdjął hełm, rzucił go giermkowi i zatrzymał się naprzeciwko łoża, w której siedziała królowa. Przyjmując od sługi puchar wina, kazał napelnić jeszcze jeden i podał hrabiemu. On również zdjął hełm i zadowolony z siebie, osuszył puchar jednym haustem.

Słudzy przyprowadzili do niego kasztanowej maści konia, z przytroczonymi do siodła skórzanymi sakwami wypełnionymi złotem. Conan zdjął z ręki tarczę z wizerunkiem aquilońskiego lwa i położył ją na siodle kasztanowego wierzchowca. Takie wyróżnienie wróżyło hrabiemu dalsze łaski i zebrany wokół polany naród wybuchnął

okrzykami zachwytu.

Gdy rycerze zdejmowali zbroje, słudzy pospiesznie ustawiali stoły na ucztę dla panów i wytaczali beczki z winem dla ludu.

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy Conan, przez cały dzień odpędzający od siebie myśl o czekającej go nocy, kazał siodłać konie. Uczta na polanie trwała w najlepsze, gdy król i królowa z niewielką świtą wracali do pałacu.

Przed szerokimi schodami jeźdźcy zsiadli z koni i koniuchowie przybiegli, by wyprowadzić zgrzane, przykryte czaprakami konie. Conan wszedł na galerię.

! Najdroższy, byleś dzisiaj po prostu wspaniała! A jak walczył ten grubas, hrabia Rinzi! Nie sądziłam, że tak potrafi utrzymać się w siodle. Wydawało mi się, że po pierwszym ciosie spadnie na trawę.

! Mnie też się tak wydawało... Jak widać, nie tylko za stołem, ale także w walce jest dobry. Trzeba pomyśleć o jakimś zadaniu dla niego, bo jeszcze trochę i jego koń nie zdoła unieść takiego brzucha. ! Conan uśmiechnął się, ale Zenobia widziała, że myśli o czymś innym.

! Przyjdiesz dziś do mnie? Będę czekać! ! Poglądziła delikatnymi paluszkami jego

zachmurzone czoło, próbując przepędzić mroczne myśli.

! Nie, nie przyjdę. Przez kilka następnych dni również nie będę mógł cię odwiedzić. Uwierz mi, niczego bardziej nie pragnę, niż zostać z tobą, ale nie mogę... Nie pytaj mnie teraz o nic, potem ci wszystko wyjaśnię... ! Pocałował ją namiętnie i nie oglą!

dając się, wyszedł. Zmartwiona i przestraszona Zenobia długo patrzyła na drzwi.

Damunk już czekał pod drzwiami sypialni.

! Panie! Przez cały dzień rozmyślałem nad tym, co powiedziałaś, i teraz ośmielę się z tobą nie zgodzić ! powitał króla.

! Tak? A z czym to się nie zgadzasz, Damunku? Nie pamiętam już, co mówiłem.

! Powiedziałaś, że Ragonem Sathem kieruje nie złość, lecz rozpacz! Przecież on znalazł się w tej wieży za karę za swoje złe uczynki, a rozpacz... Rozpacz czyni lajdaka jeszcze bardziej przebiegłym i niebezpiecznym! Teraz jesteś mu potrzebny, ale potem...

Nigdy jeszcze nie spotkałem złego maga, który dotrzymałby obietnicy. ! Głos starca dźwięczał niepokojem, medyk gotów był jeszcze długo ostrzegać króla przed chytrą czarownicą, ale weszła Imma i dwie służebne z winem i owocami.

Imma stanęła obok medyka. Nie spuszczała z Conana złocistych oczu. Chciała coś powiedzieć, lecz brakowało jej śmiałości.

! Co się z tobą dzieje, dziewczyno? ! zapytał wreszcie Damunk. ! Chcesz coś powiedzieć królowi?

! Tak, nauczycielu, jeśli mój pan pozwoli. Conan uśmiechnął się i pogładził ją po policzku.

! Co chcesz mi powiedzieć, mała uczennico wielkiego medyka? Mów, nie lękaj się.

! Conan usiadł w fotelu, z przyjemnością patrząc, jak dziewczyna nalewa wina do pucharów. Imma podała Conanowi jego ulubiony, ogromny puchar, podeszła do Damunka i spoglądając to na króla, to na medyka, zaczęła mówić.

! Jestem tylko twoją uczennicą, Damunku, ale i ja mam pewną wiedzę. Niech mój pan śmiało zamknie oczy i pogrąży się we śnie. Dzisiejsza noc będzie trudna, ale nie ostatnia. Tak mówi mi moje serce. Powiedz Damunku, czy się myli?

! Nie, dziewczyno. Jeśli tak mówisz, to znaczy, że tak właśnie będzie. Twoje serce widzi dalej niż moja mądrość. Cieszę się, że król wyjdzie z tego cało. A teraz, mój panie, zapewne już pora?

Conan dopił wino, walcząc ze snem. Wstał z trudem, skinął Damunkowi i Immie, wszedł do

sypialni i zasunął zasuwę. Potrząsając głową, by odpędzić sen, przebrał się szybko w przygotowaną wcześniej prostą odzież, przypiął do pasa miecz i runął na łożo jak podcięty.

IV

Ciemny wicher chwycił go, zakolysał, a potem ze świstem i wyciem poniósł w górę. Conan leciał jak wypuszczony z procy kamień i cały wszechświat wirował wokół

niego szaleńczo. Potem wiatr, jakby znudzony swoją zabawką, z rozmachem zrzucił go w dół. Conan miał wrażenie, że spadnie w bezdenną przepaść, ale opadł powoli na podłogę w miedzianej wieży. Czarownik siedział na tronie i pociągał wino z takiego samego ogromnego pucharu, z którego pił przed chwilą Conan. Już na niego czekał.

! No co, barbarzyńco, odczuleś cały urok życia? Dobrze się zabawileś przed ciężką pracą?

Conan stał przed nim w milczeniu, rozstawił szeroko mocne nogi, ręce położył na skórzanym pasie i trudno było odgadnąć, kto jest tu panem, a kto niewolnikiem. Czy ten, który siedzi na tronie i mrużąc oczy popija wino, czy stojący naprzeciw niego, spokojny i silny. Czarownik też to wyczuł.

! Dobrze zrobiłeś, słuchając mojej rady, Cymmerianinie ! ciągnął ze śmiechem, chcąc dopiec Conanowi. ! Jaka piękna dziewczyna z tej pomocnicy medyka! A jakie giętkie i silne ciało! Do tej pory drzę, wspominając jej objęcia. Teraz chyba kolej na królową!

! Wężu, nawet w dzień nie zostawiłeś mnie w spokoju! Śmiałeś...

! Tak, śmiertelniku, śmiałem! Nie zapominaj, że masz na sobie moją obręcz.

Należysz do mnie i w dzień, i w nocy. Wszystko, co czujesz ty, czuję i ja. To moja uciecha, moja rozrywka... Turniej też był niezły, ale wołałbym jeszcze jedną kobietę... Pamiętaj o tym, barbarzyńco!

Spokój Conana ulotnił się. Jak zawsze w chwilach gniewu jego ręka sięgnęła do miecza, oczy zapłonęły złowieszczym ogniem.

! Jeszcze pożałujesz, czarowniku, swoich rozrywek! Na razie ci służę, ale potem...

potem się policzymy!

! Śmiesz mi grozić, nikczemniku?! ! Czarownik wstał, odrzucając puchar. ! Mnie, władcy snów, panu życia! Chyba będę musiał rozgnieść cię jak wesz i poszukać kogoś innego. Albo idziesz, albo cię zniszczę! ! Przez chwilę świdrowali się nawzajem płonącymi oczami, wreszcie rozwścieczony Conan przesunął wzrok na ścianę.

Jedna z płacht poruszyła się ledwo zauważalnie, jakby ktoś się za nią krył. Czując na plecach

ciężkie spojrzenie czarownika, Conan bez zastanowienia, mocnym szarpnięciem zerwał kołyszącą się materię ze złotych kólek. Tkanina rozerwała się z trzaskiem i zobaczył przed sobą drgający pod nogami, niekończący się, migoczący korytarz.

Szedł, nie oglądając się. Kipiał ze złości. Damunk miał rację. Czarownikom nie należy ufać, nawet jeśli początkowo są tacy spokojni i mili. Niech sobie Ragon Sath myśli, że przestraszył Conana. Przyjdzie czas, że pozna ciężką rękę barbarzyńcy i ostrze jego klingi.

Żadne zaklęcia i czarnoksięskie talizmany go nie uratują! Lżąc w myślach przebiegłego czarownika najgorszymi słowami, Conan szedł lśniącym korytarzem, który wydawał się nie mieć końca.

Nagle lśnienie ścian jakby zmatowiało, przygasło i wkrótce król wędrował w kompletnych ciemnościach. Wyciągał przed siebie ręce i nogą wymacywał drogę przed sobą, aby nie spaść do jakiejś studni. Po kilku ostrożnych krokach natrafił na wilgotną, chropawą ścianę, a jego noga zaczepiła o jakiś przedmiot i rozległo się metaliczne orzeknięcie. Conan wybuchnął przekleństwami. Echo niespodziewanie głośno odbiło jego słowa. Cymmerianin usiadł i zaczął badać podłogę, próbując znaleźć przedmiot, o który się potknął. Jego ręka natrafiła na coś okrągłego. Było puste w środku i przypominało hełm bojowy. Conan obmacał go i pomyślał, że jest niemal identyczny jak ten, który zakłada na turniejach, tylko z przodu ma jakąś dziwną zasłonę. „Akurat przed oczami! I parsknął. I Niczego się przez nią nie zobaczy. Co za pomysł!”. Już chciał odrzucić hełm, by nie plątał mu się pod nogami, ale nagle poczuł nieodpartą chęć, żeby założyć ten dziwny przedmiot na głowę. Barbarzyńca aż się roześmiał. Dookoła ciemno, choć oko wykol, a on chce założyć hełm, w którym nawet w jasny dzień niczego nie widać. Śmiejąc się z siebie przez cały czas,

Cymmerianin ostrożnie włożył hełm i krzyknął ze zdumienia. Korytarz rozbliśnie

nieoczekiwanie stłumionym, liliowym światłem, w którym doskonale widoczne były ściany, podłoga i sklepienie wielkiej jaskini oraz biegnące w głąb korytarze. Jaskinia była wydrążona w środku jakiejś góry, a może wryta głęboko pod ziemią. Zdjął hełm, chcąc się lepiej rozejrzeć, ale natychmiast znowu otoczyły go ciemności. A więc to taki hełm! To po to potrzebna była ta sztuka przed oczami! Tutaj, za tymi czarodziejskimi drzwiami, wszystko ma jakiś ukryte znaczenie. Trzeba uważać, o co się potykasz, co ci spada na głowę, a przede wszystkim zaufać intuicji. To właśnie jest pomoc i podpowiedź przeklętego maga.

Conan znowu włożył hełm i jaskinia ponownie rozbliśnie liliowym światłem.

Zobaczył, że stoi nad krawędzią głębokiego dołu. Jeszcze dwa kroki i byłoby po nim.

Czuł, że powinien go ominąć, pochylił się jednak, próbując dojrzeć, co jest na dole.

Niemal natychmiast odrzuciło go do tyłu. Straszliwy smród gnijącej padliny zapierał

dech. W głębi bezszelestnie przelewała się połyskująca czerwonymi iskrami, przypominająca

gęste ciasto zielona masa. Plując i przeklinając szeptem Ragona Satha, który wtrącił go tutaj, Conan przywarł do mokrej ściany, ostrożnie ominął dziurę i zdecydowanie wkroczył do jednego z bocznych korytarzy. Nie wiedział, dlaczego właśnie do tego, i nie zastanawiał się nad tym. Miał niezachwianą pewność, że powinien pójść właśnie tędy.

Ciemność jakby cofała się przed nim, zastępowana liliowym światłem. Wyciosany w skale korytarz biegł w dół i ściekająca ze szmerem ze ścian woda płynęła strumyczkami po wyźłobieniach.

Conan szedł po nierównych kamiennych płytach. Miał wrażenie, że idzie już tak całą wieczność, że został skazany na dożywotnią wędrówkę po podziemnych korytarzach.

Nagle usłyszał krótki, ostry pisk i coś uderzyło go mocno w plecy, niczym rzucony kamień. W tym samym momencie poczuł ostry ból ramienia i odwrócił się gwałtownie, wyciągając miecz. Przenikliwy pisk rozległ się znowu i w hełm uderzyło niewielkie skrzydlate stworzenie z długim, ohydny, gołym ogonem. Conan pochwycił stwora i z całych sił ścisnął w pięści. Zachręściły kości, rozległ się pisk agonii i podrygujące małe ciało zwiótchało. Conan ze zdumieniem przyglądał się wstrętnej istocie. Nad jego głową latało z piskiem całe stado malutkich bestii. Nie atakowały jednak przybysza.

Conan nigdy nie widział takich zwierząt. Na jego dłoni leżało stworzenie mniejsze od szczura, z wielkimi, błoniastymi skrzydłami i silnymi, zakończonymi pazurami łapami. Zwieńczona twardym, kościanym grzebieniem głowa była mocno wysunięta do przodu i wyglądała, jakby składała się z samej zębatej paszczy. Zagięte do tyłu ostre zęby mogły wyrwać z ciała spory kawał mięsa. Długi, cienki ogon zakończony był wielkim, rozdwojonym kolcem. Gdyby całe stado tych żarłocznych stworów zaatakowało go jednocześnie, po kilku minutach z króla zostałyby kupka nagich kości.

Z rany na jego plecach ciekła strużka gorącej krwi. Dobrze, że miał na sobie płaszcz. Rana jest pewnie niewielka, ale trzeba się pilnować.

Wyciągnął miecz z pochwy i czekał, przywierając plecami do ściany. Latające wysoko pod sklepieniem korytarza stwory skrzeczały przenikliwie od czasu do czasu i wtedy kilka najbardziej zdeterminowanych pikowało na Conana, ale szybko wzbijały się w górę, bojąc się zaatakować. Widocznie wiedziały, co znaczy miecz. Przypominały stado zaniepokojonych wron.

Nagle wszystkie zaczęły piszczeć, zrobiły koło nad głową Conana i poleciały w głąb korytarza. Cymmerianin poczekał, aż zamilkną przenikliwe dźwięki i poszedł za nimi, jeszcze uważniej rozglądając się na boki. Nie zapominał również o wysokim sklepieniu, skąd mogło runąć na niego jakieś plugastwo.

Wkrótce usłyszał znajome popiskiwanie i trzepot dziesiątek skrzydeł. Korytarz rozszerzył się, zejście stało się bardziej płaskie, z przodu zamigotały błękitne rozbłyski.

Korytarz przeszedł w ogromną jaskinię. Z trudem można było wypatrzeć w ciemności tylną ścianę. Środek jaskini zajmowało jarzące się błękitem jezioro, do którego wpadały strumyki z licznych jednakowych korytarzy. Conan pomyślał, że musi jakoś zaznaczyć korytarz, którym będzie wracał. Jeśli oczywiście mag nie zatroszczy się o jego powrót.

Na wąskim pasku lądu, otaczającym idealnie okrągłe jezioro, leżało mnóstwo różnej wielkości kamieni. Wyglądały na bardzo ciężkie, ale gdy podniósł spory kamień, nie odczuł ciężaru. „Do licha, nawet kamienie są tu dziwaczne!”, pomyślał. Wszystko go w tym czarnym świetle drażniło i budziło w nim wstręt, pragnął z całej duszy wynieść się stąd jak najszybciej. Na razie musiał jednak zaznaczyć korytarz powrotny. Dość długo układał

z kamieni niezbyt wysoką piramidę, na koniec wetknął w nią jedną z porozrzucanych dookoła kości. Najwyraźniej oprócz ludzi przychodziły tu jakieś duże zwierzęta. Kość była ogromna, obgryziona do czysta, wyraźnie odbijała się na czarnym tle ściany.

Conan usiadł, opierając się plecami o podnóże swojej piramidy. Napił się wody z biegnącego do jeziora strumyczka i zaczął się zastanawiać, co dalej. Niepokojne stworzenia latały wysoko pod niemal niewidocznym w ciemności sklepieniem. Słuchając ich przenikliwych krzyków i patrząc na migoczące błękitem, nieruchome wody jeziora, zasnął.

V

Tymczasem nieskończenie daleko od jaskini, na dworze Talrancii piękną królową Zenobię dręczył niepokój. Do późna spacerowała po ciemnym ogrodzie, próbując odegnać smutek, ale światło księżyca, cykady i aromat kwiatów nasilały tylko lęk. Czula, że milczenie króla i jego nocna samotność kryła jakąś mroczną tajemnicę i jak każda kobieta była przekonana, że tylko jej miłość może odsunąć nieszczęście i uratować ukochanego od śmierci. Że królowi grozi śmiertelne niebezpieczeństwo, tego była pewna. Ale Conan niczego jej nie wyjaśnił i mogła jedyne czekać na świt. Wchodząc na galerię, spojrzała ze smutkiem na ciemne okna jego sypialni. Damy dworu nie rozumiały przyczyn nastroju swojej królowej i na próżno przez cały wieczór próbowały ją rozweselić. Królowa była obojętna na delikatną muzykę, na zabawny śpiew malutkich trefnisiów. Sprawiała wrażenie, że niczego nie widzi i nie słyszy. Wreszcie zostawiła przy sobie dwie służebne i poszła do swoich komnat. Pogrążona w smutku nie zauważyła milczącego cienia, który towarzyszył jej przez cały dzień i wieczór. Homar po swojemu wytłumaczył sobie nastrój królowej. Był pewien, że pomiędzy nią a królem doszło do kłótni, i uznał, że nadszedł

jego czas. Gotów był zrobić wszystko, aby choć na chwilę, na godzinę zdobyć miłość pięknej damy. Potem niech się dzieje, co chce. Niech go nawet zabiją. Jakiś głos szeptał

mu, że jest młody, urodziwy, jego delikatna skóra nie jest pokryta bliznami i szramami, a o swoich uczuciach może mówić w nieskończoność. Inaczej niż jakiś nieokrzesany barbarzyńca. A jak królowa patrzyła na niego wczoraj! Jej oczy kusily go, przyzywały, obiecywały... Król jest teraz u siebie i królowa nie spuszcza spojrzenia z jego okien. Jej serce przepelnia zapewne

uraza i gniew, a w takich chwilach kobiety są zupełnie bezbronne. Już on wie, jakimi słowami wzniecić jeśli nie ogień miłości, to przynajmniej płomień zemsty!

Damy dworu oddaliły się i Zenobia poszła do siebie ze służebnymi. Ależ ma szczęście! Ruda służka za porządne wynagrodzenie zawsze mówiła mu, w jakim nastroju obudziła się królowa, jakich pragnie rozrywek i teraz młody szelma bardzo liczył na jej pomoc.

Zenobia siedziała w zadumie przed lustrem, czekając, aż dziewczęta uczeszą ją na noc. Lubiała patrzeć na siebie w ciepłym, złotym świetle pochodni. Miała wtedy wrażenie, że jej skóra wydziela złoty blask, a czarne oczy patrzyły kusząco i zagadkowo. W tym czasie wchodził Conan i zbliżał się do niej powoli. Rozkoszując się widokiem jej długich włosów, próbował spotkać się wzrokiem z jej odbiciem. Teraz jednak nikt nie zaglądał jej w oczy, nikt nie podchodził bezszelestnie...

Zenobia westchnęła i wstała. Odesłała służebne, każąc im zostawić jedną pochodnię, i podeszła do łóża. Dziewczęta pierzchły, szepcząc cicho między sobą, a ona jeszcze przez chwilę siedziała na łóżu. Wreszcie potrząsnęła ze smutkiem głową i opadła na poduszki. Mocny sen natychmiast skleił zmęczone powieki.

Rudowłosa służebna o figlarnym spojrzeniu na wieść o tym, czego tym razem chce od niej młody wielmoża, początkowo się przestraszyła. Długo udawała, że nie rozumie, o czym mówi mężczyzna, potem odmówiła stanowczo, bojąc się ryzykować głową. Ale ciężka sakiewka i pierścioneł ze szmaragdem usunęły jej wahania. Powiedziała natychmiast hrabiemu, by czekał w galerii. Gdy droga do sypialni pani będzie wolna, da mu znać.

Homar wiedział, że to szaleństwo, ale nie mógł się już wycofać. Chwilami wydawało mu się, że w ciszy swojej sypialni królowa rozmyśla o nim, chwilami miał

wrażenie, że na rozkaz zagniewanej królowej kopie strażników przebijają mu pierś...

Ale oto dało się słyszeć ciche pochrząkiwanie i na galerię wysunęła się filuterna buzia. Nie wiadomo, dokąd rudej udało się odwieść strażników, ale droga była wolna.

Homar uchylił drzwi bezszelestnie i znalazł się w sypialni królowej.

Rozsunął ciężkie zasłony i zajrzał przez wąską szczelinę. Jedyna pochodnia trzaskała i dymiała aromatyczną smołą. Wzorzysta zasłona u wezłowania łóża była spuszczone i dostrzegł tylko brzeźek lekkiego jak piana nocnego stroju...

Czując, jak wali mu serce, Homar podszedł do łóża i wsłuchał się w równy oddech śpiącej. Już miał odsunąć zasłonę, by obudzić Zenobię bezczelnym pocałunkiem, gdy wzorzysta tkanina zakolysała się, jakby ktoś za nią stał. Pierwszą myślą młodego Homara było, że to konkurent. Odruchowo sięgnął po kindżał, zastanawiając się gorączkowo, kto śmiał stanąć mu na drodze. Nie było jednak czasu na długie rozmyślenia. Zasłona zerwała się z kółek i spadła mu na głowę, zatykając usta ścisłą tkaniną. Nie mógł ani złapać oddechu, ani krzyknąć. Rozpaczliwie walczył

z niewidocznym przeciwnikiem i coraz mocniej zaplątywał się w materiał. Po kilku chwilach na podłodze leżał wielki, podrygujący kokon.

Wszystko odbyło się szybko i bez hałasu. Królowa westchnęła i uśmiechnęła się przez sen, a ciężki, połyskujący jedwabście kokon uniósł się w górę i niczym ogromny nocny ptak wyleciał przez otwarte okno.

Kilku pijanych oberwańców, wracających ze śpiewem z karczmy, przykucnęło, uchylając się przed czymś ogromnym, co ze świstem i jękiem przeleciało nad ich głowami.

Przez chwilę spierali się, czy im się to przywidziało, czy nie, potem znowu podjęli pijacką piosenkę i poszli dalej.

Czarodziejska tkanina niosła swój wijący się i jęczący ciężar coraz dalej, na obrzeża miasta, ku smrodliwym pustkowiom i wysypiskom śmieci. Nad jednym z kanałów, pełnym bulgoczących i połyskujących w słabym świetle księżycy nieczystości, kokon wyhamował i tkanina zaczęła się rozwijać. Trzepocząc brzegami jak ptak skrzydłami, płachta materiału wzbila się ku niebu. Skulone ciało wpadło do kanału.

Smrodliwa ciecz zamknęła się nad nim, ale już po chwili z nieczystości wyłoniła się upačkana postać. Chwytając palcami za oślizgłe brzegi kanału, zsuwając się i znowu lądując w chlupiącej brei, klnąc i pochlipując, człowiek rozpaczliwie próbował się wydostać. Kilka razy zapadał się głęboko w maź i omal się nie utopił, ale strach przed tak niesławną śmiercią przydał mu sił. Gdy udało mu się wyczołgać z kanału, długo leżał

wśród odpadków, skorup i innych miejskich śmieci, dochodząc powoli do siebie.

Wreszcie podniósł się i chwiejnie, jak pijak po ciężkiej libacji, skrył się w ciemności.

VI

Otoczenie w nieuchwytny sposób zmieniło się. Conan drgnął i otworzył oczy.

Obejrzał się i zaczął uważnie nasłuchiwać. Jezioro lśniło spokojnym błękitem, ściekające z korytarzy strumyczki cicho szemrały... Wreszcie pojawił. Nie słychać jazgotu ohydnych stworów. Coś się zaraz stanie. Wszystko wokół przycichło i zamarło w napięciu.

Wydawało się, że nawet ściany zastygły w oczekiwaniu... Nagle na środku jeziora pojawiły się pęcherzyki i w stronę brzegu zaczęły biec malutkie fale. Potem woda zaczęła wrzeć i bulgotać jak w kotle. Wreszcie wszystko raptownie ustało. Ale zwodnicza cisza nie trwała długo. Z wody wynurzył się jakiś kulisty przedmiot. Wznosił się coraz wyżej i nad wodą pojawił się jakby ogromny, czarny pęk kwiatu. Gruba lodyga podtrzymywała stulone płatki, a woda skrzyła się oślepiającymi, błękitnymi rozbłyskami. Nagle pęk drgnął, po jaskini przetoczyło się westchnienie wiatru i spomiędzy rozchylających się płatków wytrysnęły ostre promienie purpurowego światła.

Wiatr hulał po jaskini i drżące płatki otwierały się coraz szerzej. Purpurowe światło oświetliło sklepienie. Dopiero teraz Conan mógł zobaczyć, jak wysoka była jaskinia. Ujrzał też poruszające się i popiskujące kiście szczepionych potwornych skrzydlatych stworów, wiszących nad jego głową. Gdyby tym latającym bestiom przyszło do głowy zaatakować, pokryłyby go grubą warstwą piszczących, zębatach ciał i nic by z niego nie zostało. Cymmerianin wzdrygnął się, wyobrażając sobie swój obgryziony do czysta szkielet, spoczywający w towarzystwie sterty innych kości, które leżały teraz pod jego nogami. On nie odda tańc łatwo swego życia.

Purpurowe lśnienie zalało jaskinię nieznośnym światłem i Conan, broniąc się przed oślepieniem, zdjął z głowy czarodziejski hełm. Zamiast nieprzeniknionej ciemności zobaczył różowe światło, czarne wody jeziora z płasającymi na falach purpurowymi błyskami i rozchylony czarny kwiat z migoczącym ognistym czerwonym środkiem.

Od razu pojął, że potrzebny mu właśnie ów świecący środek, owo drżące serce czarnego kwiatu. Czerwone jarzenie wabiło Cymmerianina i nie widząc niczego poza upragnionym celem, ruszył w stronę czarnej wody. Gdy był już w wodzie po kolana, krzyknął z potwornego bólu. Miał wrażenie, że wbito mu w kostki setki kindżałów, które poruszają się bezlitośnie w ranach, szarpiąc żywe ciało. Wyskoczył natychmiast na brzeg, padł na drobne kamyczki i popatrzył na swoje nogi. Wrzask gniewu i wstrętu wstrząsnął

jaskinią i Conan zaczął z furią odrywać przyklepione do nóg czerwone kłębki. Przyssane robaki wisiały kiściami na kostkach, kłębiły się w szczelinach sandałów z grubej, byczej skóry i w oczach puchły od wysysanej krwi. Conan odrywał je po kolei i klnąc, rzucał na ostre kamienie. Ohydne ciała pękały z pluskiem i rozplływały się jak gęsta, purpurowa galareta. Conan oderwał ostatniego robaka i obejrzał poranione nogi. Z wielu małych ranek sączyła się krew i zasychała powoli.

Nagle ciepłe, drżące światło zaczęło gasnąć. Conana przeszła myśl, że za daleko odrzucił magiczny hełm, ale na szczęście leżał tuż obok. Założył go pośpiesznie i zobaczył, jak czarny kwiat powoli stula płatki i zanurza się w wodę. Pęk skrył się w głębinie, jezioro zabulgotało i fale uderzyły o brzegi. Po chwili powierzchnia wody znieruchomiała. Skrzydlate stwory znowu zaczęły latać nad jeziorem, piszcząc i błyskając czerwonymi oczkami.

Conan siedział oparty plecami o stertę kamieni. Może powinien spróbować dostać się wpływ do czarnego kwiatu? Nie, to niemożliwe, przeklęte robaki wyssałyby go w połowie drogi. A jeśli cudowny kwiat wynurzy się ponownie dopiero za rok? Niechby nawet za miesiąc, co za różnica! Do tego czasu albo umrze tu z głodu, albo rozszarpia go latające bestie. Siedzenie i rozmyślanie, jaką śmiercią będzie mu sądzone umrzeć, nigdy nie było w zwyczaju Conana. Jeszcze nie zdążyła ulotnić się ostania myśl o zębatach potworach, mózg zaczął pracować w nowym kierunku. Sterta kamieni, którą Cymmerianin ułożył, żeby zaznaczyć wyjście z jaskini, podpowiedziała mu, w jaki sposób może osiągnąć cel. Ucieszony, że może cokolwiek robić, wstał, zdjął sandały, odciął kindżałem kawałek płaszcza i przemył rany na nogach. Gdy zmył zakrzepłą krew, okazało się, że ranki, chociaż było ich mnóstwo, już nie krwawią, a posiniałe, spuchnięte nogi niemal nie boją. Założył sandały i ze wstrętem popatrzył na plamę czerwonego

śluzu, rozplywającego się po kamieniach. Rozejrzał się uważnie. Wokół jeziora leżało mnóstwo kamieni. Powinno wystarczyć.

Conan wstał, podniósł spory głaz i położył go na brzegu jeziora. Potem jeszcze jeden i następny. Wkrótce lekko wystająca nad powierzchnię wody niewielka tama zbliżyła go do celu o kilka kroków. Gdyby jednak jezioro okazało się zbyt głębokie, cała jego praca poszłaby na marnotrawstwo. Owinął rękę połą płaszczem i przed wrzuceniem kolejnego kamienia mieczem mierzył głębokość jak drągiem. Jezioro nie było zbyt głębokie. Ręka w żadnym miejscu nie zanurzyła się powyżej łokcia.

Kamienie jeden po drugim przemieszczały się na dno jeziora, Conan dźwigał je jak niewolnik w kamieniołomach, budując swoją tamę.

W końcu nawet on poczuł się wyczerpany. Spryskał twarz i ręce zimną wodą ze strumienia, napił się i dysząc ciężko, usiadł obok sterty kamieni. Był bardzo głodny, ale odganiał wspomnienia pałacowych obiadów. Co tam obiady, wystarczyłyby zwyczajne suche placki, byle dużo! Lecz wokół niego leżały tylko martwe kamienie, pod którymi nie było niczego żywego. Skrzydlate, zębate stworzenia wywoływały jedynie wstręt.

Wiedział, że odwalil kawał roboty. Niemal połowa drogi do środka jeziora była już pokonana i nad wodą czerniała masywna tama z kamiennych brył. „Trzeba będzie zasypać szczeliny drobnymi kamieniami, bo jeszcze noga ugrzęźnie i będzie po mnie”, pomyślał zmęczony Cymmerianin, przymknął oczy i zdrzemnął się na chwilę. Może nawet zasnął na dłużej i w tej czarnej dziurze czas jak gdyby przestał istnieć. Wstrętne istoty latały z ohydnyim piskiem nad jego głową, strwożone jak mewy przed sztormem.

Szczególnie bezczelne osobniki przelatywały mu niemal przed samym nosem, najwyraźniej zamierzając w czasie następnej pętli wbić w Cymmerianina głodne zęby.

Hałas narastał i wkrótce chmura latających stworów przesłoniła Conanowi błękitne lśnienie jeziora.

Spodziewał się tego od samego początku, a gdy zobaczył koszarne kiście w purpurowym świetle rozwiniętego kwiatu, zrozumiał, że atak głodnych bestii jest nieunikniony. Ale barbarzyńca nie miał zamiaru zostawić tu swoich kości. Zerwał się i ze zdumieniem stwierdził, że jest wypoczęty i pełen sił. Głód ustąpił, myśli były jasne, ręka jak zawsze mocno ścisnęła miecz.

Stalowa klinga zaśnita i na wszystkie strony poleciały strzępy posiekanych ciał.

Miecz ze świstem ciał wirujące stado, a spod sklepienia nadlatywały coraz to nowe grupki piszczących stworów. Wkrótce kamienie pod nogami Conana przykryły rozrąbane, drgające ciała. Miecz bez ustanku świszczal w powietrzu, odpierając zaciekle atak.

Cymmerianin zaczął powoli tracić nadzieję, że jatka się kiedykolwiek skończy...

Potworów było zbyt dużo...

W pewnym momencie chmura ogoniastych ciał przerzedziła się jednak i Conan znowu ujrzał błękitne wody nieruchomego jeziora. Pozostałe przy życiu bestie z piskiem wzbily się ku sklepieniu i ponownie szczepiły w kiście. Zgiełk ucichł, słychać było tylko głośny oddech Conana i skrzeczenie zdychających stworzeń.

Cymmerianin kawalkiem płaszcza wytarł upačkany brunatną krwią miecz i z odrazą odrzucił brudny strzęp. Ohydny, kwaśny odór krwi malutkich potworów wywoływał fale mdłości. Conan napił się wody z podziemnego strumienia i znowu poczuł odświeżający przypływ sił. Spodobało mu się to nieoczekiwane uczucie, więc ukląkł i zaczął pić prosto ze strumienia. Nawet cudownego wina z pałacowych piwnic nie pił z taką rozkoszą, jak tę wodę, która nie wiadomo skąd sączyła się do jaskini, zasilając czarodziejskie jezioro.

Wstając z kolan, zerknął na swoje nogi. Spodziewał się ujrzeć sine krwiaki i liczne rany.

! Na Croma! A to dopiero! ! Nawet w słabym, błękitnym świetle doskonale było widać, że po ranach nie został nawet ślad. Tylko sandały miejscami zaczęły się już rwać.

Ich „ran” podziemna woda nie goiła.

Gdy oderwał wzrok od sandałów, środek jeziora już wrzał i fale biegly kołami, uderzając o brzeg. Przeskakując z kamienia na kamień, Conan pospieszył do krawędzi swojej tamy, Stanął na ostatnim wystającym z wody kamieniu, chciwie wpatrując się w kipiącą wodę. Czekał na pojawienie się czarnego kwiatu. Z krawędzi tamy widział

wyraźnie wrzenie lśniących wód i ogromną, ciemną masę, powoli wylaniającą się z głębin. Błękitne rozbłyski wiły się wokół pąka, który niespiesznie wylaniał się z tajemniczego podwodnego świata, by rozkwitnąć w tej ciemnej norze i oświetlić purpurowymi promieniami ohydne zacichłe stwory, strzegące jego spokoju. Od setek, a może od tysięcy lat kwiat wynurza się z głębin, nie mając pojęcia o czasie i słońcu. Teraz albo sam zginie, albo jaskini nigdy już nie rozjaśni purpurowe promienie i zębate potwory do końca świata będą wisieć w widmowej ciemności.

Conan zdjął helm, by nie oślepnąć od nieznośnego, rażącego światła i zajrzał w sam środek kwiatu. Płatki, które początkowo wydały mu się czarne, mieniły się złocistymi żyłkami. Pośrodku, niczym w szerokiej czarze, leżał niewielki, bijący jak serce środek, to płonąc równym, gęstym światłem, to rozblyskując czerwonym płomieniem.

Błyski oślepiającego światła stawały się coraz rzadsze, środek kwiatu dogasał

spokojnie. Światło nie docierało już do wszystkich zakamarków jaskini. Płatki drgnęły, zaczęły się zamykać i kwiat powoli zanurzył się w wodę.

Conan nie mógł opanować palącego pragnienia. Już miał sięgnąć po bryłkę światła, lecz poczuł

lodowate uklucie obroży czarownika i wrócił na brzeg, by kontynuować swoją pracę.

Musiał naznosić jeszcze wiele kamieni, by tama doszła do środka jeziora, a on mógł osiągnąć celu.

Zbierał kamienie, układał na stertę przy tamie, po czym wrzucał do jeziora. Kątem oka przez cały czas bacznie obserwował sklepienie. W każdej chwili spodziewał się ataku żarłocznych potworów, ale szeleściły tylko skrzydłami i popiskiwały, kotłując się na górze. Nie ponawiały próby ataku.

Ostrożnie opuszczając w wodę kamień po kamieniu i raz po raz mierząc głębokość, Conan stopniowo budował swoją tamę. Dno było dość równe, głębokość jeziora niemal jednakowa. Wrzucając kamienie do lśniącej, błękitnej wody, Conan widział kołyszące się białe kłęby robaków, czatujących w głębinie na następną ofiarę.

Gdy zdawało mu się, że jest już niemal u celu i po raz kolejny zanurzył dłoń z mieczem w wodę, by zmierzyć głębokość, nie napotykalająca oporu ręka zapadła się gwałtownie. Conan musiał chwycić się kamienia, by nie wpaść do jeziora. Koniec.

Podstawowa praca była zakończona i dotarł do miejsca, z którego wylaniał się czarodziejski kwiat. Pozostawało już tylko czekać... Chociaż, trzeba jeszcze zasypać dziury pomiędzy głazami. Conan spojrział na błękitną głębię i przeskakując z kamienia na kamień, wrócił na brzeg i zaczął nosić małe kamienie. Jakże się przydał jego mocny, dwu-warstwowy płaszcz podróżny. Cymmerianin sypał na niego kamienie i przenosił je do tamy. Tam starannie latał wszystkie dziury i wyrwy, by się nie potknąć, gdy będzie uciekał ze zdobyczą.

Nie sposób było określić, ile czasu trwała ta niekończąca się praca. Conan znosił

kamienie, odpoczywał pod piramidą głazów, pokrzepiał się wodą ze strumienia i znowu nosił... Miał wrażenie, że minęła cała wieczność. Ale oto zasypał już ostatnią szeroką szczelinę i udeptał kamienie. Z żalem popatrzył na to, co pozostało z płaszcza, i usiadł na brzegu, tuż obok swojej tamy, aby odpocząć. Widok błękitnego jeziora nużył i Conan nie miał najmniejszej ochoty patrzeć na spokojne, martwe wody. Odwrócił się plecami do błękitnego lśnienia, opuścił głowę na kolana i zamknął oczy.

Spać... Spać... Bardzo długo spać, a potem obudzić się W swoim pałacu, napić się młodego wina i zjeść kawał świeżego chleba... Zobaczyć niebo nad głową i złotą tarczę słońca... Poczuć dotyk delikatnych rąk, czule obejmujących szyję... Ale na razie jego szyję ścisnęła tylko lodowata obręcz i nie było sensu oddawać się marzeniom.

Conan potrząsnął głową, odpędzając wizje, obejrzał się i zerwał na równe nogi. To była decydująca chwila. Teraz zbierze plon swojej pracy. Czy nie odrywały się od bulgoczącego środka jeziora, nogi same niosły go po kamieniach.

Gdy od krawędzi tamy dzieliło go tylko kilka kroków, Conan zatrzymał się. Woda bulgotała i

wrzała tuż pod jego nogami, pryskając na kamienie. Ciemny pęk wynurzał się powoli.

Conan stał nieruchomo, jakby bojąc się wystraszyć płochliwe zwierzę. Oto wylania się z wody czubek pąka, już nad lustrem jeziora lekko kołysze się na grubej lodydze cały kwiat. Wreszcie płatki drgnęły i zaczęły się otwierać. Promienie purpurowego światła uderzyły w oczy Conana i zdjął pośpiesznie hełm.

Płatki rozchyłały się powoli, uwalniając zamknięte w środku oślepiające światło.

Kilka kroków od Conana, na poziomie jego piersi lśniło to, co miał zdobyć. Nie zastanawiając się dłużej, Conan rzucił się do przodu, oparł o twardy jak kamień płatek i wskoczył na okrągły kielich. Jeśli płatki się zatrzasną, to niczym mucha stanie się zdobyczą kwiatu. Myśl rozbłysła w świadomości i natychmiast zgasła. Nie miał czasu do namysłu. Jeszcze jeden krok i pochylił się nad czerwonym, pulsującym źródłem światła.

Ręce Ostrożnie zbliżały się do niego, jakby bojąc się oparzenia. Conan nie poczuł jednak żaru, tylko słabe ciepło. Pochwycił to coś, to purpurowe serce, jarzący się, ciepły kamień, i zeskoczył na swoją tamę. Za jego plecami rozległ się zgrzytliwy dźwięk, jakby zatrzasnęły się ogromne szczęki. Tama zakolysała mu się pod nogami. Kamienie rozpelzły się jak żywe na wszystkie strony, hełm potoczył się z brzękiem i zniknął pod wodą, a Conan ogromnymi susami pomknął do brzegu, ściskając w rękach lśniącą jaskrawym światłem zdobycz. Przypominała w dotyku ciepły kamień i ledwie mieściła się w dłoniach.

Czerwone rozbłyski migotały w jaskini. Latające stwory z piskiem runęły w dół i wzbijając fontannę rozbryzgów, szamotały się w wodzie. Conan biegł, ścigany przez jakieś ogromne, kłapiące szczęki, a może kamienne płatki...

Przeskakując z kamienia na kamień, Cymmerianin ze skarbem w rękach mknął do zbawczego korytarza. Pędził, nie zwracając uwagi na strome podejście i wsłuchując się w złowieszcze dźwięki za plecami. Nagle podłoga pod jego nogami zadrżała, z tyłu rozległ

się potworny łoskot i ze sklepienia posypały się drobne kamienie. Conan biegł, nie oglądając się. Liczył na siłę swoich nóg. Na ścianach korytarza niczym odbłask ognia migotały czerwone refleksy. Nagle stanął jak wryty.

! Do stu demonów! Na Croma, to niemożliwe! Pomocie Nergala, wpakowałeś mnie w pułapkę. ! W bezsilnej wściekłości patrzył na głuchą ścianę, po której sączyły się strumyczki wody. Korytarz skończył się. Usłyszał łoskot sypiących się kamieni i odwrócił

się. To, co zobaczył, wywołało kolejny wybuch przekleństw. Zgrzytając zębami, król jedną ręką przycisnął do piersi ciepły i jakby drżący kamień, drugą wyszarpnął miecz.

Lawina kamieni zasypała korytarz, odcinając Conana od świata. Została mu tylko maleńka pieczara długości kilku kroków. W dodatku nie był sam. Kamienie, które zasypały korytarz, odskakiwały na boki, jakby ktoś się przez nie przebijał. Ściskając miecz i koncentrując siły do

ostatniego skoku, Cymmerianin potrząsnął głową, odrzucając z twarzy zlepione włosy. Coś, co przebijało się przez warstwę zawalonych kamieni, odrzuciło wreszcie ostatnie gałzy. Na Conana wypełzał ogromny pęk, popychany z tyłu potężnym ogonem, który Cymmerianin brał za lodygę. Płatki otworzyły się gwałtownie, zaślniły liczne rzędy ostrych, zakrzywionych zębów. Tam gdzie wcześniej leżał migoczący purpurowy kamień, widać było czarną gardziel, otoczoną żółtymi, drgającymi mackami.

Płatki zamknęły się ze zgrzytem, by chwilę później rozewrzeć się jeszcze szerzej. W

ostatnim desperackim porywie Conan zamachnął się mieczem i z całych sił uderzył w poprzek potwornej paszczy. Miecz odskoczył od niej, krzesząc iskry. Conan odruchowo cofnął się o krok i oparł się plecami o mokrą ścianę. Nie zdążył wznieść ręki do kolejnego ciosu, gdy nagle wszystko wokół zawirowało i miecz wypadł z rozchylonych palców.

Conan leciał gdzieś, koziolkując. Mocno przyciskał do piersi lśniąca zdobycz.

Nie od razu zrozumiał, że stoi bosymi stopami na miękkim kobiercu. Otworzył

oczy i popatrzył na pokój w wieży. Wydawał mu się tak spokojny i bezpieczny w porównaniu z jaskinią. Conan odetchnął z ulgą. Z drugiej ściany również zniknęły tajemnicze drzwi i znowu czarownik wyciągał rękę po swój talizman.

Oczy Ragona Satha płonęły gorączkowo, jakby to on walczył z podziemnymi stworami. Ręka wyciągnęła się w stronę Conana władczo, ale Cymmerianin cofnął się o krok, nie wypuszczając z rąk drżącego kamienia.

! Jesteś desperacko odważny, śmiertelniku, i bardzo silny. Zaczynam myśleć, że może dasz radę pięciorgu drzwiom. Daj mi jak najszybciej ten talizman, chcę poczuć jego żywe ciepło.

Ręka czarownika majaczyła bardzo blisko i Conan ze znużeniem położył na niej kamień. Talizman zapłonął jasnym światłem i oto Ragon Sath trzymał już dwa złote trójkąty. Z triumfalną miną przyłożył je do siebie. Rozległ się niegłośny trzask i obie części talizmanu jakby się zrosły. Czarownik przycisnął je do piersi namiętnie, tak jak przed chwilą Conan przyciskał świecący, ciepły kamień.

! Chociaż nie szanujesz potęgi magów i ośmielasz się wstrząsać przekleństwami moje więzienie ! powiedział! ! jesteś moim niewolnikiem i będziesz musiał przejść przez wszystkie sześcioro drzwi ! machnął rękawem stronę płacht, a one zatrzepotały w odpowiedzi. ! A teraz wracaj do swojego pałacu i baw się dobrze! Dzień jest tak samo długi jak noc.

Conan słuchał słów maga, ledwo powstrzymując wybuch bezsilnego gniewu. Już miał zakląć, gdy porwał go wicher i poniósł, niedbale miotając nim na wszystkie strony, by wreszcie z rozmachem zrzucić na miękkie łoże i przysypać poduszkami. Zerwał się od razu na równe nogi i chwycił się za pas. Zapomniał, że broń została w plugawej pieczarze.

Z ulgą spostrzegł, że jest w swojej sypialni. Miecz leżał obok na kobiercu, sandały na nogach były całe, a narzucony na plecy płaszcz wyglądał jak nowy.

VII

Za drzwiami dały się słyszeć ciężkie kroki i brzęk zbroi. Przed drzwiami sypialni zmieniali się wartownicy. Conan podniósł miecz, włożył go do pochwy, zdjął płaszcz i otworzył drzwi.

Tym razem spał stary medyk, a Imma siedział w fotelu, przebierając kamyczki naszyjnika. Na widok króla krzyknęła radośnie, zerwała się z fotela i wybiegła mu na spotkanie.

! Wiedziałam, że wszystko dobrze się skończy! Nauczycielu, nauczycielu, zbudź się!

Damunk z trudem uniósł zmęczoną głowę. Na widok Conana otrząsnął się ze snu i wstał z fotela.

! Oto minęła druga noc, chwała Najjaśniejszemu Mitrze! Ile jeszcze nocy król ma służyć przekłétemu magowi?

! Jeszcze cztery... Na Croma, jaką ohydną pracę musiałem wykonać tym razem...

Nie pytaj, i tak nie opowiem. Potem, gdy wszystko się skończy, albo nigdy... Czuję się strasznie brudny. Hej, słudzy!

Na jego wezwanie podeszli dwaj paziowie, którzy czekali w pobliżu, by w razie potrzeby natychmiast spełnić każde żądanie króla.

! Biegnijcie szybko i kaźcie przygotować kąpiel z gorącą wodą! Przez całe rano będę się mył, żeby zmyć ten koszmar... Przynieście też wina i dużo świeżego chleba! !

Conan przypomniał sobie, o czym marzył w ciemnej, smrodliwej jaskini i uśmiechnął się.

Imma podeszła do niego nieśmiało.

! Tej nocy ciężko pracowałeś, panie ! rzekła. ! Czy będę mogła natrzeć twoje ciało leczniczym balsamem? Po kąpeli balsam wsiąknie w ciało i znowu odzyskasz siły.

! Doskonały pomysł! ! Na wspomnienie lubieżnego uśmiechu Ragona Satha Conan zgrzytnął zębami. ! Bardzo dobry pomysł, ale moje ciało natrze Damunk. Chyba nie jest aż tak zmęczony?

! Ten przekłéty czarownik jest teraz ciągle ze mną, i w dzień, i w nocy ! powiedział

łagodnie, widząc, jak dziewczynie zadrżały wargi i dotknął obroży. Imma ze smutkiem kiwnęła

głową i podeszła do stołu, aby nalać mu wina.

Świeży i wypoczęty po kąpieli, Conan wezwał do siebie Pallantyda. Długo omawiał z nim sprawy państwowe. Król nie spieszył się i doradca był zadowolony, że może wypowiedzieć swoje Zdanie o poborcach podatków, którzy, jego zdaniem, źle wypełniali swoje obowiązki w Tarancii.

! W prowincji, panie, nie wygląda to jeszcze tak źle, ale tutaj, w stolicy, w bogatym mieście, wprost woła o pomstę do nieba. Jestem pewien, że kupcy i rzemieślnicy przekupują poborców i dlatego do skarbu nic nie wpływa. Tylko biedacy posłusznie płacą podatki, ale przecież państwo nie może funkcjonować za te grosze!

! Masz rację, Pallantydzie, trzeba będzie coś przedsięwziąć... Za kilka dni wrócimy do tej sprawy, ale teraz muszę cię zostawić...

Conan wyszedł do ogrodu i udał się w najdalszy zakątek, gdzie lubiła odpoczywać Zenobia. Nie pomylił się. Królowa siedziała pod ogromnym drzewem, w którego cieniu nawet w upalne dni panował chłód. Wokół niej, na rozłożonych na trawie kobiercach usadowiła się świta. Naprzeciw siedział jakiś starzec i coś opowiadał.

Conan podszedł bliżej i damy wstały, by się pokłonić. Opowiadający też wstał i chciał odejść, ale Zenobia kazała mu zostać. Conan usiadł obok żony i pocałował ją.

! Kto to jest, najdroższa? ! zapytał. ! I dlaczego u was tak cicho. Ani muzyki, ani pieśni?

! Miły mój, tego staruszka spotkała w mieście jedna ze służebnych, a następnego dnia czeladź mówiła tylko o nim. Byłam ciekawa i kazałam go tu przyprowadzić. Jak dobrze, że przyszedłeś! Zna tyle starych historii i tak zajmująco opowiadał tylko posłuchaj!

Starzec rzeczywiście opowiadał tak ciekawie, że nawet Conan, który niespecjalnie lubił słuchać ulicznych opowiadaczy bawiących prosty lud, siedział zasluchany. Dopiero gdy głód przypomniał mu o obiedzie, wstał, rzucił starcowi złotą monetę, kazał nakarmić go w królewskiej kuchni i zaprowadzić do Damunka.

! On cię tak szybko nie wypuści, staruszkule! Nasz medyk będzie słuchał twoich opowieści do wieczora, a potem wszystkie zapisze.

Żeby jakoś zabić czas i nie dostarczyć przy tym czarownikowi rozrywki, kazał po obiedzie osiodłać Oriona, założył prostą tunikę i płaszcz, wyjechał z miasta i pogalopował

wzdłuż brzegu Horotu. Do pałacu wrócił, gdy słońce chyliło się ku zachodowi. Rzucił

koniuchowi wodze i szybkim krokiem poszedł do sypialni.

Damunk z niepokojem spoglądał w okno na czerwieniejące chmury i zdenerwowany chodził z kąta w kąt. Na odgłos szybkich kroków odetchnął z ulgą.

! Nareszcie! Już zaczynałem się niepokoić, że sen pochwyci mojego króla gdzieś w polu albo wprost na ulicy.

! Trochę się przespaliśmy nad rzeką. Jak ci się podobał, medyku, ten stary gaduła?

Wielu już widziałem, ale ten zna najwięcej opowieści i dlatego go do ciebie posłałem.

! Zostawiłem go na noc i jutro cały dzień będzie mi opowiadał swoje bajki. Nawet ja niewiele z nich słyszałem, nie mówiąc już o Immie.

! A właśnie, gdzie jest dziewczyna? Przez cały dzień nie widziałem jej.

! Szykuje na rano leczniczą nalewkę, mówi, że będziesz jej, panie, potrzebował.

! Skoro tak, to znaczy, że przeżyję! Do jutra, Damunku, już czas!

Drzwi zamknęły się za królem, a medyk usiadł w fotelu i dla zabicia czasu zaczął przywoływać w pamięci opowiedziane przez starca historie.

Conan w tym czasie stał już w miedzianej wieży przed Ragonem Sathem i słuchał jego drwiącego śmiechu.

! Nieźle spędziłeś ten dzień, władco, wcale nieźle! Czy po to człowiek zostaje królem, żeby tak się nudzić? Pożałowałeś mi odrobiny swojego życia, swoich wrażeń.

Dobrze więc. Skoro ty nie chciałeś mnie rozerwać, ja rozerwę ciebie. Przechodź przez te drzwi!

Czarownik wyciągnął rękę w kierunku jednej z zasłon i Conan poszedł w tamtą stronę, posłuszny popychającej go nieznannej sile. Znalazł się w ciemnościach i od razu się zatrzymał.

Nic nie widział, słyszał tylko jakieś odgłosy. Przybliżały się stopniowo, stawały się głośniejsze i wyraźniejsze. Były tak znajome, że zaklął mimo woli.

! A niech mnie Nergal, czy przypadkiem z łaski tego przeklętego czarownika nie zaniósł mnie do Shadizaru? Tego by tylko brakowało!

W napięciu wsłuchiwał się w przenikliwe odgłosy klótni, nawoływania, brzęk dzwoneczków i skrzypienie wozów. Czuł, że jest pośrodku ogromnego bazaru, ale kłęby mgły, którą tak lubił puszczać Ragon Sath, nie pozwalały niczego zobaczyć.

Po jakimś czasie znudziło go wsłuchiwanie się w ten hałas. Usiadł na ziemi i czekał wsparty o coś twardego. Wszak znalazł się tu nie po to, by po omacku błądzić w gęstej mgle. Skoro czarownikowi się nie spieszy, to jemu tym bardziej.

Jakby podsłuchując jego myśli, mgła zaczęła rzednąć i przed oczami Conana pojawiły się niewyraźne zarysy. Tuż obok niego przesunęły się pobrzękujące dzwoneczkami wielbłądy. Poganiacze wrzeszczeli przenikliwymi głosami, rozganiając powolnych przechodniów. Nosiwody snuli się ze swoimi dzbanami, omal nie potykając się o wyciągnięte nogi Conana. Nie, to nie był Shadizar ani żadne z miast, które znał.

Mgła przemieniła się w lekką mgielkę upału i Conan mógł swobodnie przyjrzeć się dziwnemu miejscu. Wyglądało na ukryte przed ludzkim wzrokiem miasto wszystkich czarowników i demonów, do którego można trafić wyłącznie w koszmarnym śnie. Bo tylko czarnoksiężnicy mogli zbudować takie pałace, wysokimi wieżami wzbijające się w niebo i rywalizujące ze słońcem blaskiem złota i drogich kamieni. Tylko w ich mieście ulice mogły być wyłożone zieloną z żółtymi wzorami, drogocenną mozaiką, lazuruwą, niczym morze z białymi zawijasami piany.

A jacy dziwni handlarze siedzieli w przystrojonych kramach! Skrzydlate istoty ze srebrzystymi, błyszczącymi twarzami śpiewnymi głosami proponowały dziwaczne owoce.

Na grubym, wzorzystym kobiercu brązowy, pomarszczony starzec ze świńskimi uszami i złotym kółkiem w nosie skrzypiącym głosem zachwalał sandały, które rwały się w niebo, przytrzymywane sznurkiem przywiązany do jego ręki...

Conan zamknął oczy, potrząsnął głową i uniósł powieki. Nic się nie zmieniło.

Tylko handlarzy zasłoniła krocząca powoli karawana malutkich, nie większych od konia słoni, przyozdobionych bogatymi czaprakami z jedwabnymi frędzlami, obok których szli wychudli, półnaczy ludzie w ogromnych turbanach. Ich pokrzykiwania zlewały się z rykiem słoni i zagłuszały pozostałe odgłosy.

Conan rozejrzał się uważnie i stwierdził, że siedzi pod wysokim, rozłożystym drzewem nieopodal bazarowego placu. Poruszone wiatrem liście nie szeleściły, lecz stukały o siebie cichutko. Conan przyjrzał się im i zobaczył, że to nie liście. Na gałęziach wisiały cieniutkie, zielone, kamienne płytki na brunatnych szypułkach. A przecież to było drzewo, najprawdziwsze drzewo!

! Na Croma, co to za miejsce? I gdzie w tym zamęcie mam znaleźć to, co najważniejsze? Rok będę tu sterczał, a i tak niczego nie zrozumie.

Conan wstał, otrzepał się i ruszył powoli przed siebie, oglądając stragany.

Handlarze rzucili się do niego z desperackimi krzykami, próbując zaciągnąć go do swych straganów. Wydawało się, że Cymmerianin jest jedynym klientem w tym dziwnym mieście. Wszyscy sprzedawali, lecz nikt niczego nie kupował. Coś tu było nie tak, coś wzbudzało czujność i nie pozwalało zatrzymać się przy mieniących się tkaninach, pękach aromatycznych owoców i broni dziwnej roboty. Conan siedł, nie zwracając uwagi na wyciągnięte ręce z kuszącym towarem. Nie słuchał przyzywających głosów.

Nagle ktoś z tyłu szarpnął go za płaszcz, potem pociągnął go ostro. Conan odwrócił

się rozgniewany, gotów dać nauczkę nachalnemu handlarzowi. Ale przed nim stał zwykły obdarty starzec. Nie miał trzepoczących skrzydeł, łuski na plecach ani złotych włosów na głowie. Widok normalnej ludzkiej twarzy w tłumie dziwolągów sprawił Conanowi ogromną ulgę. Gdy jechali, chciał go o coś zapytać, starzec pokręcił tylko głową, dotknął

warg koniuszkiem palców i kiwnięciem głowy dał do zrozumienia, by Conan szedł za nim, po czym odwrócił się gwałtownie i rzucił w tłum. Conan musiał przyspieszyć kroku, żeby nie stracić go z oczu.

Pstre lachmany starca zamigotały daleko w przedzie. Cymmerianin podążał za nim, uchylając się przed czerwonymi wielbłędami załadowanymi błękitnymi naczyniami i przed brodatymi handlarzami ze skrzypiącymi wozami. Wreszcie wydostał się na szeroką ulicę, zabudowaną w całości wysokimi wieżami i pałacami, ostrymi iglicami wzbijającymi się w niebo. Druga uliczka, trzecia i oto znaleźli się na pustkowiu, porośniętym rzadkimi kępami kłującej trawy i niewysokimi drzewami z czerwono-zielonymi, kamiennymi płytkami liści. Nieopodal widniał mur miejski z ogromnymi, ciężkimi wrotami, przy których pełnił straż oddział uzbrojonych jeźdźców na jednorożcach.

Starzec usiadł pod krzewem, wybierając miejsce niewidoczne od strony bramy i pokazał Conanowi, by usiadł obok. Z zachwytem patrzył na króla, na jego potężne ramiona i szeroką pierś. Wzdychał, jakby coś wspominając.

■ I ja niegdyś byłem takim zuchem, klnę się na Croma ■ odezwał się wreszcie. ■

Chociaż ty chyba jesteś bardziej krzepki.

Ten przeklęty demon, bodaj zdechł w swojej wieży, zsyła śmierć na najlepszych, najsilniejszych ludzi! Nie umrzesz wprawdzie, jeśli tu ugrzęzniesz, ale to i tak nie lepsze.

Starzec się tu, w niewoli demonów, które zleciały się z całego świata na ten swój przeklęty bazar! Tfu, lepiej mi było umrzeć w kołysce!

■ Ty także byłeś u Ragona Satha? Skąd wiesz, że jestem jego jeńcem?

■ Przeklęta obręcz ścisnęła kiedyś również moją szyję. Tutaj uwolniłem się od jednego demona, aby znaleźć się w niewoli innego. Patrząc na ciebie, śmiało mogę powiedzieć, że pochodzisz z Cymmerii. Ten kraj był niegdyś również moją ojczyzną.

Moje imię Kaltus, może o mnie słyszałeś? Nie, raczej nie. Jesteś zbyt młody, chociaż w tym przeklętym mieście czas płynie jakoś inaczej...

■ Nie, starcze, nie słyszałem o tobie, ale wierzę, że byłeś słynnym wojownikiem.

Cymmria zawsze była matką potężnych synów. Niech mnie piorun strzeli, co mam znaleźć w tym ogromnym mieście? Przecież ty też czegoś szukałeś?

! Szukałem i nie znalazłem. Można spędzić tu całe życie i nie dowiedzieć się, czego ten lajdak potrzebuje. A trzeba to znaleźć, kupić i jeszcze zdążyć wynieść za bramę miejską przed zachodem słońca. Tutaj, w Szaissie, panują określone prawa. Każdy śmiertelnik, który tu trafi, jest upragnionym klientem. Proponuje mu się wszystko ! pałac, słonia, dziewczynę, broń. Za każdą rzecz trzeba zapłacić tylko jedną monetą. Dowolną, nawet miedziakiem. Ale jeśli kupisz więcej niż jedną rzecz albo będziesz tu jeszcze po zachodzie słońca, gdy zamykają bramę, na zawsze staniesz się jeńcem tego miasta.

Czarownicy i magowie wykorzystują potem takich nieszczęśników do najbrudniejszych prac i karmią ich za to resztkami. Do tej pory nie mogę pogodzić się ze swoim losem. Nocą zaganiają nas do zagrody i zamykają jak bydło, a sami oddają się swoim ohydny praktykom. Nawet nie chcę o tym mówić!

! Po co mnie tu zawołałeś? Żeby o tym wszystkim opowiedzieć? Obawiam się, że to niewiele pomoże. Ani ty, ani ja nie wiemy, czego może potrzebować Ragon Sath, a kupowanie byle czego nie ma sensu.

! Dla mnie ma. Gdybym miał choć jedną monetę! Teraz, gdy nie mam już na sobie tej przeklętej obroży, mógłbym się stąd wydostać. Może i ty zdołasz kiedyś uciec, gdy następny zniewolony przez Ragona Satha zechce ci pomóc. Gdybym miał monetę, kupiłbym cokolwiek i wybiegł za bramę. I wtedy znalazłbym się w domu.

Wprawdzie jestem już stary i słaby, ,ale znowu byłbym wśród ludzi. Byłbym najszczęśliwszym z nędzarzy, śpiewałbym pieśni i tańczył na weselach. Ech, co tu gadać...

! Starzec odwrócił się, strząsając nieproszoną łzę. Conan już sięgnął do sakiewki, wiszącej przy pasie, ale starzec powstrzymał go z przerażeniem.

! Nie! Nie dawaj mi jej! To przeklęte miasto. Jeśli dasz mi choćby miedziaka, stracisz wszystkie swoje monety.

! Jak w takim razie mam ci pomóc?

! Wymyśl coś! Jesteś młody, silny, bystry, a ja jestem już starcem. Spróbuj mnie uratować, a może i ja będę mógł ci pomóc.

Conan pomyślał chwilę, potem uśmiechnął się, mrugnął szelmowsko do starego i ruszył powoli w stronę bazaru. Po kilku krokach zatrzymał się raptownie, zdjął z pasa sakiewkę i zaczął liczyć pieniądze. Starzec stał nieopodal, z nadzieją przyglądając się jego poczynaniom. Nagle obok nich przejechał jeździec na ośmionogim koniu i zapatrzony na owo dziwo Conan upuścił kilka monet. Nie zauważywszy straty, wsunął pieniądze z powrotem do sakiewki, przywiązał ją do pasa i zdecydowanym krokiem poszedł w stronę kramów. Starzec krzyknął cicho z radości,

podniósł pospiesznie monety i pobiegł za Conanem, starając się zachować pełen szacunku dystans. Szedł za nim jak cień, próbując odgadnąć, co kupi jego zbawca, i łamiąc sobie głowę, jak mu pomóc.

Conan zajrzał do jednego kramu, do drugiego, trzeciego i poczuł, że kręci mu się w głowie. Odwiedził dopiero trzy kramy, a ile już zdążył zobaczyć. I eliksir wiecznej młodości, i płaszcz, który czyni człowieka niewidzialnym, i wieniec mędrca, który pomaga władcy podejmować zawsze słuszne decyzje... Tyle wszelkich różności, że nie sposób zapamiętać. Spojrzał w niebo. Słońce stało wysoko. Czasu było dużo, ale miasto wielkie. Jeśli to, czego szuka, znajduje się nie na bazarze, tylko na przykład w pałacu? Aż zaświerzbily go ręce, żeby skrócić kark przekłębtemu Ragonowi Sathowi.

Wszystkie demony w kramach miały chytre mordy, jeśli można je nazwać mordami. Nawet jak na koszmarny sen zbyt dużo było tu zielonych uszu, jednookich twarzy i włochatych trąb w miejscu nosa. Wszyscy czarownicy są mistrzami w przybieraniu ludzkiej postaci, ale tutaj chyba ukazywali swoje prawdziwe oblicza. Na pewno bardzo łatwo mogliby omamić zwykłego śmiertelnika. Przejdziesz, człowieku, obok talizmanu, a taki niczego ci nie podpowie, nie pomoże... Przekłębtemu czarowniku, gdzie twoja obiecwana pomoc i podpowiedz? Kipiący złością Conan wsłuchał się, czy magiczna obroża nie da mu jakiegoś znaku, ale potężna szyja Cymmerianina nie odczuła żadnej gwałtownej zmiany temperatury. Król wpadł w przygnębienie. Szedł dalej, nie zaglądając do kramów i nie zwracając uwagi na różnogłose okrzyki sprzedawców. Nagle jego uwagę przyciągnął zwracający się najwyraźniej nie do niego piskliwy głos.

! Śmierdzący niewolniku, parszywy próżniaku, jak śmiesz włóczyć się po ulicach, zamiast czyścić doły kloaczne! Ty synu suki, doczekasz się, że powieszą cię za nogę na Wielkim Kolcu, na uciechę dzieciom Himry! ! Piskliwa istota zachichotała ohydnie.

Conan obejrzał się i zobaczył tłustego draba w jaskrawoniebieskich, atlasowych szarawarach i czerwonych butach z wywiniętymi noskami. Wspaniały brokatowy pas kilkakrotnie owijał trzęsący się od śmiechu, goły, włochaty brzuch. Conan podniósł oczy i zobaczył głowę piskliwego stworzenia. Wolął już patrzeć na szarawary ! były bez porównania ładniejsze. Tłuste, brązowe policzki zwisały niemal do ramion, okrągła, lysa głowa tłustymi fałdami przechodziła we włochate plecy, dwa węgielki oczu śmiały się złośliwie spod spoconych wałków brwi, a nos... „Niech mnie Nergal, jeśli to jest nos!”, pomyślał Conan, ledwo powstrzymując się od śmiechu. Wstydlawy strzęp wilgotnej skóry zwisał nad górną wargą, kołysząc się w takt głośnego oddechu. Podpierając się pod boki tłustymi rękami, brzydkie stworzenie patrzyło z góry na ziomka Conana. W starcu tymczasem dokonała się zdumiewająca przemiana. Wysunął nogę do przodu, założył ręce do tyłu i śmiało spojrzął drabowi w oczy.”

! Ty kupo łajna, czego stoisz jak Gość? Powiedziałem, że zawieszysz na Wielkim Kolcu!

Wrzaski rozzłoszczonego grubasa wzbudziły zainteresowanie gapiów. Conan podszedł bliżej, żeby zobaczyć, czym się to wszystko skończy. Zdaje się, że sprawy starego nie wyglądały

najlepiej. Najwyraźniej nie miał zamiaru uciekać do kloacznych dolów. Tym lepiej, w tym plugawym miejscu sam Crom kazałby mu popracować pięściami. Odsuwając na boki ciekawskie potwory, Conan stanął za plecami grubasa, gotów grzmotnąć go w każdej chwili, ale wtedy odezwał się starzec, a w jego głosie dźwięczała nienawiść i triumf.

! Jeszcze zobaczymy, kto dziś ozdobi Wielki Kolec! Trzęsąca się, smrodliwa galareto, ośmieliłeś się odezwać nieuprzejmie do Gościa! Hej, straż, obrażono Gościa!

Starzec wyciągnął zza pasa monety i podrzucając je na dłoni, zrobił krok w stronę grubasa. Ten zamarł. Od intensywnego wysiłku umysłowego spurpurowiał mu kark.

Grzechocząc zbroją i tarczami, podbiegli strażnicy w wysokich, spiczastych hełmach.

Starzec prawie podskakiwał w miejscu z radości, wskazując grubasa i brzęcząc monetami.

! Odezwał się do mnie w lekceważący sposób, obrzucił mnie obelżywymi słowami i groził Wielkim Kolcem! Mnie, Gościowi! ! wykrzyknął.

Otoczające ich istoty zahuczały, kiwając głowami, niektóre zaczęły nawet pluć na grubasa, który padł na kolana, wyjął. Strażnicy chwycili go za ręce i nogi i powlekli gdzieś szybko. Tłusty zad ciągnął się po ziemi i Conan z przyjemnością zauważył, że piękne szarawary pękły.

Kramarze znowu zaczęli na wypródki zachwalać swój towar, szarpiąc starca za pstre lachmany. Ciągnęli Conana za płaszcz, ale jego groźny wygląd kazał im się cofnąć i tylko z bezpiecznej odległości zagłuszali jeden drugiego, wrzeszcząc o swoich cudach i dziwnościach.

Nie zwracając uwagi na harmider, Conan podszedł do starego.

! I co teraz? ! zapytał. **! Ty kupisz sobie jakąś osobliwość i wyniesiesz się stąd, a potem będziesz mógł ją pokazywać na wiejskich świętach. Nakarmię cię, napoją winem...**

A ja? Co ja mam robić?! Patrzeć już nie mogę na te kramy, a słońce niedługo zacznie zachodzić. Co za plugawe miejsce!

! Posłuchaj, królu, nie martw się na zapas, może jeszcze będzie dobrze! Pójdziemy do kramu, tam, na skraju bazaru i kupię to, co dawno już sobie wybrałem. A potem, jak Mitra pomoże, coś wymyślimy!

! Dobrze, prowadź do tego swojego kramu. Zobaczymy, co zabierzesz stąd do Cymmerii.

Wkrótce dotarli do dużego, bogato zdobionego kramu. Stojący przed wejściem nawoływacz, gruby karzelek z ogromnym, krzywym kindżalem przy pasie dłuwał z nudów w nosie jednym z licznych palców. Druga, siedmiopalcza, a może ośmiopalcza ręka dumnie spoczywała na rękojeści klingi.

Na widok dwóch kupujących karzeł rozdziawił usta i wytrzeszczył oczy.

! Najlepsze w Szaissie dzbany z winem! ! zawył, gdy wreszcie ochłonął. ! Pijesz i pijesz, a ono nigdy się nie kończy! W żadnym innym kramie Goście nie znajdą Ptaka Mówiącego Prawdę! Tylko u nas! Jeśli Goście wejdą, piękna Zirina pokaże osobliwości, od których mroczy się umysł i zamiera serce!

Gdy już nasłuchali się przenikliwych krzyków małego nawałowacza i napatrzyli na żywiolową gestykulację wielopalczastych rąk, weszli do kramu pięknej Ziriny.

Conanowi oczy rozbiegły się na widok lśniących ozdób, błyszczącej broni i zbroi, jaskrawych kolorów kobierców i tkanin. Nie od razu zauważył właścicielkę, która patrzyła na niego z uśmiechem.

Nie na darmo gruby karzelek nazywał ją piękną Zirina. Kobieta stała przy małym, bogato inkrustowanym drogocennymi kamieniami i masą perłową stoliczku i patrzyła na gości ciemnymi, bezdennymi oczami. Jej ubranie, przypominające strój vendhyjskich tancerek, nie kryło przed chciwymi oczami żadnych wdzięków. Gładki, sprężysty brzuch, odsłonięte do połowy piersi, długa, smągła szyja ozdobiona licznymi obręczami i czerwone, śmiejące się usta obiecywały szczęśliwcowi wiele, bardzo wiele...

Uśmiechając się zagadkowo, Zirina postawiła na stoliku wysoki, srebrny dzban i trzy puchary. Dwa złote, bogato ozdobione błyszczącymi klejnotami i jeden zwyczajny, ołowiany, jaki zazwyczaj można zobaczyć w karczmach. Nalała wina do złotych pucharów.

! Wypij, królu Conanie, upragniony gościu Szaissy ! odezwała się uprzejmie. !

Wypij i ty, stary Kaltusie, niegdyś niewolniku, a teraz drogi Gościu! Często zachodziłeś do mojego kramu i wiesz już zapewne, co chcesz kupić. Królowi pokażę coś, czego być może nie odmówi. Powiedz, królu, czy twoim zdaniem jestem ładna? ! Kobieta przeszła się przed nim, kołysząc kusząco biodrami i serce w piersi Conana załomotało jak oszalałe.

Wydała mu się nagle najbardziej pożądaną kobietą na świecie.

! O tak, jesteś piękna! Zapewne tylko tu, w Szaissie, żyją tak piękne kobiety.

! A teraz popatrz tutaj, królu! ! Zirina szarpnęła zasłonę, kryjącą coś w głębi kramu. Conan i Kaltus podeszli bliżej i zamarli jak rażeni gromem. W niewielkiej niszy, oświetlonej jasnym

światłem oliwnej lampy, siedziała na kobiercu dziewczyna o złotych włosach. Gdy odsunęła się zasłona, dziewczyna uniosła głowę i na Conana spojrzała twarzą, która mogła przyśnić się w najpiękniejszym ze snów...

Szafirowe oczy pod cienkimi, lekko zmarszczonymi brwiami patrzyły ze smutkiem i pokorą. Na białych jak śnieg policzkach igrał lekki rumieniec, podobne do malutkiego pąku róży, zaciśnięte

usta stworzone były do miłości.

Spotkała się wzrokiem z Conanem i zalala się rumieńcem. Wargi dziewczyny uchylily się, pokazując oślepiająco białe zęby. Zrobiła krok w jego stronę i na jej nodze zadźwięczał cienki, stalowy łańcuch.

! To mój najlepszy towar! No i jak, która z nas jest ładniejsza?

Zirina podniosła głowę niewolnicy za podbródek. Przy złotowłosej dziewczynie uroda Ziriny zupełnie zbladła. Conan, nie odrywając od dziewczyny oczarowanego wzroku, sięgnął ręką do sakiewki.

! A jużci, takiemu gładyszowi jak król Conan miałyby się podobać stuletnie staruchy! ! rozległ się z tyłu cienki, jadowity głosik. ! Jesteś w Szaissie, królu, tutaj nic nie jest takie, jak się wydaje!

Conan obejrzał się i zobaczył w ogromnej klatce niebieskiego ptaka z kpiącymi, czarnymi oczami.

Nie rozumiejąc, o jaką staruchę chodzi, Conan spojrzal na dziewczynę i aż się cofnął. Przed nim stała pomarszczona, bezzębna, chuda jak szkielet starucha i z zachwytem patrzyła na króla wyblakłymi, ropiejącymi oczami. Na cienkiej, brązowej nodze wiedzmy kołysał się stalowy łańcuch.

Właścicielka spochmurniała, zasunęła zasłonę i podeszła do klatki z ptakiem.

! A to się rozgadał, łobuz jeden! Ciebie to już na pewno nikt nie kupi. Komu jesteś potrzebny, Ptaku Mówiący Prawdę? Nikt nie lubi prawdy. Siedz cicho! ! Z tymi słowami Zirina narzuciła na klatkę dużą, jaskrawą chustę, ptak ćwierknął urażony, pokręcił siei ucichł.

Tymczasem stary Kaltus szukał czegoś w leżącej na podłodze stercie broni.

Wreszcie z triumfalną miną wyciągnął ogromny miecz z prostą, niezdobioną rękojeścią, w szerokiej, skórzanej pochwie.

! Po to właśnie przyszedłem. Oto on, Cudowny Miecz ! Pogromca Demonów!

Masz monetę. Miecz jest mój! ! Rzucił Zirinie pieniądz, a ta chwyciła go w locie i pospiesznie zaproponowała Kaltusowi cudowną kolczugę i magiczną tarczę. ! Nie, ku-pilem już to, czego potrzebowalem! A teraz ugość nas swoim winem, i tak nigdy ci się nie skończy!

Zirina podała im z uprzejmą miną złote puchary, sama zaś wzięła ołowiany. Kaltus spojrzal uważnie na Conana, potem na puchar, potem znowu na Conana.

! Nie, gospodyni, król nie będzie pił z tego pucharu. Sobie weź złoty, a jemu daj ołowiany!

! Nie uchodzi, aby gość pił ze zwykłego pucharu! To hańba dla mojej gościnności.

Zresztą król na pewno nie zechce pić z takiego ohydneho naczynia.

Ale Kaltus zdecydowanym ruchem odebrał jej puchar, wsunął go w rękę niczego nie rozumiejącego Conana, po czym zaprowadził go do wielkiego lustra, wiszącego obok drzwi:

! Popatrz uważnie, królu, a wszystko zrozumiesz!

Z lustra patrzyła na Conana smagła twarz młodzieńca z potarganymi włosami i pierwszym puszkciem nad górną wargą. Obok niego stał bardzo do niego podobny trzydziestoletni wojownik, potężny, barczysty, z ogromnymi mięśniami na rękach i piersiach.

! Co to za cuda? ! wykrzyknął Conan i młodzieniec w lustrze powtórzył ruchy jego warg.

! Zwyczajne magiczne lustro, które pokazuje starców jako mężów w sile wieku, a młodych jako chłopców... Nie patrz jednak na twarz, tylko na szyję. I na puchar...

Widzisz?

Conan przyjrzał się uważniej i zobaczył, że wzór magicznych znaków na czarodziejkiej obroży jest taki sam jak wzór na pucharze. Tego właśnie szukał! Wylał

wino na podłogę, szybko wyjął monetę i położył ją na stoliku. Na twarzy Ziriny nie było teraz śladu po cudownej urodzie. Wykrzywiona złością czarodziejka popatrzyła na króla z nienawiścią.

! I tak się stąd nie wydostaniesz! ! zasyczała. ! Zostaniesz tu na zawsze i ozdobisz Wielki Kolec!

Czerwone wargi rozplynęły się na połowę twarzy i na Conana patrzył teraz ohydny potwór z płonącymi oczami i ostrą szczeciną włosów. Brązowe worki piersi zwisały na brzuch, grube, słoniowe nogi tupwały gniewnie, wstrząsając podłogą.

! Obrabowali! Pobili! Straż! Chwytajcie ich! Szybciej! Conan nie czekał, aż przybiegną brzęczące żelazem potwory, tylko rzucił się do drzwi. Za nim biegł żwawo stary Kaltus.

Słońce było już bardzo nisko, postukujące kamiennymi liśćmi drzewa rzucały długi cień. Cymmerianie pomknęli w stronę bramy. Conan przyciskał do piersi puchar, a Kaltus obejmował swój miecz.

Na bazarze za nimi zapanował straszliwy harmider i zgielk. Najwidoczniej strażnicy zgubili ślad i szukali teraz we wszystkich kramach.

! Królu, póki oni przetrząsają bazar i nie depczą nam po piętach, musisz mi pomóc

! wydusił Kaltus, wyjmując z pochwy miecz. ! Miecz jest w moich rękach, ale mnie nie będzie się słuchał. Przeczytaj szybko, co jest napisane na klindze!

Conan przyjrzał się uważnie świetlistej stali i odczytał na wpół starty napis.

! Tu jest napisane „Mahgran!” Dlaczego kupiłeś właśnie miecz, a nie Ptaka Mówiącego Prawdę?

! Wiedźma miała rację, prawdy nikt nie lubi, a miecz... Takimi mieczami walczyli bogowie i demony. Zaraz zobaczysz, jak nam pomoże. ! Starzec machnął mieczem nad głową i wskazał Conanowi strażników i tłum innego plugastwa, pędzących w ich stronę. !

Wrogowie idą! Mahgran! ! wykrzyknął.

Miecz drgnął w jego ręku jak żywy, po ostrzu z trzaskiem przebiegła cienka jak zmijka błyskawica i klinga przemieniła się w trzepoczącą wiązkę ognia. Palce Kaltusa rozchyliły się, ale miecz nie wypadł z jego rąk, lecz wbił się w górę i syjąc iskrami, pomknął naprzeciw wyjącej tuszczy.

Conan obnażył swoją wierną klingę i rzucił się za Mahgranem, wsuwając puchar za pazuchę i przytrzymując go lewą ręką. Po chwili zatrzymał się i zdumiony opuścił

broń.

! Na Croma! ! wykrzyknął za jego plecami Kaltus. ! No, teraz mi zatańczycie, pomioty Nergala! Patrz, niemal całe miasto leci za twoim pucharem. Nie na darmo wypatrzyłem tę klingę. Jakbym czuł, że bez niej się nie obejdzie. Patrz tylko, co się dzieje.

Daj im wycisk, Mahgran!

— Mahgran! Mahgran! — nie wytrzymał Conan i zaryczał.

Jakby odpowiadając na ich wezwanie, ognisty miecz rozbłysnął jeszcze jaśniejszym światłem i zawirował nad zastygłym na chwilę tłumem potworów. Bestie poczuły śmiertelne niebezpieczeństwo. Próbowaly się rozbiec, ale huczący i strzelający białymi iskrami miecz latał nad nimi, zganijając je w jedno miejsce jak stado przerażonych baranów.

Niektóre próbowały podfrunąć w powietrze na swoich idiotycznych skrzydłach, ale miecz dosięgał je również tam i rozcięte ostrym płomieniem demony spadały na dół, na głowy pozostałych.

Stary Kaltus oszalał z radości, widząc, jak wrogowie, którzy dręczyli go przez tyle lat, którzy odebrali mu siły i młodość, wyją teraz i skamlą ze strachu przed latającą błyskawicą, Mieczem ! Pogromcą Demonów.

Nagle za plecami Cymmeriana rozległ się tętent kopyt i wojownicze okrzyki.

Conan odwrócił się gwałtownie i uniósł miecz. Kaltus, pochłonięty obserwowaniem kipiącego przed nim tłumu i oślepiającego miecza, bawiącego się z demonami w ostatnią krwawą grę, nie zwracał na nic uwagi.

Od bramy sunął na nich jak lawina oddział czarnych wojowników na śnieżnobiałych jednorożcach. Najeżona lśniącymi kopiami, jazda" wyglądała przerażająco. Jeszcze chwila i Cymmerianie zostaną rozniesieni na potężnych kopytach, a dziesiątki kopii przebiją ich ciała...

Kaltus usłyszał wreszcie hałas za plecami i obejrzał się.

! Wrogowie idą! Wrogowie! Mahgran! ! ryknął, wskazując ręką zbliżający się oddział.

Miecz zamarł na chwilę w powietrzu, potem zaśnił, spłynął nad ziemię i wykreślił

na kamieniach i piasku krąg, który natychmiast zapłonął błękitnymi jęczyczkami płomieni. Wyjący tłum demonów został zamknięty w rym ognistym kręgu jak w klatce.

Jeśli któreś próbowały wzlecieć i wysliznąć się ze śmiertelnego pierścienia, natychmiast spadały w dół, płonąc jak smolne pochodnie.

Pogromca Demonów ze świstem przeleciał nad zastygłym z uniesioną klingą Conanem i krzyczącym starcem i pomknął ku nowej zdobyczy.

Jeźdźcy na przedzie, widząc lecącą na nich błyskawicę, próbowali zawrócić.

Zderzali się jednak z ostatnimi szeregami galopujących wojowników i spadali ze swoich jednorożców lub nabijali się na wystawione kopie. Miecz z triumfalnym świstem wbił się w kłębowisko jeźdźców, siejąc śmierć, ogień i strach.

Zakuci w czarne zbroje jeźdźcy spadali na ziemię, rozcięci ognistą klingą na pół.

Oszalałe z przerażenia jednorożce miały się, próbując wydostać się z tumultu, i w oblędzie przebijały się nawzajem rogami. Krew zalewała im oczy, a z rozprutych brzuchów wylatywały wnętrzności. Jeźdźcy spadali im pod nogi, wyciem i jękami zagłuszając rzenie dogorywających jednorożców.

Nagle, jakby decydując, że tą garstką oszalałych wojaków nie warto się już zajmować, miecz wbił się w powietrze, skąd na jeźdźców i jednorożce spadł gęsty deszcz błyskawic.

Conan i Kaltus wpatrywali w ten pogrom demonów jak urzeczeni, ale radość ze zwycięstwa i wyzwolenia mieszała się w nich z zabobonnym strachem.

Wkrótce zamiast groźnego oddziału uzbrojonych po zęby wojowników płonął

przed nimi ogromny stos. Dym wzbijał się do nieba, zasłaniając zachodzące słońce. Kaltus pierwszy przypomniał sobie, że to jeszcze nie koniec, i pchnął Conana z nieoczekiwana siłą, aż ten się zachwiał.

! Biegnijmy! ! wrzasnął mu do ucha, przekrzykując huk płomieni. **! Słońce zachodzi, brama zaraz się zatrzaśnie! Jeśli nie zdążymy, wszystko pójdzie na marne!**

Szybko!

Conan wsunął miecz do pochwy i przytrzymując telepiący mu się pod tuniką puchar, pobiegł za Kaltusem w stronę bramy.

Ognista klinga sypała gradem błyskawic na wyjące demony. Słup dymu i płomieni wzniósł się do nieba, zatruwając powietrze smrodem płonących ciał.

Garstka jeźdźców w hełmach z rozwianymi purpurowymi pióropuszcami próbowała przeciąć drogę uciekinierom, z tymi jednak Conan poradził sobie bez cudownego miecza. Wreszcie on także mógł dać upust wściekłości, gromiąc, przewracając, zrzucając z białych jednoroźców czarne, łoskoczące zbrojami potwory. Jego klinga świstała, klęła i cięła, nie ustępując ognistemu mieczowi Kaltusa.

Wkrótce już tylko kilka jednoroźców, oślepiająco białych na tle purpurowo-czarnych, pożerających demony płomieni, biegło w panice pod murem. Wydawało się, że droga do bramy jest już wolna, ale wtedy Kaltus zobaczył coś na przedzie.

! Jeden uciekł! Patrz tylko, co ta kanalia robi! ! krzyknął, wyciągając rękę.

Obok otwartej bramy ostatni ocalały strażnik manipulował przy czarnym kamieniu wmurowanym w biały mur. Nagle kamień wyskoczył ze swego gniazda, demon wrzasnął i zniknął, przemieniając się z siwawy dymek. Z czarnego otworu zaczęły wypełzać kłęby mgły, jak ta, która powitała Conana w Szaissie. Jeszcze chwila i mgła pochłonie wszystko.

Conan rzucił się do przodu, popychając kaszlącego i zachłystującego się starca.

Sam również poczuł nieznośne pieczenie w gardle. Z oczu popłynęły mu łzy, przesłaniając i tak już ledwie widoczne w kłębach trujących oparów czarne skrzydła bramy. Wszystko zaczęło rozpluwać mu się przed oczami, nogi drżały i uginały się. Ale myśl, że mieliby tak po prostu paść tu, o kilka kroków od wolności, zrodziła w duszy Cymmerianina atak furii. Łzy wyschły, nogi stały się sprężyste i Conan, wlokąc pod pachy skręcającego się od kaszlu Kaltusa, kilkoma susami dopadł bramy. Skrzydła drgnęły i zaczęły się ze skrzypieniem zamykać. Za moment rozgniotą ich jak zbląkane żaby. Jeszcze jeden potężny skok... Conan zwałił się na ziemię prosto na Kaltusa. Brama z łoskotem zatrzasnęła się za ich plecami.

Powietrze ze świstem wyrwało się z oparzonego gardła. Król próbował odpełznąć od starca, aby umożliwić mu oddychanie, ale nie starczyło mu sił.

Kaszłąc i plując, starzec sam wydostał się spod Conana, po czym ukląkł chwiejnie i strząsnął z oparzonych oczu łzy.

! Do mnie, Mahgran! Do mnie! ! wychrypiał.

Zza białego muru gęstymi kłębamii waliił czarny dym, przetykany siwymi strzępami trującej mgły. Nagle opary przeciał oślepiający rozblysk i nad miastem wzbił

się lśniący pas białego ognia, zakreślając łuk. Miecz, krążąc w miejscu jakby w tańcu zwycięstwa, spadł jak gwiazda w dół. Sypiąc iskrami, wbił się kościaną rękojeścią w dłoń starego Kaltusa i znieruchomiał. Conan wypluł gorzką ślinę i wstał powoli. Z zachwytem patrzył na świecący w ręku Kaltusa miecz.

! Z taką bronią nie zginiesz! ! powiedział. ! Wrócił na pierwsze wezwanie jak wierny pies! Słuchaj, stary, jeśli wydostaniemy się stąd żywi, wyjedź z Cymmerii i chodź

do mnie na służbę. Z takim mieczem królestwo jest bezpieczne.

! Nie, królu radź sobie sam ze swoim królestwem. Ja swojej ojczyzny nie porzucę.

Odnajdę krewnych, jeśli jacyś zostali, nauczę władać bronią zmyślnego chłopaka z naszego rodu i przekażę mu miecz, aby bronił naszych ziem przed wrogami... Nie, królu, zostanę w Cymmerii!

! Nie spodziewałem się innej odpowiedzi, ale musiałem ci to zaproponować...

Posłuchaj, czy ta przeklęta Szaissa będzie tu sterczeć na wieki wieków? Gdyby to ode mnie zależało, starłbym ją z powierzchni ziemi!

! Gdyby zależało ode mnie, kamienia na kamieniu bym tu nie zostawił! Ej, dokąd to? ! Kaltus próbował chwycić za rękojeść wyslizgujący się miecz, lecz ognista klinga zaślniła na ciemniejącym niebie i znowu pomknęła ku murom miasta.

Jak strzała wypuszczona z gigantycznego łuku, jarzący się miecz latał wokół

murów Szaissy, a błyskawice z trzaskiem zrywały się z jego ostrza. Wkrótce mury zapłonęły błękitnym, widmowym płomieniem. Od huku zatykało uszy. Płomienny splot pomknął ku czerniejącemu niebu. Zapadła cisza. Wysoko, pośród gwiazd jeszcze przez chwilę migotał maleńki, błękitny punkcik. Po chwili również i on zniknął.

Tam, gdzie jeszcze niedawno stało miasto demonów, czarowników i wampirów, teraz nie było niczego. W słabym świetle księżycy widać było gdzieś tam stosiki kamieni i postukujące liśćmi na wietrze niewysokie drzewa. Pośród tej dzikiej pustyni lśnił do połowy wbity w ziemię cudowny Miecz ! Pogromca Demonów.

Kaltus wyciągnął go ostrożnie z ziemi i patrząc, jak gasną na zimnej klindze ostatnie iskry, włożył magiczną broń do pochwy i usiadł zmęczony pod drzewem.

Conan z przyjemnością siadł obok niego. Wreszcie mógł zadać dręczące go od jakiegoś czasu pytanie.

! Co to takiego ten Wielki Kolec, którego tak się wszyscy bali?

Kaltus wybuchnął śmiechem. Śmiał się długo, nie mogąc wykrztusić ani jednego słowa, a Conan przyglądał mu się zdumiony. Nagle obok starca pojawiło się małe tornado, zaczęło rosnąć i oto już szalał prawdziwy huragan. Porwał Kaltusa, nie naruszając u stóp Conana nawet ziarenka piasku.

! Sam nie wiem, co to takiego ! usłyszał Conan przez wycie wiatru. ! Nigdy go nie widziałem. A ci, którzy widzieli, nie wrócili. Żegnaj!

Teraz Conan siedział zupełnie sam na nagiej, obcej ziemi, pod dziwnym drzewem z kamiennymi liśćmi i czekał, co będzie dalej. Nie miał zamiaru nigdzie iść. Uważał, że teraz, po takich trudach, czarownik sam powinien się o wszystko zatroszczyć i odesłać go z powrotem.

Ale wokół panowała cisza. Wysoko w górze płynęły delikatne obłoki, przesłaniając cienki sierp księżyca. Nagle Conan poczuł, że ma ochotę obejrzeć swą zdobycz, przez którą powstało przeciw nim całe miasto.

Nic szczególnego, zwykły ołowiany puchar. Jednak z jakiegoś powodu nie chciało mu się wypuszczać go z rąk... Napiłby się z niego dobrego wina. Zamknął oczy, wyobrażając sobie zapach i smak swojego ulubionego czerwonego wina, ale w tym momencie nadleciał zimny, przenikający do szpiku kości wiatr, porwał go i unióś nad martwą ziemią.

Wściekły, lodowaty wiatr zamroził prawie Conana na śmierć. W pierwszej chwili nie zorientował się nawet, że znalazł się w wieży. Skostniałe ręce przyciskały do piersi gorący puchar; to właśnie on nie pozwolił Conanowi zamarznąć. Życiodajne ciepło rozplywało się po całym ciele jak wino, o którym niedawno marzył.

! No, królu, widzę, że nieźle się zabawileś! Uprzedzałem, że nudno nie będzie! To nie noszenie kamieni czy karmienie robaków. To Szaissa! Szkoda, że już jej nie ma... Za to puchar tu jest. Nie stój jak słup, daj mi go! ! Czarownik wyciągnął rękę. Conan zaklął

przez zęby i niechętnie oddał ołowiane naczynie. Oczy króla płonęły nienawiścią, której nie mogło przygasić, ale pochłonięty talizmanem mag nie zwracał uwagi na swojego jeń

ca. W rękach czarownika migotała teraz złota połowa sześciokątnego dysku, a on gładził ją delikatnie chciwymi palcami. Wreszcie przypomniał sobie o Conanie i podniósł ciemne oczy.

! To wszystko... ! odezwał się glucho. ! Idź... Dzień należy do ciebie. Chcesz ! baw się, chcesz !

śpij. Nie będę ci przeszkadzał. Wydaje mi się, że zdołasz... I nie dokończył, machnął ręką i ściany zawirowały w szaleńczym korowodzie. Znowu przed oczami Conana mignęła wyjąca i wrzeszcząca Szaissa, a potem wszystko zniknęło.

VIII

Obudziło go głośnie pukanie. Otworzył oczy i zobaczył złocony, rzeźbiony sufit sypialni, wzorzystą zasłonę u wezglowia i słoneczne błyski na ścianie. Słońce dawno już wstało. Damunk na pewno się niepokoi, straż zaraz zacznie wyważać drzwi.

Już trzy noce pod jego drzwiami stoją wartownicy. Trzy noce nie śpią Damunk i Imma, gotowi biec mu na pomoc. Przeklęty czarownik! Conan jeszcze nigdy nie czuł się tak poniżony. On, który I zdobył władzę królewską i pokonał tylu wrogów, także magów, te I raz, niczym kupiony za pół darmo niewolnik, ryzykując życiem, zdobywa wolność dla tego plugawca z piekła rodem. Niech to demony!

Przez cały dzień król nie mógł znaleźć sobie miejsca. Dusila f go bezsilna złość.

Czuł się jak ryba złapana na haczyk. Kto wie, co robi plugawy czarownik, gdy już dostanie swój talizman. Może sam wydobędzie się ze swojej wieży, a zostawi w niej Conana. Po takich lajdakach wszystkiego można się spodziewać. Nie ma co liczyć, że wypełnią swoje obietnice. To bestie, które rozpełzły się po całej ziemi i powinny zostać zniszczone! Należy zniszczyć ich gniazdo. Źródłem całego zła jest Stygia, tajemniczy kraj, w którym magowie zdobywają swą czarnoksięską moc. To z niego potem rozlażą się po całym świecie, żeby dręczyć, nękać i wykorzystywać ludzi, a potem drwić z nich.

Od dziś Stygia stanie się celem jego podbojów. Nie jest jeszcze starcem, jeszcze ma przed sobą kawał życia. Ale czy rzeczywiście? Może te trzy dni to wszystko, co mu zostało? Nie, żadne trzy dni. Ma przed sobą całe życie. Barbarzyńca kipiał złością, ale ani na chwilę nie wątpił w swoje zwycięstwo.

Pod wieczór, gdy słońce zbliżało się do horyzontu, spłynął nagle na króla zadziwiający spokój. Przekonanie o zwycięstwie było niezachwiane. Jeszcze nie wiedział

jak, ale czuł, że zwycięży. Sen podkradł się jak zawsze niespodziewanie i narzucił na niego swą zasłonę. Myśli poplątały się i znikły. Znowu porwały go czarodziejskie wiatry i fale...

Czarownik, jakby wyczuwając przemianę, jaka zaszła w barbarzyńcy, patrzył na niego nieruchomym, ciężkim wzrokiem, nie mówił ani słowa. Conan też milczał. Wreszcie Ragon Sath podniósł swój ogromny puchar, upił lekko parujący napój i uśmiechnął się krzywo.

I Widzę, że jesteś zdecydowany. Idź! Za tymi drzwiami odwaga i śmiałość będą ci bardzo potrzebne. I Uśmiechnął się z przymusem, ręką z pucharem machnął ku najbliższej zasłonie. Nie chcąc słuchać dalej jego drwin, Conan poszedł w stronę innych drzwi i odsunął plachtę. Zawahał się, wpatrując w zmieniające kształty kłęby mgły. Zrobił

krok do przodu i upadł na coś miękkiego.

To była słoma na wozie. Conan podniósł się. Jak okiem sięgnąć, rozpościerała się przed nim monotonna, szara, mokra równina. Wóz, trzęsąc się i kołysząc, sunął powoli po kłaskającym błocie.

Conan uniósł się, żeby obejrzeć woźnicę, ale ku swemu zdumieniu nikogo nie zobaczył. Na wozie był tylko on. Chudy byk ciągnął go z wysiłkiem, grzęznąc w błocie.

Drobny deszczyk, którego Conan początkowo nawet nie zauważył, sprawiał, że krajobraz drżał i falował. Gdy po twarzy pociekły mu zimne strużki, odsunął włosy z czoła i poczuł, że są zupełnie mokre. Ręka odruchowo sięgnęła do rękojeści miecza, ale wymacała tylko przemoczony materiał podróżnych spodni. Oprócz spodni i sandałów nie miał na sobie niczego. Ani tuniki, ani płaszcz. Co gorsza, nie miał też pasa z mieczem i kindżalem. Zerwał się, więznąc w mokrej słomie i rycząc z gniewu oraz nienawiści, pogroził niebu potężną pięścią. Jego spokój ulotnił się bez śladu.

Byk zatrzymał się na chwilę, zamuczał krótko, jakby przyłączając się do wściekłych ryków Cymmerianina, i znowu pociągnął wóz sobie tylko wiadomą drogą.

Wóz toczył się, poskrzypując i kolebiąc na ukrytych w błocie wybojach. Byk szedł

powoli i obojętnie, z trudem przestawiając chude nogi. Wokół ani wzgórz, ani kamieni, ani drzew, tylko po horyzont rozmiękle błoto. Conana skręciło z obrzydzenia. Czegoś tak przygnębiającego nie widział nigdy w życiu. Potrząsnął głową, by strącić obmierzłe krople deszczu. Nagle rozległ się zgrzyt, wozem szarpnęło ostro, byk zatrzymał się i król upadł twarzą w słomę.

! Do Nergala z taką robotą! Czegożeś stanął, chudzino? Wieziesz mnie, to wieź!

Byk pociągnął z całych sił, ale wóz zaczepił o kamień. Koło zaczęło groźnie trzeszczeć. Jeszcze chwila i spadnie z osi. Byk rzucił Conanowi pełne smutku spojrzenie i zamuczał żałośnie, jakby prosząc o pomoc.

! Ech, ty zdechlaku, czy nikt cię nie karmi? Ale piechotą po czymś takim i tak nie pójdę, musisz zawieźć mnie na miejsce. Niech mnie Nergal, będę jednak musiał wejść w to błoto!

Conan z niechęcią spuścił nogi z wozu i zanurzył je ostrożnie w mlaskającej brei, zapadając się niemal po kolana. Na spodzie było pełno drobnych kamieni i ucieszył się, że przeklęty czarownik zostawił mu jednak mocne sandały i nie wrzucił go w to morze błota w samych spodniach.

Podszedł do koła i wymacał nogą spory kamień. I tak dziw, że ledwie trzymający się wóz nie rozleciał się na kawałki, wpadając na taki głaz.

Conan nie zastanawiał się długo. Włożył ręce w błoto i zaczął kołysać kamieniem, próbując ruszyć go z miejsca. Palce ślizgały się, nie znajdując punktu oparcia. Wreszcie udało mu się mocno chwycić kamień, na rękach i plecach wystąpiły węzły mięśni i powoli, niechętnie głaz drgnął i odtoczył się na bok, omal nie przygniatając Cymmerianinowi nóg. Teraz wóz mógł już jechać dalej, ale Conan nie spieszył się z wchodzeniem, tylko oparł się o niego ramieniem.

! No ruszaj, ruszaj, zdechlaku! ! krzyknął głośno.

Byk szarpnął i wóz ruszył. Przez jakiś czas Conan siedł obok, oglądając ubłocone do ramion ręce. Miał błoto na brzuchu, spodniach, nawet na piersiach. Wziął pęk słomy i zaczął ścierać je z rąk. Byk ciągnął powoli pusty wóz i zezował na człowieka błyszczącym okiem. Gdy Conan chciał wyrzucić wymazaną błotem słomę w ciamkającą breję, byk stanął i zamuczał żałośnie. Conan patrzył na zwierzę zdumiony, aż wreszcie zrozumiał.

! A niech mnie! Przecież ciebie biedaku tak zagłodzili, że gotów jesteś spałaszować tę słomę. Masz, jedz, bo jeszcze kopyta wyciągniesz i co ja wtedy zrobię...

Conan brał z wozu zleżałą, mokrą słomę i z wysiłkiem przestawiając nogi w błocie, podawał ją bykowi. Zwierzę pożerało ją z takim zapalem, jakby to była świeża, wiosenna trawa. Wkrótce na dnie wozu nie została już ani jedna słonika i Conan musiał usiąść na gołych deskach. Byk wyraźnie poweselał i dużo pewniej czlapał po błocie ku nieznanemu ciągle celowi.

Długo jeszcze wóz trząśł się po bezkresnym morzu grząskiego błota. To przycichający, to nasilający się deszcz zdążył już zmyć błoto z Conana, a końca drogi ciągle nie było widać. Byk siedł, nie zatrzymując się, błoto mlaskało mu pod kopytami, skrzypiały koła starego wozu. Conan już zaczynał tracić cierpliwość. Wydawało mu się, że przemókl na wylot i nawet płonący w nim gniew zgasł, ustępując miejsca posępnemu obrzydzeniu.

Wreszcie, gdy deszcz ustał na tyle, że można się było rozejrzeć, pośrodku bezkresnej równiny Conan zauważył maleńki wzgórek. Początkowo pomyślał, że to przywidzenie, ale byk siedł prosto do ciemnego punktu, który pojawiał się i znikał za zasłoną deszczu.

Gdy z niskich chmur sypał się już tylko drobny, wilgotny pył, Conan zdołał obejrzeć zarysy zbliżającego się wzgórza i dostrzegł na jego szczycie jakąś budowlę.

Stanął nawet na wozie, próbując jeszcze coś wypatrzeć, lecz deszcz rozpadał się znowu i ukrył zagadkowy budynek i wzgórze. Byk siedł pewnie znaną sobie drogą.

Powoli błoto stawało się lżejsze. Byk z wysiłkiem ciągnął wóz pod górę, ledwo panując nad rozjeżdżającymi się nogami. Conan zeskoczył na ziemię i z przyjemnością poczuł, że nie zapada się już w ohydny maź. Ruszył obok wozu, nie chcąc męczyć biednego zwierzęcia. Byk popatrzył na niego z ludzką niemal wdzięcznością i pociągnął

pod górę grzmiący na kamieniach pusty wóz.

Nagle, jakby posłuszny czyjemuś rozkazowi, deszcz przestał padać. Conan przystanął, trzymając się ręką brzegu wozu. Znajdował się obok niewysokiego kamiennego muru, otaczającego ogromny dom na szczycie wzgórza. Mocne niegdyś wrota z ogromnych belek dzisiaj sprawiały przykre wrażenie.

Byk podszedł powoli do bramy i mocno pchnął rogami uchylone skrzydło. Brama otworzyła się z oporami i byk wciągnął wóz do środka.

Conan znalazł się pośrodku wielkiego podwórza, byle jak wyłożonego wyszczerbionymi kamieniami. Byk opuścił łeb. Sprawiał wrażenie śpiącego. Conan odszedł od wozu i zdumiony zaczął się rozglądać.

! Na Croma, czegoś takiego jeszcze nie widziałem! Ale dołmisko! Kto tu mieszka, niech go Nergal?

Dom przytłaczał ogromem i brzydota. Wydawało się, że budowały go pijane wielkoludy, które zaraz potem odeszły i na zawsze o nim zapomniały. Ściany zbudowano z grubo ciosanego kamienia, gdzieniegdzie nawet z glazów. Umieszczone byle gdzie, pozbawione okiennic wąskie okna ziały pustymi dziurami. Tylko trzy na dole były zasłonięte zmurszałymi deskami. Drzwi wejściowe również były całe, zapewne dzięki nabitym na krzyż szerokim, żelaznym sztabom. Wznosząca się w lewym skrzydle domu kwadratowa wieża przypominała olbrzymi gołębnik. Na resztkach czarnych krokwi tu i ówdzie leżała jeszcze dachówka, ale widać było, że długo tu nie zagości. Stercząca z prawej strony okrągła wieża była w lepszym stanie. Wąskie jak otwory strzelnicze okna nie miały ani ram, ani okiennic, natomiast dach w tej części był prawie nieuszkodzony.

Długi jak stodoła środek domu

tylko miejscami zachował dach. Tam jednak, gdzie w oknach były okiennice, krokwie przykrywała zgniła słoma, miejscami dla pewności przygnieciona kamieniami.

Czas, wiatr i deszcz zdrowo się napracowały, przemieniając dom w stertę ruin.

Conan wsunął ręce w mokre włosy, ze zdumieniem oglądając dziwaczną budowlę.

Byk podciągnął wóz bliżej drzwi, zatrzymał siei zamuczał przeciągle. Wewnątrz dały się słyszeć ciężkie kroki, pokasływanie i silnie kopnięte drzwi otworzyły się na oścież, omal nie spadając z zawiasów.

Z pochyloną głową, by nie rozbić czoła, wyszedł na ganek dwa razy wyższy od Conana olbrzym. Patrząc na niego, Cymmerianin znowu sięgnął po nieobecny miecz.

Zaklął szeptem.

Przeciągając się, ziewając i gapiąc sennymi oczami w przestrzeń, stała przed drzwiami

ogromna istota z ciałem pokrytym twardą szczecina. Z otwartej paszczy wystawały zepsute zęby, ogromne, czarne od wżartego brudu ręce drapały włochatą pierś.

Olbrzym był odziany tylko w mocno przetarte, krótkie spodnie z grubej skóry, do pasa miał przypięty ogromny nóż. Czarne nogi z twardymi jak kopyta podszwami mogły spokojnie chodzić po najostrzejszych kamieniach.

Olbrzym opuścił oczy, zobaczył groźnie zaciskającego pięści Conana i zaśmiał się ochryple.

! Popatrz no tylko, Gospodyni, kogo dzisiaj przywiózł ten próżniak Hoc. No chodźże szybciej, mamy dzisiaj nie lada zdobycz! ! Podszedł do byka, ciągle się śmiejąc i nachylił się, żeby go wyprząc. **! Ej, cherlaku, a gdzie jest słoma? Pytam, gdzie się podziała słoma? Śmiałeś ją zeżreć, lajdaku? Same straty przez ciebie, żarłoku jeden. Tylko byś jadł**

i jadł!

Na nieszczęsne zwierzę spadł grad razów. Byk nie próbował ani uciekać, ani się uchylać. Pokornie wytrzymał kopniaki i uderzenia i ponuro wszedł przez uchylone drzwi.

Wóz stał samotnie pośrodku podwórza.

! Gospodyni, czego się grzebiesz? ! zaryczał olbrzym. **!Chodź tu szybko i przynieś sieć. Piękną dziś mamy zdobycz.**

Conan spał się i zaczął powoli cofać się do bramy, ale olbrzym z nieoczekiwaną żwawością odciął mu drogę ucieczki.

! No, co tam z tobą, pod podłogę się zapadłaś? ! ryknął znowu. **! Chodź szybko, bo się wymknie!**

Jego krzyki wywołały z domu równie brzydką olbrzymkę. Spódnica z materiału, który dawno temu stracił kolor, ledwie zakrywała kolana, odsłaniając potężne, włochate nogi z identycznymi czarnymi podszwami jak u męża. Ogromną falującą pierś opinała mocno zasznurowana w talii skórzana kamizela. Twarde kosmyki, zebrane w węzeł na czubku głowy, były ozdobione naszyjnikiem z pereł i sterczącymi na wszystkie strony drogocennymi szpilami. Błyszczące klejnoty wyglądały na brzydkiej głowie tak dziwacznie, że Conan przyglądał się im wstrząśnięty i nie od razu zauważył przerzuconą przez ramię olbrzymki sieć. Odskokzył za późno. Rzucona zręczną ręką przykryła go i olbrzymy zachichotały, patrząc, jak ich zdobycz próbuje się uwolnić.

Stwory omotały go jeszcze mocniej, zarzuciły sobie sieć na ramiona i zanosły do domu. Tam bez zbędnych ceregieli wytrząśnięto go na podłogę. Nim Conan zdążył

ochłonać, z loskotem opadła krata.

Cymmerianin zerwał się natychmiast i skoczył na pręty. Stojące obok olbrzymy śmiały się,

szczerząc krzywe, żółte zęby.

! Patrzył tylko, Gospodyni, jak to się miota! Młody, silny. Widzisz, jaką zdobycz Hoc dzisiaj zagarnął! Gdyby nie zeżarł po drodze całej słomy z wozu, rzuciłbym mu kawałek mięsa... Patrz, patrz, jak to oczyskami lyska!

! Słuchaj, Gospodarzu, a może byśmy go w całości przypiekli? Patrz, jaki wielki i mięsa na nim dużo... Migiem bym go przyszykowała... Jeszcze z poprzedniego razu trochę zostało, ale tak chce się świeżego.

! Jeszcze czego! W całości! To byśmy go mieli na jeden raz. Nie, dojemy, co jest, a tego trzeba dokarmić. Uff, zmęczyłem się tym dźwiganiem. Gdzie wino? Szybko, nieś tu dzban i wszystko, co zostało!

Usiadł na ławie przed ogromnym stołem z byle jak ostruganych bali, a Gospodyni odwróciła się i rzucając Conanowi łakome spojrzenie, ciężkim krokiem poszła do wnętrza domu. Wkrótce wróciła z wiązką na w pół przegniłych drzew i rzuciła je na podłogę przed ogromnym, poczerniałym paleniskiem.

! Drwa się kończą! warknęła. ! Słyszysz, Gospodarzu, niedługo nie będzie na czym mięsa piec! Jedź mi jutro na Górę po drwa! Zasnąłeś, czy co? ! spytała i groźnie zamachnęła się polanem.

! Ciszej tam, nie widzisz, że jestem zmęczony? Odpocznę dzień, dwa i pojedę!

! A tego na czym będziemy piec? ! machnęła głową w stronę Conana. ! Wiesz, że surowego nie zjem. Nie jestem jakąś tam dzikuską. Pochodzę z porządnej rodziny. ! Głos olbrzymki przeszedł w przenikliwy pisk i polano już miało opaść na rozczochraną głowę Gospodarza.

! Uspokój się, moja piękna. Dobrze, jutro wejść na wieżę i nałamię ci okiennic.

Jeszcze dużo zostało. A jak odpocznę, to pojedę. A teraz kładź polano do paleniska i rozpalaj ogień. Pora na kolację.

Gospodyni powarczała jeszcze trochę, ale rzuciła drwa na kratę paleniska i rozpalila ogień. Płomienie oświetliły najdalsze kąty ogromnego pokoju, pośrodku którego siedział kiwający się nad stołem olbrzym.

Conan widząc, że nikt już nie zwraca na niego uwagi, podszedł ostrożnie do kraty i zaczął się rozglądać.

Płomień trawił żarłocznie zgnile drwa, odblaski ognia migotały na ścianach i czarnych od sadzy belkach sufitu, rodząc chwiejne cienie. W pokoju był tylko stół, dwie ławy i ogromna prycza w kącie. Conan siedział w niewielkiej niszy bez okien, oddzieleny od pokoju mocną, żelazną kratą. Naprzeciwko, w takiej samej niszy, tylko bez kraty, stał byk i ponuro poruszał wargami, wspominając zapewne dzisiejszą słomę.

Conan obejrzał pokój jeszcze raz. Naprzeciw kąta, w którym stała prycza, zobaczył

leżącą na podłodze drabinę z grubych polan. Spojrzał w górę. Pod samym sufitem były niewielkie drzwi w zadziwiająco dobrym stanie. Kiedyś prowadziły do nich schody, ale teraz tylko spalone końce stopni przypominały o ich istnieniu. Małe, mocne drzwi ze lśniącymi, kutymi zakładkami i wielką dziurą mimo woli przykuwały wzrok.

Cymmerianin po raz kolejny oglądał pokój i co jakiś czas podnosił wzrok do góry.

Po chwili dały się słyszeć ciężkie kroki i stłumione gderanie. Przekrzywione drzwi prowadzące w głąb domu otworzyły się z żalnym skrzypieniem i weszła Gospodyni z dwoma dzbanami wina. Z rozmachem grzmotnęła nimi o stół i patrząc na sennego Gospodarza spopielającym wzrokiem, wyjęła z półki obok paleniska wielki półmisek i dwa kubki. Chlusnęła do jednego z nich wina i zaczęła chciwie pić. Gospodarz sięgnął po dzban, nie otwierając oczu, i Gospodyni gniewnie uderzyła go po łapach.

! Ile razy mam ci powtarzać, żebyś pił z kubka! Wiecznie chcesz maczać dziób w dzbanie. Nie na darmo mamusia odradzała mi, gdy chciałam zostać twoją Gospodynią.

Miała rację, gdy mówiła, że jesteś zupełnie dziki i nie masz pojęcia o prawdziwym obejściu.

! A ta znowu swoje! Obejście, obejście! To po coś za mnie szła? Olbrzymka postawiła na stole kubek z niedopitym winem, spuściła oczy i zaczęła gładzić włochatymi łapami fałdy spódnicy.

! A boś był taki przystojny ! powiedziała. ! Chociażes prawdziwego obejścia nie znał, jak i teraz nie znasz, równego tobie gładysza na naszych ziemiach nie znajdziesz... I twój dom wygląda jak prawdziwy pałac. To i poszłam za ciebie.

! Więc teraz nie zrzedź! Jak przygotujesz kolację, to pójdę dla ciebie na strych... Ja też długo szukałem, ale piękniejszej od ciebie nie znalazłem. Zdobę dla ciebie naszyjnik z czerwonych kamyków, chcesz?

Olbrzymka omal nie podskoczyła z radości.

! Jakiś ty śmiały! Naprawdę przyniesiesz mi naszyjnik? Tylko bądź ostrożny, żeby się Rodrag nie zbudził.

! Nie bój się, dwa razy już chodziłem, a nie obudził się! I klucz nasmarowałem, i zamek. Drzwi nie skrzypią i deski tam mocne.

Olbrzym wyciągnął z kieszeni ogromny klucz i zamachał nim w powietrzu. Potem nalał sobie wina do kubka i położył klucz na brzegu stołu. Gospodyni, szczerząc zęby w ohydny uśmiech, dopiła wino i szybko wyszła z pokoju. Gospodarz chrząknął zadowolony.

! Te kobiety ! wymamrotał. ! Dopóki jej nie powiesz, że najpiękniejsza, nie ruszy się, żeby

mężowi obiad przyszykować!

I znowu znieruchomiał, patrząc w ogień. Co jakiś czas przypinał się do dzbana, z obawą popatrując na drzwi.

Conan próbował unieść kratę, starając się nie hałasować, ale chociaż szarpał z całych sił, grube, żelazne pręty nawet nie drgnęły. Krata nie była zbyt gęsta i mógł

swobodnie wysunąć przez nią głowę, lecz gdy wsparł się potężnymi ramionami o zimny, nieruchomy metal, zrozumiał, że siła na nic się tu nie zda. Trzeba poczekać. Chyba nie trafił tu tylko po to, by stać się kolacją tych włochatych wielkoludów. Nie jest wieprzem ani cielakiem, nie wezmą go tak łatwo!

Gdy do pokoju wtoczyła się Gospodyni z ogromnym cebrem, wypełnionym kawałkami mięsa, rozsądnie usunął się w cień, by nie przyciągać jej uwagi. Gospodarz drgnął, wziął oparty o palenisko długi, gruby rożen i zaczął nabijać na niego kawałki mięsa. Gospodyni dorzuciła do paleniska drew. Zatrzeszczał ogień, Gospodarz umocował

rożen i zaczął nim powoli obracać. Szybko mu się to znudziło i kopnął olbrzymkę pod stołem.

! Teraz ty trochę pokręć, a ja przyszykuję mu jedzenie !machnął głową w stronę klatki, gdzie siedział przyczajony Conan. ! Nie zaszkodzi, jak go trochę podtuczmy.

Widzisz, jaki żylasty?

! Nie, obracaj sam, bo znowu wsypiesz za dużo ziół, jak poprzednio! I dzban prawie pusty. Sam wszystko wyżłopałeś. Siedź i kręć, ja wszystko zrobię.

Zdjęła z półki dużą, glinianą miskę i nalala do niej wina ze swego dzbana.

Wyciągnęła schowany za paleniskiem niewielki woreczek i zaczęła pełnymi garściami sypać do miski jakiś proszek. Po całym pokoju rozszedł się aromat korzeni, zagłuszając zapach pieczonego mięsa.

Conanowi wydawało się, że trafił do kuchni w swoim pałacu w Tarancii, gdzie kucharze szykują świąteczny obiad. Poczul skurcze żołądka, usta wypełniły się śliną.

Przed oczami pojawiły się wizje pieczonych jagniąt, dziczyzny i ogromnych ciast. Wszystkie myśli i uczucia zagłuszyło jedno pragnienie ! wbić się zębami w posypany aromatycznymi ziołami pieczony barani udziec. Gospodyni nadal wielką drewnianą łyżką mieszała proszek z winem. Wkrótce masa zgęstniała i teraz przypominała twarde ciasto, wznoszące się nad krawędzie miski.

! No, gotowe! I wina jeszcze dużo zostało. Niech się najpierw trochę poszamocze, powącha, a my jedzmy. Potem dopiero jemu damy, prawda, kochany? Jak tam nasze mięso?

! Gotowe! Nalej do kubka, bo w ustach mi zaschło od tej roboty. Kręczę i kręczę, a mięso ciągle surowe...

! Już ja cię znam. Tak byś całe zeżarł! Ale nic z tego. Póki ja żyję, będziesz pił wino z kubka i jadł pieczone mięso, jak mnie mamusia uczyła. Kładź tutaj!

Podsunięła półmisek na brzeg stołu i potrącony klucz z niegłośnym stukiem upadł

na podłogę. Olbrzym wstał, żeby zdjąć z ognia rożen, i nawet nie zauważył, że kopnął go piętą pod stół.

Conan, który z całych sił walczył z atakiem nieznośnego głodu i odpędzał kuszące wizje, widział, gdzie upadł klucz. Był pewien, że wkrótce mu się to przyda.

Gospodarz zaczął spychać nożem podpieczone kawałki mięsa na półmisek, a siedząca na ławie naprzeciw niego Gospodyni oblizywała się niecierpliwie.

! No szybciej, co się tak guzdrzesz? Ręce ci drżą? Pewnie, jużes dzban osuszył, to i ręce drżą! Daj no, sama zrobię.

! Nie wtrącaj się, kobieto! Sam wszystko mogę zrobić! O, popatrz! ! Zepchnął

niedbale mięso z rożna. ! Co mi tam jeden dzban! Przynieś jeszcze dwa. Dzisiaj i apetyt mam, i pragnienie mnie pali. Bo nie pójdę jutro na strych!

! Idę, idę, sama mam ochotę się napić! Zaraz przyniosę. Prawda, że w naszyjniku z czerwonych kamyków będę jeszcze ładniejsza?

! Czerwonych jak twoje oczka, jak twój nosek, najdroższa! Przynieś szybko wina! !

Gospodarz klepnął jaz rozmachem wielką łapą po szerokim zadzie.

Olbrzymka zapiszczała radośnie i potruchtala po wino, a on zaczął jeść mięso, chciwie odgryzając ogromne kęsy ostrymi zębami. Nie zdążył dojeść pierwszego kawałka, gdy wróciła z winem.

! To rozumiem! Lej, tylko nie przelej. Bo na sucho mięso w gardle staje! Wypijmy, żoneczko!

Bulgotanie wlewanego w gardła wina zmieszało się z mlaskaniem i sapaniem, potem kubki znowu się uniosły i wszystko powtórzyło się od początku. Wreszcie olbrzym sapiąc, odchylił się na oparcie ławy i zaczął dłubać w zębach.

! Oj, dobra dziś była kolacja. Takiej Gospodyni jak ty to i za Daleką Górą nie znaleźć.

Gospodyni żując ostatni kawałek, rozsznurowała obcisłą, skórzaną kamizelę.

! Nie na darmo mamusia uczyła mnie gotować ! odpowiedziała zadowolona. ! Gdy karmię ich swoim środkiem, mięso robi się delikatniejsze niż u młodego baranka. Oj, mężulku, zupełnie o nim zapomniałam. Żeby nam tylko z głodu nie padł! ! Gospodyni wyskoczyła szybko zza stołu, ale zachwiała się i omal nie upadła.

! Ohoho, już się i napiłam, i najadłam do syta! Dobrze to nasze wino, też mamusia nauczyła robić. Nie, nie doniosę mu miski, zanieś ty.

Olbrzym wziął naczynie wypełnione aromatycznym ciastem i kołysząc się, doczłapał do klatki. Przepchnął miskę pomiędzy prętami. Od zapachu, który uderzył

Cymmerianina w nos, zakręciło mu się w głowie. Do ust napłynęła mu ślina.

! Masz, jedz i tyj szybko! ! Gospodarz poturlał się z powrotem do stołu, a Conan usiadł na piętach przed miską. Wdychając chciwie aromat, już się szykował do włożenia rąk w puszystą, żółtą masę, gdy stojący do tej pory spokojnie w swoim kącie byk zamuczał nagle żalośnie, wyciągając mordę w stronę człowieka. Obręcz na szyi Conana zacisnęła się mocno, przeszywając lodowatym zimnem całe ciało. Król odskoczył od miski i padł na słomę. Urok minął. Zapach żółtego ciasta już nie powodował głodu, nie mamił i nie nęcił. Conan odpełził jak najdalej w swój kąt i patrzył stamtąd, co będzie dalej.

Gospodyni zrzuciła kamizelę i zaczęła kokieteryjnie wyjmować szpilki z włosów.

Klejnoty wały się teraz na stole pomiędzy obgryzionymi kośćmi i kałużami wina.

Mruczając z rozkoszy, gospodarz pociągnął ją za spódnicę na pryczę i w chwilę później zwalili się oboje na stertę szmat i skórzanych poduszek.

Gdy jęki i szamotanina w kącie ucichły, zastąpione ogłuszającym chrapaniem, Conan podszedł do kraty i ostrożnie wysunął przez nią głowę. Dogasający ogień ledwie rozproszą! ciemności i król z trudem rozróżniał przedmioty. Byk poruszył się w swoim boksie, lekko tupiąc kopytami o kamienną podłogę, po czym niespiesznie wyszedł na środek pokoju i podszedł do Conana. Jego nozdrza drgały chciwie, z warg kapiała ślina, a oczy spoglądały błagalnie na miskę z żółtym ciastem. Conan bez zastanowienia wypchnął

naczynie z klatki. Porykujący z zachwyty byk wetknął w nią mordę. Miska opustoszała w mgnieniu oka. Byk oblizywał jej brzegi jak pies, tłukąc nią o podłogę. Potem odetchnął z zadowoleniem, położył leb na poprzecznym pręcie klatki i przymknął oczy. Conan poklepał go po mordzie i uśmiechnął się niewesoło.

! Chociaż ty pojadłeś, głodne bydłatko. Z rok trzeba by cię karmić, żeby żebra przestały sterczeć. ! Spojrzał na boki zwierzęcia, spodziewając się zobaczyć sterczące kości i zapadły brzuch, i oniemiał! Przed nim stał potężny byk z szeroką pierśią i silnymi nogami. Ogromny leb z szeroką mordą wieńczyły ostre, sinolniebieskie rogi.

! A więc to taki środek! Szybko bym im tu obrósł mięsem i tłuszczem. Nie wiesz, co mam teraz robić? ! Poglądził zwierzę po łbie. Byk odszedł na bok i z całych sił wparł się łbem w kamień obok kraty. Krata drgnęła. Byk zaparł się jeszcze silniej, ślizgając się po kamieniach tylnymi nogami i napinając kark. Wreszcie żelazna przegroda uniosła się w górę ze zgrzytem. Conan szybko wyskoczył na zewnątrz i odetchnął z ulgą. Byk odsunął

się od kamienia i krata opadła z powrotem. Klatka była pusta.

Potężne chrapanie, sapanie i cmokanie śpiących olbrzymów zagłuszały ich kroki.

Byk obwąchał i polizał kałużę wina na stole, poszedł w odległy kąt i zatrzymał się przy leżącej na podłodze drabinie. W słabym świetle dogasających polan udało się Conanowi znaleźć pod stołem klucz. Rozejrzał się i obok zapasowych roznów zobaczył kilka przygotowanych pochodni. Zapalił jedną i podszedł do drabiny.

Byk stał obok i patrzył na małe, tajemnicze drzwi. Conan przystawił drabinę do ściany i już miał wejść na górę, gdy wilgotna morda dotknęła jego ramienia. Odwrócił się i zobaczył, że byk podszedł do skrytki i wysypał cały proszek. Podbiegł, zebrał wszystko i wysypał do miski, dodał resztkę wina z porzuconego na podłodze dzbana, rozmieszał i starając się nie wdychać korzennego aromatu, wyniósł naczynie na ganek.

! Lepiej jedz tutaj, bo tak cię rozedmie, że w drzwi się nie zmieścisz.

Wrócił do domu, a byk wyszedł na ganek i wetknął mordę w miskę. Conan podniósł z podłogi kawałek sznurka, okręcił wokół pasa i wsadził za niego kilka zapasowych pochodni. Stał jeszcze chwilę, wsłuchując się w chrapanie, ścisnął w ręce gorącą pochodnię i ruszył po cichu na górę. Stojąc na ostatnim stopniu, wyjął klucz, wsunął go do otworu i ostrożnie przekręcił. Gospodarz miał rację. Klucz przekręcał się bezszmerowo i lekko pchnięte drzwi otworzyły się bez hałasu.

Conan wszedł na strych i umocował pochodnię w stercie starych dzbanów, mis i innych naczyń. Wciągnął drabinę na górę, przymknął drzwi i rozejrzał się. Strych był

ogromny i jedna pochodnia nie mogła rozproszyć ciemności, kryjącej się we wszystkich kątach za stosami wszelkich rupieci. O ile oczywiście można było tak nazwać złote monety, wysypujące się ze stojącego przy drzwiach worka wygryzioną przez wszędobylskie myszy dziurą. Nieco dalej leżały złote i srebrne naczynia.

Conan zapalił drugą pochodnię i ruszył dalej, ze zdumieniem oglądając ten skarbiec.

Zasypany potłuczonymi naczyniami, na wpół zetłalymi szmatami i kawałkami skóry, strych śmiało można było nazwać skarbcem. Po przejściu trzech kroków Conan zobaczył ogromny rzeźbiony kufer z żelaznymi okuciami. Odchylił wieko. „Oto czerwone kamyczki!” ! wyszeptał cicho. Zapewne do tego kufra sięgał śmiały Gospodarz, by dogodzić swojej niezrównanej żonce.

Refleksy ognia zamigotały na wspaniałych naszyjnikach z ogromnych rubinów, szafirów i szmaragdów. Klejnoty mogłyby stanowić ozdobę nawet królewskiego skarbca w Tarancii! Spod góry naszyjników wyzierały drogocenne bransolety, klamry, ogromny diadem z perel...

Conan już wyciągnął rękę, aby sprawdzić, jakie jeszcze skarby kryje ogromny kufer, gdy jego szyję przeszły cieniutkie, lodowate igielki przypomnienia, że znalazł się tu po to, by znaleźć dla czarownika coś ważnego. W kufrze tego nie było. Może to ten straszny Rodrag, którego tak bały się olbrzymy? Conan ruszył powoli dalej, oglądając się co chwila.

Po chwili jego uwagę przykuła lśniąca w płomieniu pochodni sterta zbroi i broni.

Pozłacane, ozdobione drogocennymi kamieniami i bogatymi ornamentami zbroje były pogięte i miejscami połamane, za to lśniące zimną stalą miecze wyglądały tak, że Conan nie mógł już się oprzeć. Już chciał wziąć jeden z nich, żeby nie czuć się takim bezbronnym, ale setki lodowatych igieł znowu przebiły jego szyję, zmuszając do dalszych poszukiwań.

Cymmerianin oglądał worki i sztaby złota oraz zdobione szkatułki, które mogłyby do końca świata pojawiać się w sennych marzeniach kobiet. Wytworna zastawa, godna królewskiego stołu, leżała zwalona w kącie. Szedł zastanawiając się, jakim sposobem te skarby znalazły się w starym, przegniłym domu, u żarłocznych potworów, które nie mają najmniejszego pojęcia, co z nimi robić.

Zapatrzony w stertę połyskujących diamentami, bojowych tarcz, omal się nie przewrócił, potykając się o coś miękkiego. Stał przed czymś w rodzaju łoża, zrobionego z mnóstwa wyszywanych złotymi i srebrnymi nićmi skórzanych poduszek. Na niezwykłym łożu spoczywał niewielki, podłużny przedmiot, przypominający długą szkatułkę. Conan pociągnął ostrożnie przykrywającą go czarną tkaninę, wyszywaną w malutkie gwiazdki.

Pod nim rzeczywiście była szkatulka z drzewa sandałowego.

Król przyklęknął na jedno kolano, by przyjrzeć się znalezisku. Nie dostrzegł

zamka i ostrożnie uniósł wieko, gotów w każdej chwili odskoczyć i chwycić jeden z leżących nieopodal mieczy.

W pierwszej chwili wydało mu się, że na zielonej, atlasowej poduszce leży zwinięta w kłębek zmija. Po dokładniejszych oględzinach zrozumiał, że to bicz. Nigdy dotąd takiego nie widział. Kościana rękojeść była bogato zdobiona złotymi kółkami i mał

łymi diamentami, sam bat spleciony był kunsztownie z licznych wąskich pasków skóry, najeżonej małymi, zielonymi kolcami. Pomarszczony, ciemnozielony owoc wiszący na końcu bicza pokryty był identycznymi kolcami.

Conan ostrożnie dotknął jednego z nich. Miękki kolec poddawał się dotykowi palca. Nie zdążył jeszcze cofnąć ręki, gdy leżący przed nim bat poruszył się. Wplecione pomiędzy paski skóry

kolce pojaśniały, wypełniając się zimnym, białym światłem.

Wiszący na końcu owoc drgnął i też zapłonął. Teraz już Conan nie zaryzykowałby dotyku żadnego z kolców. Miał przed sobą obudzoną śmierć. To był właśnie Rodrag, którego tak bały się olbrzymy i po którego Cymmerianin tu przyszedł.

Gdy tak stał i spoglądał na bat, leżący na poduszce w drogocennej szkatule niczym najwspanialszy skarb, na dole rozległ się hurgot, bieganina i krzyki. Najwyraźniej olbrzymy obudziły się i zauważyły zniknięcie jeńca.

Zdecydowanym ruchem ujął rękojeść, która wpasowała mu się w dłoń. Całą długością bicia wstrząsnął dreszczem od kościanej rękojeści, mocno ściskanej w potężnej ręce, aż po sam koniec, gdzie zawieszony był kolczasty, świecący owoc.

Conan podszedł do drzwi, starając się nie hałasować. Odgłosy nasilały się i nagle w całym domu rozległ się obląkańczy wrzask Gospodyni. Musiał doprowadzić do rozstroju nerwowego wszystkie kruki i nietoperze, mieszkające pod tym dziurawym dachem.

! Drabina! Wlazł na strych! Co robić, Gospodarzu, on jest na strychu?

! Zamilcz! Jak mógł tam wejść, skoro ja mam klucz? O, tutaj, w kieszeni. Nie, w tamtej. Też nie... Popatrz no, czy klucz nie wypadł na łóżko, gdy myśmy...

! Nie mu tu żadnego klucza. Mówię ci przecież, że jest na strychu, bałwanie!

! Klnę się na rogi Głodnego Demona, że jeśli tam jest, zaraz go stamtąd ściągnę i zjem żywcem! ! zaryczał olbrzym. Conana dobiegły odgłosy podsuwanego do ściany stołu.

Olbrzym coś na nim postawił, a potem rozległy się przekleństwa. Gospodarz próbował dosięgnąć drzwi, ale ciągle stał za nisko. Conan oparł się o drzwi i przysłuchiwał klótni olbrzymów, nie mogąc powstrzymać się od złośliwego uśmieszku. Rękojeść drżała w jego rękach. Bicz poruszył się, jakby prosząc o walkę ze swymi wrogami, ale król ciągle jeszcze zwlekał i nie otwierał drzwi.

Przez dziurkę widział, jak Gospodyni przyciągnęła skądś ogromny, pusty kufer i sapiące olbrzymy ustawiły go na stojących na stole ławach. Gospodarz zachichotał ogłuszająco, poklepując się po udach.

! No, jeśli Rodrag nie złupił mu jeszcze skóry, to zaraz ja to zrobię! Gospodyni, zapal no pochodnię, kto go wie, w jaki kąt się wcisnął!

! Gospodarzu, została już tylko jedna ! zawyla olbrzymka. ! Ten lajdak zabrał wszystkie pochodnie!

! Wszystko jedno, dawaj! Przypiekę go trochę, żeby nie jeść na surowo! !

zachichotał znowu.

Gospodarz niezdarnie wdrapał się na górę, stół i ławy zatrzeszczały pod jego ciężarem. Conan nie czekał, aż drzwi się otworzą pod uderzeniem ogromnej pięści i uchylił je sam.

Stołu, dwóch ław i skrzyni było za mało, aby olbrzym mógł dosięgnąć drzwi. I gdy niespodziewanie otworzyły się przed nim, ze zdumieniem wytrzeszczył na Conana oczy.

Cymmerianin pochylił głowę i spojrział na niego z góry z okrutnym uśmiechem. Olbrzym ochłonął i chwytając się czarnymi łapami za próg, próbował wleźć na strych.

! Patrz tylko, Gospodyni ! ryknął ! on się jeszcze uśmiecha! Jakiś szalony nam się tym razem trafił. Zaraz go dostanę!

Zaślepiiony wściekłością, nie dostrzegając niczego podejrzanego, zadarł nogę i wszedł na strych. Rękojeść bicia w rękę Conana szarpnęła się i stała się niemal gorąca.

Rozległ się syk, jakby z tyłu podkradła się żmija. Na podłogę runęły zwalone na kupę zbroje i Conan cofnął się szybko. Nie musiał nawet wznosić ręki do uderzenia. Bicz ożył i sam rwał się do ataku.

! Dalej, mężulku, wyciągnij go stamtąd ! dodawała mu otuchy Gospodyni. ! Zjedz go żywcem, a ja ci pomogę! Co z tobą, Gospodarzu?

Wystające z dziury nogi olbrzyma zadrgały, ścianami wstrząsnęło ogłuszające wycie. Olbrzym spadł na kufer i stoczył się na podłogę. Leżał skulony na boku, nie mogąc złapać tchu, a z jego pleców zwisały strzępy zakrwawionej skóry.

! Ma w rękę Rodraga ! wychrypiał z trudem. !1 on mu służy. Pomóż mi wstać, chwytaj Hoca i uciekajmy stąd! Trzeba przywalić drzwi kamieniami, żeby nas nie dogonił. ! Wstał z jękiem na czworaka i podpełzł do niszy, w której niedawno stał byk.

Gospodyni szybko zorientowała się, o co chodzi, i pierwsza dobiegła do przegrody.

! Bydlęcia też nie ma! Byka też wciągnął na górę?

! Zobacz, głupia, na dworze! ! Olbrzym wstał z trudem i chwiejnym krokiem ruszył za biegnącą do drzwi Gospodynią. Tupot i wycie, które nagle dobiegły z podwórca, dodały mu sił. Niemal biegiem wypadł za drzwi.

Conan patrzył na wszystko z góry, machając wyrrywającym mu się z rąk batem.

Domyślał się, co dzieje się na dworze. Hoc, który zeżarł cały środek, też z pewnością chce się porachować ze swoimi gospodarzami. Niech bydlę też ma chwilę radości! Zadowolony

barbarzyńca zeskoczył na kufer, potem po ławach na stół i na podłogę. Wyszedł na środek pokoju słabo oświetlonego szarym światłem poranka. Stał i czekał, z uśmiechem słuchając tupotu, jęków i głuchych odgłosów dobiegających z podwórza. Wreszcie Gospodyni udało się wpaść do domu. Zaślepią strachem wpadła wprost na Cymmerianina.

Bicz, który do tej pory syczał cichutko na podłodze, zerwał się błyskawicznie, załśnił kolcami i przejechał olbrzymkę po ręce, rozcinając jej skórę od ramienia do dłoni.

Gospodyni wytrzeszczyła oczy i z wyciem cofnęła się do drzwi. Wtedy właśnie do pokoju wbiegł Gospodarz, klnąc i przytrzymując zakrwawione strzępy spodni. W ślad za nim, wyłamując drzwi, wsunął się ogromny byczy łeb z wściekłymi, fioletowymi oczami.

Conan nie wytrzymał i zachichotał, uderzając batem po podłodze.

! Wspaniale! Wyszła ci na zdrowie gospodarska karma! No, ty się już zabawileś, teraz moja kolej! Moja i znamienitego Rodraga! Raduj się, przyjacielu, skoro już się obudziłeś!

Bicz znowu z sykiem wzbil się w powietrze. Obszarpane i zjeżone olbrzymy miały się po pokoju, przewracając meble. Conan przeganiał je z kąta w kąt, od czasu do czasu robiąc kilka szybkich kroków w odpowiednią stronę. Rodrag, mały, kolczasty demon, dobrze wiedział, co ma robić. Po połamanych deskach stołu i ław i ostrych skorupach potłuczonych naczyń, wyjąc i piszcząc, biegały przed Conanem dwa potężne, śmiertelnie przerażone kawały miecha, błyskając zalanymi krwią oczami.

Conan chichotał, a bicz w jego ręku szalał upojony gniewem. Białolzielony, świecący punkt miały się ze świstem i sykiem od Gospodyni do Gospodarza, chociaż w tym tumultie trudno było ich rozróżnić.

Przewracające się i podrywające ponownie olbrzymy, chłostane przez Rodraga, ostatkiem sił dopadły drzwi. Zapomniały, co czeka je na dworze. Wściekle oczka Hoca uważnie śledziły starcie. Zamiast ratunku olbrzymy napotkały bycze rogi. Pierwsza dopadła drzwi Gospodyni. Nie widziała i nie słyszała niczego oprócz syczącego, zielonego demona, który to z prawej, to z lewej strony wbijał się w jej krwawiące ciało. Z impetem wpadła na wystawiony róg. Agonalne wycie przebitej na wylot olbrzymki zlało się z triumfalnym rykiem byka.

Gospodarz stanął, nie wiedząc, gdzie szukać ratunku. Byk potrząsnął łbem i zalana krwią Gospodyni upadła na podłogę. Rodrag wyrwał się z ręki Conana i Cymmerianin podszedł do Gospodarza, pozwalając biczowi dobić swoją ofiarę.

! Co za wspaniały kawał mięsa! ! wołał barbarzyńca. ! Szkoda, że nie ma tu twoich krewnych z Dalekiej Góry. Zeżarliby cię na surowo. Rodrag, zedrzyj z niego resztki spodni i skórę! A masz, ty pomocie Nergala! Masz! I jeszcze raz! ! Teraz już Conan sam chłostał charczącego olbrzymia, miotającego się jak szczur pod kratą, za którą jeszcze niedawno siedział jego jeniec. Wreszcie olbrzym padł na kolana i rozciągnął się na podłodze. Jego ciało podrygiwało pod uderzeniami, palce konwulsyjnie darły kamienną podłogę. Wreszcie wielkolud drgnął po raz

ostatni, jęknął i ucichł. Rodrag, który wzniósł

się do uderzenia, zamarł w powietrzu i z cichym stukiem upadł Conanowi pod nogi.

Migoczące lśnienie powoli przygasało i śmiercionośna kolczasta kula znowu wyglądała jak zielony, pomarszczony owoc. Nagle Conan poczuł, że jego ręka, która przed chwilą ścisnęła rękojęść bicia, jest pusta. Rozchylił zaciśnięte palce, a bicz powoli rozplynał się w powietrzu. Niewielki owoc z małutkimi kolcami leżał na podłodze.

Conan podniósł go ostrożnie i położył na dłoni. Jaki niepozorny! Kto by pomyślał, że kryje w sobie taką siłę! Popatrzył z obrzydzeniem na dwa zakrwawione ciała. Poczuł, że musi stąd wyjść, niechby nawet pod ulewny deszcz. Nie zdążył jednak zrobić nawet jednego kroku, gdy ściana domu drgnęła od potężnego uderzenia. Rozległ się ryk rozwścieczonego zwierzęcia i kolejny potężny cios wstrząsnął ścianą. Posypały się drobne kamyczki, gdzieś na górze trzasnęła belka. Za oknem mignęło ciało biorącego rozpęd byka. Na widok tego, w co przemienił się chuderlawy Hoc, pokrzepiony gospodarskim proszkiem, Conan drgnął mimo woli. Teraz wielki jak słoń, niczym rozszalały demon zmiatał wszystko, co stało mu na drodze.

Conan zdążył uskoczyć pod ścianę, gdy na wszystkie strony poleciały kamienie i zewnętrzna ściana zawałiła się, pociągając za sobą belki sufitowe i przegniłe krokwie.

Jeszcze jedno uderzenie i runął dach. Drzwi, w które miał zamiar skoczyć, skryły się w kłębach pyłu. W tym samym momencie coś spadło z góry i mocno uderzyło go w głowę.

Padł ogłuszony, ale ręce nadal mocno ścisnęły kolczasty owoc.

W głowie mu huczało, a przed oczami latały czerwone kręgi. Długo nie docierało do niego, że siedzi na podłodze w miedzianej wieży, oparty plecami o jedną ze ścian. Jak przez mgłę widział nieruchomą postać Ragona Satha. Mag mówił coś do niego i przez huk i loskot, który ciągle słyszał w uszach, Conan z trudem rozróżnił słowa.

! Mocną masz głowę, Cymmerianinie! Nie na darmo po całym świecie krążą opowieści o tobie. O twoich czynach już nawet układa się legendy. Teraz widzę, że zrobiłem dobry wybór. Daj mi swą zdobycz i idź spać. Niech twój medyk przyłoży ci na głowę mokry okład. Belka się złamała, a temu nic! ! Śmiech maga wstrząsnął ścianami wieży.

Conan zacisnął zęby i pokonując słabość nóg, rzucił czarownikowi owoc. Usłyszał

znajomy groźny syk. Mag pochwycił owoc w locie, wymówił pospiesznie jakieś zaklęcie i w jego chciwych rękach zaśnił czwarty kawałek talizmanu. Natychmiast dołączył go do pozostałych i pogładził otrzymaną figurę. Wreszcie machnął ręką w stronę Conana.

Czerwone kręgi z nową siłą zawirowały przed oczami Cymmerianina, przesłaniając i czarownika, i wieżę.

Kark pulsował bólem, ale myśli były jasne i wyraźne. Przeszedł kolejną próbę, zdobył dla Ragona Satha jeszcze jeden kawałek złotego talizmanu. A więc jest teraz u siebie. Trzeba otworzyć oczy, ale to takie trudne...

Nie od razu udało mu się przewyciężyć tępy ból i rozkleić powieki. Rzeczywiście, był w swojej sypialni. Wokół panowała cisza. Słońce nie migotało jeszcze złotymi promieniami na ścianach, dzień dopiero się zaczął...

Chwiejąc się na nieposłusznych nogach, Conan dowlókl się do drzwi i odsunął zasuwę, po czym wrócił do łóża i z ulgą upadł na miękkie poduszki.

Gdy ocknął się znowu, słońce zalewało jaskrawym światłem całą sypialnię. To, co wydarzyło się tej nocy, odeszło gdzieś daleko jak zeszłoroczne wspomnienia. Głowa już nie bolała. Król poczuł coś chłodnego na karku. Zobaczył Immę. Dziewczyna maczała w srebrnej misie z jakimś specyfikiem złożony na czworo kawałek płótna. Obok siedział

Damunk, trzymał rękę króla i uważnie wpatrywał się w twarz władcy. Gdy Conan otworzył oczy, medyk odetchnął z ulgą.

! Niebezpieczeństwo minęło ! powiedział do dziewczyny. !Każ przynieść dzban wina i weź ze sobą ten mały flakonik, o którym ci wczoraj mówiłem... Śpiesz się, dziewczyno, a ja zmienię okład.

Medyk wyjął płótno ze srebrnej misy i Conan znów poczuł chłodny dotyk.

Przymknął oczy, zanurzając się w przyjemnym śnie. Obudził się na chwilę, żeby wypić wino, do którego Damunk dodał nieco płynu z czerwonego flakonika. Poczuł, jak przez całe ciało przepływa mu życiodajny ogień i zasnął znowu. Obudził się wieczorem zdrów i pełen sił.

Teraz obok jego łóża siedziała królowa. Z niepokojem czekała na jego przebudzenie. Nie mogła oderwać wzroku od obroży, która wywołała w niej niejasne wspomnienia i wprawiała serce w drżenie. Lecz gdy Conan uśmiechnął się do niej swoim zwykłym uśmiechem, niepokój znikł. O nic nie pytając, czule przesunęła ręką po jego włosach, omijając wzrokiem straszną obrozę. Conan usiadł, ścisnął w rękach dłonie żony i popatrzył w okno.

! To już wieczór? A więc spałem cały dzień? Coś mi się stało? Zenobia milczała.

Damunk podszedł do łóża z nowym pucharem wina.

! Tak, mój panie ! odezwał się. ! Życiodajny sen i moje lekarstwo przywróciły ci siły. Miniona noc była bardzo ciężka, ale teraz już wszystko w porządku. Oto jeszcze jeden puchar z moim środkiem.

Conan jednym haustem wypił cierpkie wino i znowu poczuł, że ogień rozplywa się po jego ciele. Czuł się silny i rześki. Zostały już tylko dwie noce. Dwie noce niewoli u przekłętego czarownika, a potem znowu będzie wolny. Wolny! Słowo było słodkie jak łyk świeżej wody dla umierającego z pragnienia wędrowca na gorącej pustyni.

Król jeszcze raz z żalem spojrział w okno, żegnając zachodzące słońce. Wstał z łoża, a Zenobia przywarła do jego piersi.

! Wiem, że nocą grozi ci śmiertelne niebezpieczeństwo ! wyszeptała. ! Moje serce dręczą strach i ból. Ale wszystko będzie dobrze i kiedyś się to skończy, prawda, najdroższy?

! Prawda. Jeszcze tylko dwie noce. Jestem pewien, że wszystko będzie dobrze. A teraz idź i niczego się nie bój. ! Przywarł wargami do jej warg, próbując pocałunkiem odpędzić strach. Wczorajsze uczucie spokojnej pewności siebie nie opuszczało Conana i z uśmiechem odprowadził Zenobię do drzwi.

Damunk wyszedł za nią, a Imma przystanęła jeszcze chwilę na progu, patrząc na króla jasnymi oczami.

! Czego będę potrzebował jutro, dziewczyno? Okładów, wina czy cudownego eliksiru Damunka? ! zapytał i uśmiechnięty czekał na odpowiedź.

Ona również się uśmiechnęła i potrząsnęła kędzierzawą główką.

! Niczego. Wydaje mi się, że wystarczy dzban wina u wezglowia i obfite śniadanie.

Conan zachichotał, zadowolony z takiej odpowiedzi.

! Rad jestem to słyszeć. A więc zatroszcz się, żeby wszystko było pod ręką!

Dziewczyna wyszła z sypialni i natychmiast wróciła z pełnym dzbanem wina.

Postawiła go przy łożu i już chciała wyjść, gdy Conan przytrzymał ją i czule pogładził po policzku.

! Dziękuję ci, maleńka. A teraz już idź. Jest już ciemno!

Zamknął zasuwę, i w zadumie podszedł do okna. Chwilę patrzył, jak dogasa złota krawędź nieba, posłuchał nawoływania wart na murach i poszedł z powrotem do łoża.

Załóżyl przygotowany zawczasu szeroki pas, przypasał miecz i kindżał, narzucił

plaszcz i przysiadł na brzegu łoża, przypominając sobie, co działo się poprzedniej nocy.

Wkrótce przekręcił się na bok i mocno zasnął.

! Muszę poznać bliżej twojego medyka, gdy się stąd wydostanę ! powitał go uśmiechnięty krzywo Ragon Sath. ! Zdaje się, że jego nalewki i eliksiry mogłyby wskrzesić umarłego. Wygląda na to, że już zapomniałeś, jaki ciężar spadł ci wczoraj na głowę. I to wszystko dzięki kilku kroplom jego specyfiku!

Conan milczał, nie chcąc się wdawać w rozmowę. Spokojnie patrzył czarownikowi w oczy. Mag spochmurniał, uniósł się na tronie i wskazał ręką zasłony.

! Skoro wróciły ci siły i jesteś taki pewny siebie, sam wybierz, przez które drzwi chcesz przejść dzisiaj.

Wybór był niewielki ! zostały już tylko dwie ciemne, nieruchome zasłony.

Czarownik mówił wczoraj, że za jednymi z nich Conan będzie potrzebował całej swojej odwagi. Ale przecież za każdymi jej potrzebuje. Jedna płachta poruszyła się lekko i Conan poszedł tam, nie zwlekając. Znowu zatonął w kołyszącej się mgle.

Po kilku krokach zatrzymał się. Nic nie widział, jednak jego nogi pewnie stały na czymś twardym. Nie szarpały nim wiatry i nigdzie nie spadał. Po chwili zaczął rozróżniać niewyraźne kontury jakichś przedmiotów i poruszające się cienie.

Nagle obok niego rozległ się wielogłosy kobiecy pisk i szybki tupot lekkich nóg.

Wiedział już, że stoi pośrodku rozkosznej sali kąpielowej, a zbite w przerażone stadko nagie dziewczęta biegną do drzwi i wyskakują na zewnątrz. Wreszcie, gdy ostatnia dziewczyna z suknią i pantoflami znikła za drzwiami, z zewnątrz dał się słyszeć dźwięk opadającej zasuw.

Znowu go złapano i zamknięto. Conan uśmiechnął się mimo woli, porównując salę z klatką u olbrzymów. Tutaj przynajmniej nie śmierdziało nawozem. Oderwał wzrok od rzeźbionych drzwi i zaczął się rozglądać.

Trafił chyba do królewskiego pałacu. Sala ozdobiona była bardzo bogato, czegoś takiego Conan nie widział jeszcze nigdy. Wykonana z jednolitego bladozielonego kamienia, wyglądała jak ogromna czasza kwiatu. Na wyginających się na zewnątrz brze-gach w kształcie płatków stały wazy z owocami i smukłe naczynia z winem. Pomędzy kamiennymi płatkami umieszczono złote figury, a z ich otwartych paszczy do sali kąpielowej lała się ze szmerem aromatyczna woda.

Miękkie, białe kobierce z delikatnym wzorem zielonych liści otaczały salę ze wszystkich stron. Obfitość porozrzucanych brokatowych poduszek świadczyła o tym, że mieszkańcy pałacu lubią spędzać tu czas. Wszystko w tej sali wzbudzało spokój i błogość.

Przez otwarte na oścież wąskie, wysokie okna poranny wietrzyk przynosił z ogrodu aromat róż. Ściany lśniły drogimi kamieniami i pozłotą. Pod wysokim sklepieniem zwisały ażurowe lampy i Conanowi wydawało się, że przemykają w nich malutkie, ogniste żmijki.

Conan oglądał wymyślne wzory i jednocześnie czujnie nasłuchiwał. Nagle panującą za drzwiami ciszę zakłóciły przybliżające się szybko oburzone kobiece głosy.

Rozległ się łoskot zasuw i drzwi stanęły otworem.

Na progu stanęły dwie piękne dziewczyny w zbrojach i zastygły z obnażonymi mieczami w rękach. Ich twarze były surowe i stanowcze. Wystarczył jeden rzut oka, by zrozumieć, że to prawdziwe wojowniczkę, a nie słabe niewiasty, ustrojone w kolczugi.

Conan sięgnął po miecz, ale w tym momencie w drzwiach pojawiły się kolejne młode dziewczęta, odziane w lekkie, półprzeźroczyste tuniki, niosące niewielkie, miękkie fotele i niskie stoliki. Popatrzyły z lękiem na Cymmerianina, postawiły to wszystko na marmurowej posadzce i wyszły pospiesznie. W ślad za nimi wbiegły równie piękne istoty z talerzami i dzbanami. Zapach pieczonego mięsa i ostrych przypraw podrażnił nozdrza.

Cymmerianin pomyślał, że walka nie jest jeszcze przewidziana.

Dziewczęta, które przyniosły jadlo, wybiegły i do sali wkroczyły powoli i znieruchomiały po obu stronach drzwi milczące kobiety, od stóp do głów odziane w lekkie woale. Skłoniły się z szacunkiem i Conan zobaczył nadchodzącą z głębi korytarza kobietę w złocistozielonej, mieniącej się szacie. Wydawało się, że nie dotyka stopami podłogi. Bransolety zdobiące nadgarstki i kostki u nóg dzwoniły leciutko.

Zdecydowane, niebieskie spojrzenie Cymmerianina spotkało się z zagadkową głębią nieruchomych, zielonych oczu, błyszczących na pięknej, bladej twarzy jak dwa ciemne szmaragdy. Korale wargi wygięły się lekko w uśmiechu. Kobieta podeszła do Conana tak blisko, że w nozdrza barbarzyńcy uderzył płynący od niej aromat perfum, i zaczęła go w milczeniu oglądać. Cymmerianin stał jak skamieniały. Nie był w stanie się poruszyć.

■ A więc to ty przestraszyłeś moje dziewczęta. ■ Głęboki, niepokojący głos zadźwięczał w uszach Conana jak czarująca muzyka. ■ Mogą się nie obawiać, nie zrobisz im krzywdy. ■ Uśmiechnęła się zagadkowo i musnęła palcem jego wargi. Efekt był

piorunujący, oczarowany barbarzyńca poczuł, że z radością wypełni każdy jej rozkaz. ■

Siądź tutaj i opowiedz mi, kim jesteś i skąd się tu wziąłeś.

Kobieta usiadła na niskiej ławie, obitej złocistym aksamitem i wskazała Conanowi rozrzucone na podłodze poduszki. Usiadł posłusznie u jej stóp, chciwie przyglądając się gibkiej figurze nieznamym władczyni. Wspaniałe kasztanowe włosy, upięte wysoko i ozdobione złotym diademem z lśniącymi kamykami, opadały na kark skręconymi pasmami. Wąska suknia z ciężkiej, mieniącej się złotem, zielonej tkaniny wspaniale podkreślała śnieżną biel skóry i blask miedzianych loków. Odsłonięte do ramion ręce, głęboki dekolt ukazujący kuszący rowek piersi i wysokie rozcięcia spódnicy, przez które wysuwały się zgrabne nogi, drażniły Conana, mącąc mu rozum. Jednak jakaś część jego duszy wiedziała, że to tylko kolejne oszustwo, czarodziejski

urok i sprzeczne uczucia prowadziły ze sobą ostrą walkę.

! Hej, Zafira, nalej nam wina! Dlaczego jest tak cicho? Gdzie są muzykanci?

Dziewczęta wyfrunęły jak lekkie ptaki spełnić jej rozkazy. W ręku Conana znalazł

się wypełniony aromatycznym winem puchar. Sadowiający się na poduszkach po drugiej stronie sali muzykanci podnieśli porzucone w pośpiechu instrumenty i zaczęli grać cichą melodię.

Rudowłosa kobieta nie spuszczając wzroku z Conana, napiła się wina ze swojego pucharu.

! A więc, kim jesteś i jak trafiłeś do mojego pałacu? ! powtórzyła pytanie. !

Czekam na odpowiedź.

Conan zapragnął nagle opowiedzieć jej wszystko od samego początku. O Ragonie Sathu uwięzionym w zaczarowanej wieży, o swoich nocnych przygodach i o cudownym talizmanie, lecz cząstka, która stawiała opór władczyemu czarom tej kobiety, oraz obroża, która nagle zacisnęła mu się na szyi, sprawiły, że się opamiętał.

! Ty rozkazujesz, ja z radością słucham ! odpowiedział, patrząc prostodusznie w zielone oczy kobiety. **! Ale niewiele mogę ci opowiedzieć. Jestem królem wielkiego państwa, imię moje brzmi Conan. Zasnąłem nocą w moim pałacu i obudziłem się już tutaj, u ciebie. Jesteś więc moim snem. ! Conan napił się wina z pucharu. ! To musi być sen — dodał zadowolony ze swojego sprytu. — Nigdy nie piłem takiego wina i nigdy nie widziałem tak pięknej kobiety. ! Teraz już mówił ze szczerym zachwytem, otwarcie przyglądając się rudowłosej. Zadowolona z takiej odpowiedzi władczyni skinęła ręką i służące postawiły przed nimi niski stolik zjadłem. Kobieta piła małymi łydkami aromatyczne wino, uśmiechając się.**

! Skoro to sen, niechaj wszystko w nim będzie tak jak ja chcę ! odezwała się. **!**

Jestem królową kraju, do którego trafiłeś, i dzisiaj jesteś moim sługą. Ja będę rozkazywać, ty słuchać. Lecz nocą... Nocą ty będziesz rozkazywać, a ja będę słuchać... A potem... Potem się obudzisz. **! Uśmiechnęła się dziwnie, przesuwając szybko wąskim językiem po jaskrawych wargach. Conan drgnął mimo woli, wyczuwając w jej ostatnich słowach niebezpieczeństwo. Ale za bardzo jej pragnął.**

! Zgadzam się, piękna królowo ! odparł. **! Rozkazuj, a będą ci wiernie służył przez cały dzień. A potem obudzę się z nadzieją, że znowu mi się przyśnisz !** rzekł i z zadowoleniem zabrał się za jedzenie.

Muzykanci zaczęli grać głośniejsze i na środek sali wybiegło kilkanaście dziewcząt.

Ich giętkie ciała były ledwie osłonięte skrawkami materiału, połyskującymi od ogromnej ilości drogich kamieni i złota. Braki w odzieży wyrównywały klejnoty, którymi tancerki były

dosłownie obwieszono. Stały w półkolu i zamarły, nie odrywając wzroku od Conana i królowej.

Władczyni skinęła lekko głową i dziewczęta zaczęły tańczyć. Pobrzękując bransoletami i wyginając się, schodziły się i rozchodziły w wyszukanych figurach.

Conanowi swym tańcem przypominały żmijki z ornamentów na posadzce i ścianach sali.

Dziwna, urzekająca muzyka i migotanie giętkich, smagłych ciał hipnotyzowały.

Cymmerianin zapomniał o mięsie i winie. Jedyne królowa przez cały czas władała jego uwagą. Z rzadka spoglądał na tańczące dziewczęta, częściej przenosił wzrok na ich panią.

Ona zaś podnosiła do ust puchar i odpowiadając mu zagadkowym uśmiechem, szybko wodziła po ustach różowym językiem.

Conan nie zauważył upływu czasu. Muzyka dawno umilkła, dziewczęta gdzieś znikły. W ogromnej sali siedział tylko on i rudowłosa władczyni, przy drzwiach stały dwie piękne strażniczki z obnażonymi mieczami.

! Jakie jest twoje imię, pani ! zapytał Conan, dopijając wino. ! Jak mam cię nazywać tej nocy?

Zaśmiała się i błysnęła oczami.

! Czy ma to dla ciebie jakieś znaczenie? Jeśli koniecznie chcesz wiedzieć, na imię mi Frinia. A teraz, sługo, posłuchaj rozkazu swojej królowej. Pójdiesz z moimi dziewczętami do miasta, gdzie będziesz je chronił. Chcę świeżych owoców! Pamiętaj, że mieszczanie mają zakaz zbliżania się do mojego pałacu. Jesteś silny i śmiały, dla ciebie będzie to nie służba, lecz przyjemność!

Zaśmiała się znowu, klasnęła w dłonie i drzwi otworzyły się. Do sali wbiegły służące, niosąc piękną suknię w pastelowych kolorach, szkatułki z klejnotami, flakoniki i dzbanuszki. Dwie z nich podeszły do Conana i gestem nakazały mu iść za sobą. Zanim zamknęły się drzwi, obejrzał się i zobaczył, jak dziewczęta pomagają królowej zdjąć suknię, szykując ją do kąpieli.

Potrząsnął oszołomioną głową i ruszył niechętnie za służącymi, które ciągnęły go na galerię prowadzącą na dziedziniec.

Otoczony niewysokimi murami, z szemrzącą fontanną pośrodku, ukryty w różach i bluszczu, przestronny, wyłożony kamieniami dziedziniec bardziej przypominał ogród.

Czekały tu na Conana trzy służące z wielkimi koszami i dwie młode wojowniczkę w kolczugach, z mieczami przy pasach.

Służące, które przyszły z Conanem, kazały otworzyć bramę. Pięć dziewcząt szło na przodzie,

on i strażniczki zamykali malutką procesję.

Pałac Frinii tonął we wspaniałych ogrodach i niewielkich zagajnikach. Do miejskiej ulicy prowadziła szeroka droga, obsadzona smukłymi, wysokimi drzewami.

Gdy byli już dość daleko od pałacu, Conan obejrzał się i oniemiał z zachwytu.

Nawet w Szaissie, z jej wieżami i pałacami, nie widział czegoś tak pięknego.

Ponad ciemnozielonymi liśćmi ogrodów wznosiły się lekkie budyneczki z białego kamienia, z licznymi wieżami i wieżyczkami, ażurowymi przejściami i galeriami. Zielone dachy ze złotymi iglicami i profilowanymi rynnami odcinały się ostro na tle oślepiająco niebieskiego nieba z puszystymi obłokami. Mury nie były ozdobione mozaiką ani drogocennymi kamieniami. Nie było takiej potrzeby. W oprawie zieleni i nieba pałac sam sprawiał wrażenie rzadkiego klejnotu.

Idąc za rozmawiającymi cicho służącymi, Conan oglądał się co chwila, zachwycając się tonącym w zieleni pałacem. „Po co tu właściwie jestem? Żeby zachwycić się pałacem i niebem, a nocą spać z królową? Przeklęte czary! Znowu będę się błakał jak w Szaissie!”, przeszła mu przez głowę niespodziewana myśl. Zaciśnął zęby i odwrócił się. Widział już tylko złośliwe, kpiące oczy Ragona Satha. On, potężny król Conan, znowu dał się złapać na kobiece sztuczki. Frinia z pewnością jest czarodziejką. Kto wie, czym skończyłaby się ta noc namiętności... Odechciało mu się miłosnych igraszek, stracił humor i szedł ponuro obok surowych strażniczek. Znowu był dawnym Conanem, zdolnym stawić opór każdemu czarom.

Ogrody niespodziewanie skończyły się i przy drodze wyrosły domy mieszczan.

Szli teraz ulicami pięknego, czystego miasta. Wszędzie niewielki oddział witaly wystraszone spojrzenia i zatraskujące się drzwi sklepików. Przechodnie skręcali pospiesznie w boczne uliczki, byle tylko nie spotkać się z nimi. Zajęte wesołą pogawędką służące nie zwracały na to uwagi.

Wreszcie wyszli na bazar. Conan od razu poczuł, że coś jest nie w porządku. Nie słyhać było wesołego przekrzykiwania się sprzedawców i zwykłego zgiełku kupujących.

Na drzwiach kramów wisiały wielkie, zardzewiałe zamki. Chłopcy nawoływacze nie zachwalali dźwięcznymi głosami towarów, nie zapraszali klientów do kramów. Siedzący przed drzwiami sklepików starcy i staruszki obojętnie lub z przestraczem spoglądali na przechodzące służące. Dziewczęta minęły zdecydowanym krokiem kilka rzędów niebogatych kramów i zatrzymały się przed niepozornym wejściem. Kobieta, która siedziała na progu, krzyknęła przerażona

i chciała skryć się za drzwiami, ale strażniczki stanęły obok niej i zamarła, przygwożdżona strachem. Jedna z dziewcząt odwróciła się do Conana.

! Masz pilnować wejścia do sklepu, dopóki z niego nie wyjdziemy ! powiedziała, obdarzając go oślepiającym uśmiechem !i nikogo nie wpuszczać. Taki jest rozkaz naszej pani. Zrozumiałeś? !

Znowu uśmiechnęła się figlarnie, przesuwając oczami po jego potężnej postaci. Conan położył dłoń na pasie, gdzie wisiał jego wierny miecz i zasepiony skinał głową. Strażniczki weszły do kramu w ślad za służącymi, wpychając do środka płaczącą kobietę. Conan znieruchomiał przed drzwiami. Nic z tego nie rozumiał, ale ręki z miecza nie zabrał.

Nie wiedział dlaczego, ale cała ta sytuacja niezbyt mu się podobała. Właściciele pobliskich kramów z niepokojem wyglądali zza drzwi, gotowi w każdej chwili zasunąć zasuwę i ukryć się.

Królowa życzyła sobie świeżych owoców, a na całe miasto padł blady strach, jakby właśnie zaczęła się dżuma. Na każdym znanym mu bazarze nikt nawet nie zwróciłby uwagi na pięć służących i dwie chmurne strażniczki. Słudzy pierwszego lepszego kupca w Tarancii wyglądają groźniej.

Pogrążony w rozmyślaniach spoglądał niewesoło na słońce, któremu najwyraźniej spieszyło się na zachód, by odpocząć za krawędzią ziemi. Nagle z kramu nieopodal wyszedł niewysoki, siwy kupiec i ruszył w jego stronę. Conan stał nieruchomo, obserwując go kątem oka. Nieznajomy podszedł blisko i pokłonił się z szacunkiem.

■ Witam cię, cudzoziemcze! Jesteś nowym sługą naszej pięknej królowej?

■ Tak, czcigodny kupcze, dzisiaj jej służę. Skąd wiesz, że jestem cudzoziemcem? ■

Conan odwrócił się do niego, chcąc pogawędzić.

■ Twój miecz i klamra na płaszczu nie są naszej roboty. Zresztą, nie przypominasz mieszkańców naszego kraju. Nasi mężczyźni są niezbyt wysocy i zgrabni, nie ma wśród nich takich potężnych wojowników jak ty.

■ Nie widziałem dotąd waszych mężczyzn. Sami starcy i staruchy! A gdzie są chłopcy i młodzieńcy? Gdzie młodzi mężczyźni? Czy wszystkich mężczyzn mór wydusił?

Stary kupiec milczał chwilę z przymkniętymi oczami.

■ Jakże piękna jest nasza królowa, niezrównana Frinia ■ powiedział szybko. ■

Jakim szczęściem jest służenie jej w dzień i nagroda nocą. ■ Zamilkł, czekając na reakcję Conana.

■ Czy wszystkich was omamiła wasza piękna królowa? ■ zapytał niedelikatnie Cymmerianin, który zaczął już tracić cierpliwość. Słońce chyliło się ku wierzchołkom drzew, zbliżała się noc, a wraz z nią niezrozumiałe niebezpieczeństwo. Do tej pory nie udało mu się zobaczyć niczego, co przypominałoby chociaż talizman, a tu jeszcze ten głupkowaty kupiec, zakochany w swojej królowej.

Nieoczekiwanie starzec wznosił ręce ku niebu i obejrzał się na drzwi kramu.

! Chwała Najjaśniejszym Bogom ! wykrzyknął cicho **! nareszcie moje modlitwy zostały wysłuchane!** Oto przybył człowiek, który strząsnął przekłete czary. Weź tę szkatułkę, a wszystko ci opowiem. **! Szybko wsunął w rękę Conana małe pudełeczko, a ten schował je do sekretnej kieszonki na pasie. Potem znowu zamarł, patrząc na starca.**

! Jeszcze nie tak dawno nasze miasto było zupełnie inne... ! zaczął mówić szybko kupiec. **! Życie wrzało, ludzie żyli bogato i szczęśliwie, oddając cześć Najjaśniejszym Bogom i mądrym królom. Ale nawet wielcy mędrcy popełniają fatalne błędy, gdy chodzi o kobietę.**

Nasz władca był wdowcem i po śmierci królowej długo nie mógł znaleźć pocieszenia. Ale nagle pewnego dnia **! stary kupiec z niepokojem zerknął na drzwi kramu, ale panował tam spokój !** do naszego miasta niewiadome skąd przybyła bogata karawana, którą ochraniały piękne wojowniczkę. Na czele karawany we wspaniałym powozie jechała kobieta przedziwnej urody. Towarzyszyły jej liczne służące, ale w świątyni nie było ani jednego mężczyzny.

Kobieta zatrzymała się w najlepszym zajeździe i posłała królowi drogie podarunki. Następnego dnia władca zaprosił ją do pałacu... I wtedy wszystko się zaczęło.

Nasz pan stracił głowę, po jego mądrości i rozsądku nie został nawet ślad. Wkrótce ta kobieta **! domyśliła się oczywiście, o kim mówię !** została żoną naszego króla.

Niedługo trwało jego szczęście. Zmarł trzy dni po weselu. Nowa królowa przepędziła z pałacu poprzednie służące, a słudzy **! mężczyźni przepadli nie wiadomo gdzie. W mieście zagościł strach.**

Każdego dnia służące królowej Frinii wychodziły na miasto, by przyprowadzić do pałacu dwóch chłopców albo młodych mężczyzn. Żaden nie wrócił... **! Kupiec znowu się obejrzał. !** Ja też straciłem jedyne dziecko **! dodał szeptem. !** A opuścić miasta nie można, jej czary trzymają nas tu jak w więzieniu. Uwolnimy się od tego potwora dopiero wtedy, gdy zabije wszystkich młodych mężczyzn. Powiem ci, kim jest Frinia. To królowa żmij. I wszystkie jej służące też są żmijami. Spędzają z młodzieńcami noc, a potem ich kłują!

Tobie grozi to samo, jeśli nie skorzystasz z tego, co ci dałem. Musisz wiedzieć, że żmije jak ognia boją się czerwonych tkanin. W tym pudełeczku ukryta jest cieniutka, czerwona zasłona. Gdy będzie ci grozić niebezpieczeństwo, rzuć ją na królową i zabij. Zabij za mojego nieżyjącego syna! Za synów tej kobiety, których zaraz powiodą na śmierć!

Słyszysz, już ich znalazły. Żegnaj, cudzoziemcze, niechaj pomogą ci Najjaśniejsi Bogowie!

Kupiec pobiegł do swojego kramu, a za plecami Conana rozległy się krzyki, płacz, brzęk rozbitych naczyń, odgłosy uderzeń i śmiech. Drzwi otworzyły się i z kramu wyszły trzy uśmiechnięte służące z koszami pełnymi owoców. Za nimi szli dwaj piękni młodzieńcy, obejmujący służące królowej. Strażniczki, grożąc mieczami, zatrzymały na progu oszalałą matkę, aż upadła na ziemię, szlochając. Jej synowie uśmiechali się bez troski, nie widząc niczego prócz pięknych kobiet. Opuścili swój dom na zawsze.

Conan powstrzymał się, żeby nie puścić w ruch swojego miecza. Zaciśnął zęby i poszedł za nimi. Kątem oka zobaczył spoglądającego błagalnie zza uchylonych drzwi kramu kupca i skinął mu głową.

Gdy wracali wysadzaną wysokimi drzewami aleją, skąpany w różowym świetle zachodzącego słońca pałac wydawał się jeszcze piękniejszy niż za dnia. Cóż z tego, skoro gnieździły się w nim, jak w dojrzałym, rumianym jabłku, wysysające soki ohydne robaki.

Idący przed Conanem młodzieńcy rano jeszcze pamiętali, czym grozi pałac królowej żmij.

Teraz niepomni całego świata, owładnięci zdradzieckim czarem kobiecej miłości, szli prosto w paszczę śmierci.

W ciągu krótkiej drogi powrotnej Conan kilka razy dotykał ręką tajnej kieszeni, jakby sprawdzając, czy cudowne pudełeczko jest na swoim miejscu. Wiedział, że znowu doświadczy czarów królowej i był gotów do walki. Ale ten przeklęty talizman...

Nergalowe sztuczki! Gdzie on może być? Co tu jest najważniejsze? Może ta malutka szkatułka? Nie, to nie ona. W jego duszy nic nie drgnęło, ręka nie poczuła czarodziejskiego ciepła. Dzięki niej zdoła pokonać królową, ale nic poza tym. To dopiero połowa pracy. Musi szukać talizmanu.

Gdy podeszli do pałacowego muru, otworzyła się brama. Na spowitym różami dziedzińcu z szemrzącąpośrodku fontanną czekał już oddział uzbrojonych wojowniczek.

Nie odrywających zachwyconego wzroku od pięknych strażniczek jeńców powiedziano w jedną stronę, Conana w drugą.

Cymmerianin szedł za służącymi po schodach z różowego, polżyłkowanego marmuru. Prowadzono go galeriami, z których rozciągał się widok na rozpostarte w dole miasto. Wreszcie niewielki oddział zatrzymał się przed drzwiami, które niczym łuską pokryte były cienkimi, zielonymi, kamiennymi płytkami. Zza drzwi płynęła stłumiona muzyka, ciepłymi falami usypiająca umysł. Conan zaciśnął pięści, koncentrując całą wolę, by nie poddać się czarom. Jego twarz pozostała obojętna, ale w duszy wrzał gniew, jak zawsze, gdy stykał się ze Złem, władającym czarodziejską potęgą.

Drzwi otworzyły się i oczom Conana ukazała się komnata, zalana purpurowymi błyskami zachodzącego słońca. Przez otwarte na ogromny taras okna wlewało się chłodne powietrze wieczoru, przesycone aromatem róż. Niepokojąca muzyka i wirujące w tańcu postacie dziewcząt sprawiły, że na chwilę zapomniał, po co się tu znalazł. Lecz gdy dotknął ręką pasa, w którym schowana była szkatułka, natychmiast przypomniał sobie wszystko. Starając się, by błogiego uśmiechu na jego twarzy nie zastąpił pochmurny grymas, podszedł do obserwującej go Frinii.

Dziwne, ale teraz już nie wydawała mu się taka piękna. Rude włosy, gęstymi lokami rozsypane

na ramionach, podkreślały tylko drapieżny wyraz jej twarzy, a chciwie oblizujący czerwone usta język przypominał Cymmerianinowi śmiercionośne żądło żmii.

Tym razem królowa ubrana była w lekką tunikę koloru kości słoniowej, przepasaną szerokim, złotym pasem. Sięgając do połowy kostek, odsłaniała piękne nogi o cienkich łydkach. Tak jak za pierwszym razem poraziła Conana obfitość bransolet zdołała

złowić jej ręce i nogi. Dźwięczały melodyjnie przy najlżejszym poruszeniu, zwracając uwagę na jej wdzięki.

Tancerki wirowały i wyginały się przed siedzącym obok królowej Conanem, ale widział w nich tylko niosące zagładę, żmije. Odwrócił się od dziewcząt i zajął w przyzywające zielone oczy królowej.

— Jesteś zadowolona z tego drobiazgu, który nazwałaś służbą, piękna Frinio? —

zapytał. — Przypominam ci, że zbliża się noc. Nie chciałbym się obudzić przed końcem mojego snu.

Królowa zaśmiała się i bransolety zadźwięczały cichutko.

— Masz rację, królu Conanie, noc już blisko. Ale dopóki słońce złoci niebo, zostaniemy tutaj, a ja będę podziwiał twoje potężne ciało. Przepasany szerokim pasem, z mieczem i kindżalem wyglądasz tak imponująco. Dziki wojownik z dzikiego kraju! A my, delikatne kobiety, bardzo lubimy męską siłę. Zaraz przyniosą nam wina, jeszcze trochę porozmawiamy, a potem... — I jej język znów przesunął się po wargach.

Znowu pojawiły się przed nimi stoliki z aromatycznym jadem i korzennym winem. Pozwalając uzbrojonemu Conanowi siedzieć obok siebie, Frinia najwidoczniej nie wątpiła w siłę swoich czarów. Był jej zdobyczą, jej zabawką i zielone oczy obmacywały bezwstydnie jego ramiona, pierś, biodra... U jej nóg Conan pił wino, wymiatał

dziczyznę z półmisków i odpowiadał jej nie mniej otwartymi spojrzeniami. Nie musiał rozbierać jej w myślach — gibkie ciało kusząco prześwitywało przez cienki materiał.

Mrużąc oczy z zadowolenia, królowa eleganckim ruchem wyciągnęła do przodu najpierw jedną nogę z maleńkimi, różowymi paluszkami, potem drugą. Wśród brzęczących bransolet mignęło nagle coś znajomego. Na jasnym metalu ukazał się wąski pasek czarnych znaków.

Serce Conana załomotało i podniósł pospiesznie puchar do ust, aby ukryć swoje zdumienie. Przyjrzał się ukradkiem brzęczącym kółkom bransolet na prawej kostce królowej. To był talizman! Bransoleta ze znajomym wzorem mocno opinała kostkę, a luźno przesuwające się, brzęczące i migoczące pozostałe kryły tamtą przed postronnymi oczami. Któżby zresztą zwracał uwagę na jakąś tam bransoletę, gdy przed oczami porusza się obnażona do samego

biodra zgrabna nóżka!

Conan wypił wino jak wodę i obrzucił Frinię władcym spojrzeniem. Przywykłej do uwielbienia i holdów królowej spodobała się nowa gra i kokieterijnym ruchem poprawiła włosy.

! Podoba mi się sposób, w jaki na mnie patrzysz ! powiedziała. ! Siądź bliżej, chcę sama nalać wina do twojego pucharu.

Conan przysunął się i naga noga dotknęła jego ramienia. Stłumiony gniewem ogień pożądania znowu zapłonął we krwi, ale szybkie spojrzenie rzucone na niepozorną bransoletę natychmiast ostudziło barbarzyńcę. Królowa, sama już ogarnięta namiętnością, niczego nie zauważyła. Zsunęła się z fotela i siadła na poduszkach obok barbarzyńcy.

Nalala wina ze srebrnego dzbana z wąską szyjką, upiła kilka łyków i podała puchar mężczyźnie.

Różowy zmierzch ustąpił miejsca czerni nocy. Do komnaty bezszelestnie wsunęły się dziewczęta z pochodniami i zaczęły zapalać świeczniki.

Frinia wstała i posuwistym krokiem podeszła do małych drzwi w głębi komnaty.

Pchnęła je i obejrzała się. Conan zerwał się i poszedł za czarownicą. Za nim weszły służące i zapaliły kilka złotych lamp. Nie zdążyły wyjść, gdy do sypialni wbiegło kilka półnagich tancerek. Dziewczęta usiadły na podłodze obok wspaniałego łóża.

Conan spochmumiał i odszedł na bok.

! W dzień rozkazywałaś ty, nocą ja ! rzekł, wskazując je. !To twoje własne słowa, królowo! Niech służące wyjdą, chcę zostać tylko z tobą!

Frinia zaśmiała się, maskując niezadowolenie.

! Tobie pierwszemu, barbarzyńco, nie podoba się ich obecność. No cóż, okradasz się na własne życzenie. Ale nich będzie, jak chcesz. Zostaniemy tylko we dwoje. !

Machnęła dłonią rozkazująco w stronę drzwi i dziewczęta oddaliły się, nie kryjąc rozczarowania. Conan zamknął drzwi na zasuwę.

Odchylając się na wyszywane, atlasowe poduszki, Frinia z ciekawością obserwowała jego działania.

! Boisz się konkurenta? W pałacu nie ma mężczyzn oprócz tych dwóch, którzy przyszli z miasta razem z tobą... Ale oni są już szczęśliwi i nie myślą o nas. A teraz powiedz mi jeszcze raz, jaka jestem piękna. ! Kobieta wysunęła się z tuniki jak żmija ze starej skóry. Niezwykle biała skóra połyskiwała w półmroku, na tle ciemnego atlasu łóża królowa wyglądała jak perła.

! Takie sny śnią się raz w życiu! ! wykrzyknął Conan, nie ruszając się z miejsca. !

Jesteś piękna i słowa nie mogą opisać mojego zachwytu. Lepiej udowodnię to czynem.

Conan położył rękę na sprzączce pasa, jakby chciał go zdjąć, i nie spuszczała z Cymmerianina urzeczonego wzroku Frinia, nie zauważyła, jak mężczyzna wyciągnął z tajemnej kieszonki małe pudełeczko. Conan uniósł wieczko i jego palce poczuły chłód jedwabiu. Gdy wyciągnął tkaninę ze szkatułki, usłyszał przenikliwy krzyk królowej.

! Nie! Tylko nie to! Zabierz to, nie podchodź do mnie! Frinia rzuciła się do okna, ale było zamknięte. Drżące palce ześlizgiwały się z mocnych zasuwek.

Conan miał już w rękach ogromną, czerwoną zasłonę, a tkanina ciągle wysuwała się z pudełka. Wydawało się, że szeleszczące, ogniste fale wypełniają całą komnatę.

Cymmerianin zrobił krok w stronę Frinii, która zamarła z przerażenia, i chwycił ją za rękę. Królowa zaczęła się szaleńczo szamotać i Conan poczuł nagle, że ściska w ręku coś śliskiego i zimnego. Nie patrząc, pchnął czarownicę na łóżko, przycisnął kolaniem i zarzucił na wijące się ciało czerwoną tkaninę. Krzyki zamilkły na chwilę, Frinia znieruchomiała i Conan zdążył wyciągnąć miecz. Raptem zasłona zafalowała i piękne kobiece ciało znikło, a pisk i krzyki zastąpiło groźne syczenie. Nieoczekiwanie z czerwonych fałd wysunęła się konwulsyjnie trzepocząca i brzęcząca bransoletami kobieca noga. Conan zauważył wzór talizmanu, pochwycił cienką lydkę i z całej siły uderzył

mieczem. Wydawało mu się, że zamek zadrżał od tego ciosu. Płomień świec wzbil się do samego sufitu, syk przeszedł w ogłuszający świst i wijące się ciało ogromnej żmii zaczęło się wynurzać spod czarodziejskiej zasłony.

Miecz raz po raz spadał na luskowate pierścienie. Conan ciął i siekł, czerwone strzępy zasłony leciały na wszystkie strony, na podłodze wały się kawałki ciała żmii, a królowa wciąż jeszcze żyła.

Wreszcie spod lekkiego materiału wychynął ogromny, zwieńczony złotą koroną łeb żmii z kobiecą twarzą. Po czarodziejskiej urodzie nie zostało nawet śladu.

Wytrzeszczone, zielone oczy płonęły nienawiścią, z otwartych czerwonych ust ściekała jadowita ślina, długi, rozdwojony język trzepotał wściekle.

! Umrzesz! I tak umrzesz! Ukąszę! ! I zaatakowała Conana w ostatnim, rozpaczliwym skoku, ale pozieleniały od śliskiej krwi miecz potężnym ciosem przeciął ją na pół.

Łóżko przemieniło się w kłębowisko rozprutych poduszek, strzępów czerwonego jedwabiu i drgających, pokrytych łuską kawałków, a na tym wszystkim spoczęła rozrąbana głowa.

Conan dyszał ciężko. Spojrzał na to, co tak kurczowo ściskała jego lewa ręka i zemdlilo go z

obrzydzenia. Trzymał pokryty łuską ogon żmii z wrośniętą w niego czarodziejską bransoletą. Nie sposób było jej zdjąć i Cymmerianin musiał zabrać talizman razem z ogonem.

Odsunął zasuwę, obrzucił łoże pełnym wstrętu spojrzeniem i wyszedł do sąsiedniego pokoju, gdzie na jednym z foteli leżał jego płaszcz. Zawinał w niego ogon żmii, mocno zawiązał i przerzucił zawiniątko przez ramię. Nie oglądając się, wyszedł

szybko na galerię, próbując przypomnieć sobie, którędy go tutaj przyprowadzono.

Wytarł miecz o pierwszą napotkaną zasłonę i poszedł dalej. Wokół niego rozległy się jakieś szmery i szelesty, w świetle księżyca migwały ciała żmijek. Służące królowej w pośpiechu opuszczały pałac.

Gdy dojrzał światło w szczelinie pod drzwiami, kopnął je mocno i zobaczył tych, których szukał. ■ Leżący na podłodze wśród poduszek dwaj młodzieńcy z przerażeniem patrzyli na kłęb syczących, kołyszących się żmij.

■ A macie, plugawe pomioty! A macie!

Miecz znowu zaświstał w powietrzu i żmijowe ciała z odrąbanymi głowami zatrzepotały pod jego nogami. Te, które nie zdążyły odpelznąć, leżały porąbane na kawałki. Wkrótce w pokoju był już tylko Conan i przestraszeni chłopcy. Siedzieli drżący, obejmując się i nie mogąc wykrztusić ani jednego słowa.

■ Ubierajcie się szybko i wynoście się stąd! ■ rzekł ostro Conan, rzucając im odzież.

Dygocząc i szczękając zębami, wciągnęli na siebie ubranie i ledwo nadążając za swoim zbawcą, biegli ciemnymi korytarzami, szukając wyjścia.

Jeszcze kilka razy Conan musiał puścić w ruch swój miecz, gdy rozwścieczone żmije próbowały zagrozić im drogę. Były to zapewne strażniczki, chroniące spokoju swojej królowej. Małe żmijki przerażone rozpełzły się na wszystkie strony i pochowały w ciemnych kątach.

Na podwórku nie było nikogo. Młodzieńcy rzucili się, by otworzyć bramę, a Conan z obnażonym mieczem w ręku rozglądał się czujnie, oczekując pojawienia się jakiejś gadziny. Ale droga była wolna.

Brama otworzyła się i niemal biegiem rzucili się w stronę miasta po szerokiej, bielejącej w świetle księżyca drodze. Drzewa szeleściły cicho w porywach chłodnego, nocnego wiatru i Conan z przyjemnością wystawiał rozpaloną twarz na świeży powiew wiatru.

Jego towarzysze szli w milczeniu. Wkrótce dotarli do pierwszych domów.

Młodzieńcy poczuli przypływ sił i przyspieszyli kroku. Pokazały się pierwsze rzędy kramów ze szczelnie pozamykanymi na noc oknami. Zastygłe miasto wydawało się martwe w księżycowym

światle. Na cichych ulicach nie było widać ani jednego przechodnia.

Żadnego kota, psa czy choćby szczura z piskiem przebiegającego drogę.

Dochodząc do swojego kramu, młodzieńcy popatrzyli na siebie i załomotali do drzwi, jakby mieli zamiar obudzić całą dzielnicę. Nikt nie zareagował na ten hałas, ale gdy zaczęli wydzierać się na całe gardło, drzwi uchyliły się, a potem otworzyły na oścież.

Siwa kobieta z rozpuszczonymi włosami i twarzą mokrą od łez, z radosnym okrzykiem rzuciła się w objęcia swych synów.

Drzwi kramów zaczęły się ostrożnie uchylać i oto już kilku sąsiadów, nie wierząc własnym uszom, słuchało urywanej opowieści młodzieńców.

Conan odszedł na bok po cichu i stanął przed drzwiami kramu, z którego wczoraj wyszedł siwy kupiec. Zastukał, poczekał i zastukał jeszcze raz głośniejsze. Za drzwiami rozległy się lekkie kroki i skrzypienie odsuwanej zasuwki. Drzwi uchyliły się i Conan wśliznął się do środka. Przeszedł kilka kroków w kompletnych ciemnościach, wymacał

ręką jedwabną zasłonę, odsunął ją, wszedł do pomieszczenia i nieoczekiwanie znalazł się przed Ragonem Sathem. Wokół niego pobłyskując matowo, zbiegały się w górze ściany wieży. Obejrzał się. Za jego plecami nie było już drzwi. Już tylko jedna płachta wisiała naprzeciwko, przypominając mu, że jeszcze nie przeszedł do końca niebezpiecznej drogi.

Ragon Sath przyglądał się królowi ze zdumieniem i zachwytem niczym rzadkiemu okazowi egzotycznego zwierzęcia, ale zajęty rozwiązywaniem ciężkiego zawiniątka Conan tego nie widział. Uporał się z ostatnim węzłem i wytrząsnął na podłogę ogon żmii z wrośniętą w niego bransoletą. Na jego oczach ogon skurczył się, przemienił w złocistą żmiję i wypełził z bransolety.

Sycząc groźnie, popęzł szybko w stronę Ragona Satha. Czarownik drgnął i wyciągnął w stronę żmii trzęsącą się rękę. Z jego dłoni wytrysnął malutki, biały ogień i upadł w dół, syjąc iskrami. Conan spojrzął na miejsce, gdzie przed chwilą była żmija, i zobaczył na podłodze ciemną plamę.

! Pierwszy raz widzę takiego herosa jak ty. ! Głos czarownika ociekał słodyczą, która jednak nie mogła skryć zazdrości i nienawiści. ! Zza tych drzwi nikt jeszcze nie wrócił żywy. A ty wróciłeś i jeszcze to draństwo przyniosłeś. Nie cierpię żmij, to moja słabość. Jeszcze tylko jedna noc i obaj będziemy wolni! ! Wziął bransoletę z wyciągniętej ręki Conana i z radością patrzył, jak talizman przemienia się w złoty trójkąt.

Teraz brakowało już tylko jednego kawałeczka i czarownik nie mógł oderwać oczu od niemal kompletnego dysku.

! Jeszcze zdążysz się napatrzeć, a ja nie mam tu już nic do roboty ! nie wytrzymał

Conan. I Od tego wszystkiego w gardle mi zaschło, a tam w sypialni czeka dzban wina.

I Prawda, dzban wina. Troskliwa, malutka Imma. Ruszaj więc, królu, pij swoje wino, odpoczywaj, raduj się... I Ostatnie słowa maga utonęły w ryku wichru. Wiatr poszarpał odzież Conana, zjeżył mu włosy i przewrócił go na podłogę. Wirował nad nim przez chwilę, wreszcie uspokoił się i wszystko ucichło.

X

Conan leżał w zupełnej ciszy. Nie spieszył się z otwieraniem oczu. Wiedział, co zobaczy I poduszkę, zasłonę, rzeźbioną ścianę. .. Uniósł powieki i roześmiał się. Spod policzka wystawał róg poduszki, zasłona wisiała nieruchomo, pierwsze promienie słońca padały na rzeźbioną ścianę. Na stoliku obok stał wielki dzban wina.

Tego dnia Conan cieszył się każdą j ego chwilą, a mała Imma nie mogła znaleźć sobie miejsca. Uciekała w głąb ogrodu, żeby nie słyszeć muzyki i śmiechów, a potem, ukryta za drzewami, próbowała wypatrzeć króla w pstrym tłumie dworzan. Pod wieczór jej niepokój przemienił się w twardą pewność. Wreszcie dziewczyna zrozumiała, co musi zrobić. Nie było miejsca na wahanie I jej władcy groziło śmiertelne niebezpieczeństwo i tylko od niej zależało, czy przeżyje tę noc, czy nie.

Niezauważalnie wśliznęła się do sypialni Conana i zamarła, nasłuchując. Nikogo.

Panowie bawili się, a słudzy przyglądali się im, zapominając o swoich obowiązkach.

Dziewczyna zatrzymała się na chwilę obok łóża, czule przesunęła dłonią po pościeli i pospieszyła w róg komnaty, gdzie stał ogromny kufer. Z trudem podniosła ciężkie wieko.

Wyciągnęła z kufra całą stertę wytłaczanych skórzanych pasów, ozdobionych złotymi i srebrnymi blaszkami rzemyków do królewskich sandałów oraz mnóstwo innych, bogato wykończonych przedmiotów, których przeznaczenia nawet się nie domyślała. Lękając się, że ktoś przyłapie ją w królewskiej sypialni, szybko wrzuciła wszystko do sąsiedniego pokoiku, gdzie przechowywano ulubioną broń króla i jego stare zbroje. Rzadko tu zaglądano i starannie przykryta niewielkim kobiercem sterta rupieci w kącie wyglądała zupełnie naturalnie.

Imma wróciła do kufra. Zawahała się i obrzuciła wzrokiem pokój, jakby żegnając się z każdym przedmiotem. Za oknem dogasał dzień, malując niebo triumfalną purpurą.

Barwne chmury zaczęły już szarzeć na krawędziach i nienawistna, straszna noc nadciągała, chcąc odebrać życie jej władcy.

Za drzwiami dały się słyszeć kroki i donośne głosy. Dziewczyna drgnęła, budząc się z zamyślenia. Szybko ukryła się w kufrze, bezszelestnie opuszczając ciężkie wieko.

Podłożyła pod jego brzeg rzemyk i teraz przez maleńką szczelinę mogła widzieć środek

sypialni i królewskie łoże.

Do pokoju szybkim krokiem weszli Conan i Damunk.

■ Jak myślisz, medyku, gdzie mogła się podziać?

■ Nie wiem, panie. Imma to w ogóle dziwna dziewczyna. Jest niepodobna do innych. Potrafi zniknąć na kilka dni i wrócić z całym koszem rzadkich ziół i korzeni.

Mówi, że właśnie w te dni trzeba je było zebrać. Ma wrodzoną wiedzę. Chociaż nauczył
łem ją czytać i pisać, nigdy niczego nie czyta. To jej niepotrzebne. Mówię i natychmiast
zapamiętuje moje słowa. Wielu już miałem uczniów, ale żaden nie był tak pojętny i chętny. Ta
dziewczyna z czasem mnie prześcignie...

■ Skąd wydobyleś taki skarb? Sama do ciebie przysła, czy ktoś ci ją przyprowadził?

■ Nie, panie, to był przypadek. Bardzo niezwykły przypadek. Do dzisiaj nie wiem, czy wierzyć
w to, co mi opowiedziano.

■ Dzień jeszcze się nie skończył. Możesz mi opowiedzieć o malej Immie. Masz pojętną
uczennicę, ale co w niej takiego nadzwyczajnego? Zaczynaj opowieść. Obłoki już ciemnieją, a
ja chcę usłyszeć wszystko teraz!

■ Zdarzyło się to dawno, dziesięć lat temu. Gwiazdy i księżyc mówiły, że nadchodzi najlepszy
czas na zbiory leczniczych ziół i jak każdego roku o tej porze wyruszyłem do miejsc, w których
one rosną, ukryte przed niepowołanymi oczami.

Wędrowałem kilka dni i zebrałem wszystko, czego potrzebowałem. Nie mogłem tylko znaleźć
korzenia nilgi. Obszedłem wszystkie miejsca, w których lubi rosnąć, ale nie zobaczyłem
żadnego kwiatuszka, żadnej białej gwiazdeczki na wysokiej łądździe. Na próżno wypowiadałem
zaklęcia, przyzywające tę cudowną roślinę, by się nie kryła i oddała w moje ręce swój
drogocenny korzeń. Nic nie pomagało. Zmęczony i rozczarowany wróciłem do wsi, gdzie
zatrzymałem się na nocleg. W moim pokoju leżały trzy kłęby ziół i kosze z korzeniami, ale tego
najważniejszego, co przydaje szczególnej mocy lekom, co nawet starcom może przywrócić
część dawnej młodości, nie miałem. Rano zacząłem zbierać się w drogę powrotną, zerwane
rośliny zaczynały tracić moc i nie warto było marnować czasu na poszukiwania.

Smutno zamyślony siedziałem na niskiej ławie przed domem, gdy nagle przede mną jak spod
ziemi wyrosła krucha, smągła dziewczyna z ogromnymi, miodowymi oczami i niesfornymi
kędziorami włosów. Z nieśmiałym uśmiechem podała mi koszyk wypełniony jakimiś korzeniami.

■ Weź! ■ powiedziała. ■ Przecież tego szukasz od trzech dni. Weź, tutaj rośnie mnóstwo tych
kwiatów o leczniczych korzeniach, wołają cię, ale ty ich nie słyszysz! ■ Jej głosik dźwięczał w
ciszy jak dzwoneczek. Podeszła bliżej i postawiła mi koszyk na kolanach.

Pogladziłem ją po głowie, myśląc z goryczą, że już nawet taki maluch mi współczuje, i zajrzałem do koszyka, bojąc się ją urazić. Gdy zrozumiałem, że dziewczynka rzeczywiście przyniosła mi to, czego szukałem, z wrażenia omal nie wysypałem za-wartości koszyka. Nawet w najlepszych latach nie udało mi się znaleźć tyle cudownych korzeni, a tu malutka dziewczynka daje mi cały koszyk! Trzęsącymi się rękami postawiłem drogocenny podarunek na ziemi i posadziłem dziewczynkę obok siebie.

! Kim jesteś, malutka? ! zapytałem. ! Skąd znasz lecznicze zioła? I skąd wiesz, czego szukałem?

! Jestem Imma, mieszkam w tamtym domku na skraju wsi !wyciągnęła cienką rączkę, bardzo zadowolona, że przyjąłem jej dar. ! Rodzice mają nas czworo i gdy maluchy chorują, sama je lecę. Przecież wszystkie trawy, drzewa, nawet kamienie umieją rozmawiać, tylko z jakiegoś powodu nikt ich nie słyszy. Zawsze mi mówią, co potrafią robić i kiedy trzeba je zebrać. Bardzo głośno wołałeś ten kwiatek, ale szedłeś w przeciwną stronę. Nie słyszałeś, jak ci odpowiadał?

! Nie, malutka, nie słyszałem. Dziękuję ci bardzo. Tymi korzeniami wyleczę wielu ludzi, a za rok znowu tu przyjdę. Pomożesz mi wtedy?

Zmarszczyła brewki i opuściła główkę, jakby chciała coś wyszeptać, ale nie mogła się zdecydować. Znowu pogladziłem ją po włosach i nachyliłem się nad nią.

! Weź mnie ze sobą! usłyszałem. ! Będę ci pomagać przygotowywać lekarstwa i leczyć ludzi. Będę sprzątać i zamiatać podłogę w twoim pokoju. Będę prać twoją odzież.

Wszystko umiem, tylko weź mnie ze sobą.

I rozplakała się gorzko, chowając twarz w kolanach. Nie umiem pocieszać dzieci, ale wtedy gotów byłem obiecać jej wszystko, byle tylko się uspokoiła. Gdy wyrwało mi się, że ją ze sobą wezmę, natychmiast poweselała, zerwała się i pobiegła do malutkiego domku.

! Rano będę czekać na ciebie tutaj, na progu ! wołała w biegu. Skryła się we wnętrzu domu, a ja siedziałem, popatrując to

na koszyk z korzeniami, to na widniejący w oddali pochylony domek i zastanawiałem się, co będę robił w mieście z małą dziewczynką.

Nie od razu zauważyłem, że na dwór wyszedł gospodarz i usiadł cichutko na ławie obok mnie. Zakaszlał nieśmiało, wyraźnie chcąc coś powiedzieć i wreszcie się zdecydował.

! To Imma... Jest trochę dziwna, panie! Jak się u nas zjawiała, to też trochę jakby cudo. Początkowo staruchy gadały na Klarsa i jego żonę. Po co, mówiły, znajdę przygarnęli, dziecko nieszczęście wszystkim przyniesie. Potem się uspokoiły. Imma jest dobra, wrażliwa, tylko dzika, całymi dniami po lesie biega, dopiero nocą do domu przychodzi niby jakie zwierzątko.

! A jak się u was pojawiła?

Moja ciekawość rozpalala się niczym suche gałazki, a gospodarz opowiadał chętnie, chociaż powoli i nieskładnie.

! Była tu u nas sześć lat temu straszliwa burza. Przez całą noc waliły pioruny, grzmiało tak, że kilka krów ocielilo się przedwcześnie z przerażenia, kury przestały się nieść, a niemowlaki do rana posiniały od krzyku. Gdy burza przeszła i zaczęliśmy wychodzić na dwór, od nich, o, stamtąd ! pokazał w stronę domku, w którym znikła Imma

! dobiegł głośny pisk. Pomyśleliśmy, że ktoś umarł, i pobiegliśmy tam. To piszczała gruba Rikla, żona Klarsa. Oni też wyszli przed dom, żeby popatrzeć, jakie szkody wyrządziła burza, i natknęli się na ogromną, zieloną kulę czy może jajo. Kto wie, co to było. I stamtąd, z tej nibykuli, dobiegał płacz dziecka.

Opowieść gospodarza bardzo mnie zainteresowała, a on, widząc, w jakim skupieniu słucham, ciągnął tajemniczym szeptem.

! Tak, panie, płacz dziecka. Cała wieś zebrała się pod ich domem. Staliśmy i nie wiedzieliśmy, co robić, aż wreszcie Klars się zdecydował. Podniósł z ziemi ciężki, ostry kamień i z całych sił uderzył w kulę. Rikla wrzasnęła tak, żeśmy się wszyscy cofnęli, a Klars ciągle walił kamieniem. Wreszcie kula zatrzeszczała i pękła. W środku rzeczywiście było dziecko. Pośród lśniących, zielonych odłamków leżało zawinięte w żółtą tkaninę niemowlę. W Rikłę na widok dziecka jakby coś wstąpiło. Nie mieli dzieci i ona wymyśliła, że to podarunek od bogów. Chwyciła dziewczynkę i zabrała do domu, wołając, że to jej skarb i nikomu nic do tego. Zaczęliśmy się powoli rozchodzić, każdy miał po uszy roboty. Klars głupi nie był, uprzątnął i zatrzymał skorupy z kuli, a potem pokazał je kupcom w mieście. Okazało się, że to drogocenny kamień. No i zaczęli wtedy dostatnio żyć.

! Mówisz, że nie mieli dzieci, a dziewczynka powiedziała, że ma troje rodzeństwa.

Z nieba im spadły? ! spytałem.

! Nie, panie... Po tym, jak wzięli Immę, Rikla nagle zaczęła rodzić, i to zdrowe, dorodne dzieciaki. Teraz, gdy już ma swoje, to na dziewczynkę nawet patrzeć nie chce.

Mówi, że lepiej by było, żeby w lesie została. I dzieciaki we wsi jej nie lubią. Ona się nie bawi, tylko ciągle coś szepcze. Dziwna i tyle.

Gospodarz wstał i zaprosił mnie na wieczerzą, a ja przez cały czas myślałem o ufnej buzi Immy. Teraz wiedziałem już na pewno, że wezmę, ją ze sobą. W ten sposób została moją uczennicą, a raczej pomocnicą. Wszystkie moje słowa zapamiętywała natychmiast, nie to co te niedobre chłopaczyska! Przegoniłem ich, w żadnym nie było ani miłości, ani pilności.

Damunk chciał jeszcze coś dodać, ale widząc, że król rozpaczliwie walczy ze snem, zostawił go samego i na palcach wyszedł z sypialni.

Conan odprowadził go zamglonym wzrokiem, z trudem podniósł się z masywnego, rzeźbionego fotela i chwiejnie podszedł do drzwi. Nie chciał, by ktokolwiek, nawet królowa Zenobia czy najbardziej oddani słudzy, widzieli go bezbronnego, we władzy czarodziejskiego snu. A jeśli przeniknął tu jego wróg, który coś wywęszył i planuje zabicie potężnego króla? Porządne dębowe drzwi okute brązowymi sztabami muszą być zamknięte na ciężką zasuwę i bronić dostępu do głównej twierdzy królestwa ■

sypialni króla.

Sen kołysał, mącił wzrok i odbierał siły, ale Conanowi udało się jakoś przesunąć zasuwę. Nie szedł do łóżka, tylko padł jak podcięty na kobierzec i jego zniewolona dusza uniosła się do posępnej wieży Ragona Satha. Pędził w wirującym wicherze jęczących i piszczących spiral, które zwijały się i rozwijały wokół niego. Nie czuł, że gdzieś daleko, w sypialni królewskiego pałacu przywarło do niego dziewczęce ciało, kędzierzawa główka spoczęła na jego szerokiej piersi, a drobne ręce uczepiły się lodowatej obręczy.

Męczący wir zastąpiło miękkie kołysanie i Cymmerianin miał wrażenie, że znalazł

się na niewidzialnych morskich falach. Morze szeptało mu coś słodko i czule jak zakochana kobieta i Conan oddał się błogiemu uczuciu. Zapomniał o wieży, o Ragonie Sathu i o ostatnich, najbardziej niebezpiecznych drzwiach.

Nagle szemrzące fale zakolysały się mocniej, jedna z nich pochwyciła Conana, uniosła w górę i rzuciła gwałtownie na ciemnoczerwony kobierzec. Znowu znajdował się w tej klatce, znowu ręka w bezsilnej wściekłości zaciskała się na rękojeści miecza, który nie mógł ani przebić, ani zranić przekłętą maga. Czarownik siedział na swym lśniącem tronie wczepiony drapieżnymi palcami w złoty dysk, wpatrzony w twarz barbarzyńcy, jakby widział go po raz pierwszy.

Ciągle zmieniające się oblicze maga przybrało wreszcie ostateczną formę. Tym razem patrzyły na Conana krwistoczerwone oczy dziwnej istoty z wysuniętym do przodu dziobem. Gardło maga dławily rwące się na zewnątrz gniewne słowa, oczy ciskały czerwone błyskawice. Conan spokojnie przyjął przenikliwe, złe spojrzenie. Dwie wściekle, nienawidzące się nawzajem potęgi mierzyły się wzrokiem, nie mogąc się zniszczyć.

Wreszcie czarownik wybuchnął drwiącym śmiechem.

■ Po co ją przyciągnąłeś?■ wykrztusił wreszcie kipiące gniewem słowa. ■ Masz nadzieję, że wesolo spędzisz czas? A może za lekko ci było? Ty mi jesteś potrzebny, a nie twoja dziewczynka! Jak się tu dostałaś, mała łajdaczko? Ja, Ragon Sath, mocą swą i władzą wzywałem jego i tylko jego. Mów, jak się tu znalazłaś, albo spłoniesz jak sucha trzcina!

Conan słuchał słów rozwścieczonego maga i nic nie rozumiał. Dziewczynka? Jaka

dziewczynka? Nagle z tyłu, pod płaszczem poczuł czyjś dotyk. Ktoś tam stał i trzymał się rękami za jego szeroki pas, starając się ukryć przed ognistymi oczami rozeźlonego potwora. Conan puścił rękę miecza, wymacał szczupłą rączkę i wyciągnął zza pleców opierającą się dziewczynę.

! Imma, ty tutaj? Co mam teraz z tobą zrobić? To twoja sprawka, czarowniku!

Odeślij dziewczynę z powrotem, inaczej umrę, w tej przeklętej wieży, a do twoich ostatnich drzwi nawet nie podejść! Pluję na twoją potęgę, już mnie chyba trochę znasz!

Albo zrobisz, jak powiedziałem, albo nigdy stąd nie wyjdiesz! Będziesz czekał, aż urodzi się drugi podobny do mnie, albo szukał kogoś w Khitaju czy Vendhii. Tam ludzie są mali, ale zmyślni i potężni. Słyszałeś, co powiedziałem. Odeślij ją, i to tak, abym mógł się o tym przekonać! ! Zasłonił sobą Immę przed błyskiem rubinowych oczu i czekał na odpowiedź.

Jego słowa zakłopotwały maga i milczał, najwyraźniej stropiony. Zapadła ciężka cisza.

! Panie, to moja wina ! odezwał się drżący z przestachu dźwięczny głosik. ! Sama ośmieliłam się pójść za tobą. Jego czary nie mają tu nic do rzeczy, to tylko moje pragnienie. Nie wiem, jak mi się to udało. Będę z tobą na tej drodze i on nie może odesłać mnie z powrotem! ! Imma zdołała przezwyciężyć lęk i jej głos brzmiał teraz niemal triumfalnie.

Ragon Sath zmarszczył krzaczaste brwi, niemal skrywając płonące węgle oczu.

! Albo umieracie oboje ! wychrypiał ! a mogę. wam obiecać, że będzie to bardzo długa śmierć w strasznych męczarniach, zadośćuczynienie za niespełnione nadzieje, albo oboje zdobywacie dla mnie ostatni talizman. A wtedy odeślę was do Tarancii z życzeniami długiego i szczęśliwego życia. ! Mag zachichotał złowieszczo i wstał z tronu, wskazując drżącą ręką ostatnie drzwi.

Imma wysunęła się zza pleców Conana i pobięła w stronę nieruchomej zasłony.

Polyskująca wzorami tkanina w oślepiającym świetle białej kuli przypominała pomalowaną blachę.

Dziewczyna odchyliła brzeg płachty, z uśmiechem odwróciła się do Conana i wyciągnęła do niego rękę. Conan z przekleństwem na ustach podszedł bliżej, chcąc odepchnąć Immę od śmiercionośnych drzwi, ale nieznaną siłą już ciągnęła ich do przodu.

Za nimi leciały strzępy słów i wściekle wycie Ragona Satha, który dał upust swojej furii, ale szybowali już w gęstej, mlecznobiałej mgle, trzymając się za ręce. Oczy Immy błyszczały, wargi rozchyliły się w radosnym uśmiechu. Można by pomyśleć, że to najszczęśliwsza chwila w jej życiu.

! Coś ty nawyprawiała, dziewczyno! Nie masz pojęcia, gdzie jesteś! Ach, te kobiety! ! Conan nie ochłonął jeszcze z gniewu. Karciał głośno Immę, a echo podchwyciło i zwielokrotniło jego

słowa, zmuszając go do przejścia na szept. **! Wasza miłość pęta czasem wojownikowi ręce i nogi! Myślisz, że skoro tu jesteś, nic mi już nie grozi? To są męskie sprawy, a ty będziesz mi tylko ciężarem!**

Imma słuchała z uśmiechem, jakby niczego innego nie spodziewała się od rozgniewanego króla. Ścisnęła szczupłymi palcami ręce Conana i potrząsnęła tylko kędziorami.

! Nic o mnie nie wiesz, mój władco ! powiedziała szeptem, by nie zbudzić echa. **!**

Damunk opowiedział ci moją historię, ale o wszystkim zapomniałeś. Muszę być teraz z tobą, bo tylko ja mogę ci pomóc. Inaczej zginiesz! Kocham cię, panie, ale moja miłość nie ma tu nic do rzeczy. Muszę być tutaj i to jest najważniejsze. Moja intuicja nigdy jeszcze mnie nie oszukała. **! Oczy dziewczyny nadal się uśmiechały, ale w ich złotym blasku Conan zobaczył coś niedzieliście mądrego, równie starożytnego i magicznego jak w oczach Ragona Satha. Tylko oczy Immy patrzyły na niego czule i pobłaźliwie, jakby to on, potężny król Conan, był dzieckiem.**

Rzeczywiście, nie mógł sobie przypomnieć, co mówił mu Damunk. Wszystko wydawało się tak odległe, jakby działo się przed rokiem. Coś o kamiennym jaju. Czy kuli...

Imma patrzyła uważnie na posępną twarz króla. Nagle roześmiała się, a jej dźwięczny śmiech dobiegał zewsząd **! z dołu, z góry, z boków, z tyłu. Wydawało się, że nie są sami w tej mgle, że otacza ich wiele śmiejących się dziewcząt. Posępna zmarszczka pomiędzy brwiami wygładziła się i Conan mimo woli sam się uśmiechnął.**

! Przypomniałeś sobie, panie! Nie wiem, kim jestem i po co przybyłam na ten świat. Umiem tylko leczyć ludzi i postępować tak jak każe mi serce, a ono nigdy jeszcze mnie nie okłamało. Nie gniewaj się, rób, co masz robić, i o nic się nie martw. Zapomnij, że jestem kobietą! ! Chciała coś jeszcze dodać, ale poczuli, że szybko spadają i mocniej chwycili się za ręce.

Gdy stanęli na czymś twardym, Conan chwycił za miecz i chciał zrobić krok do przodu. Mgła rozpraszała się i gęstniała na przemian i nic nie zapowiadało jej opadnięcia.

Imma uczepliła się jego płaszcz z tyłu z taką siłą, że złota klamra ostrym brzegiem wbiła mu się w gardło.

! Nie ruszaj się! Stój! ! krzyknęła przenikliwie.

Conan odwrócił się gwałtownie, żeby zbesztać bezczelną dziewczynę, ale słowa uwięzły mu w gardle. Ze strzępów rozplywającej się mlecznej mgły powoli zaczęły się wylaniać zarysy dalekich gór, ostrymi szczytami wbijających się w zielonkawe niebo, a on stał niemal na krawędzi spadającej pionowo w dół skały. Jeszcze krok i koziolkując i odbijając się od ostrych jak noże grani, poleciałby w straszną przepaść, nad którą przesuwiała się mgła, odsłaniając i skrywając skały i uskoki, wąskie wąwozy i ogromne głazy.

Z tyłu rozległ się cichy jęk i klamra płaszcza znowu wpiła mu się w gardło. Conan cofnął się od krawędzi i gdy się obejrzał, Imma klęczała, zaciskając kurczowo palce na brzegu płaszcza. Po policzkach dziewczyny toczyły się wielkie łzy. Conan ukląkł przy niej, pogładził ją po ramieniu i przycisnął jej głowę do swej piersi.

! Wybacz mi, dziewczyno! Ty naprawdę wiesz, co robić. Gdzie nas zanosło?

Podniósł się i rozejrzał się uważnie. Mgła zniknęła zupełnie i przed nimi rozpościerała się dzika, górską kraina, niepodobna do gór, w których bywał Conan. Na takie skały nie zdołałby się wspiąć żaden śmiertelnik. Nawet Cymmerianin. Wyglądały jak ogromne, zrosnięte w potworne kiście skamieniałe groty kopii. Szczyty wzbijały się w niebo, a ich podnóża szczyrzyły się zębami mniejszych skał. Zbocza były zupełnie nieprzystępne. Gładkie granie mieniły się w promieniach jasnego słońca różnymi odcieniami granatu, szarości, purpury i czerni, tworząc obrazy przerażającego, demonicznego piękna.

Skala, na której się znaleźli, jeżyła się w dole kamiennymi ostrzami. Sam załom miał szerokość dwóch kroków i zaczynał się dokładnie tam, gdzie stali. Biegł w górę wokół ściany. Trzeba było iść do przodu, tam gdzie prowadziła niepewna ścieżka. Innej drogi nie było...

Conan ruszył zdecydowanie do przodu, przeszedł kilka kroków i obejrzał się na Immę. Szła za nim, ciągle jeszcze pochlipując. Nagle jego wzrok padł na miejsce, w którym byli jeszcze przed chwilą. Kamienna ścieżka osypywała się z cichym szmerem, zapadając w przepaść. Conan chwycił Immę za rękę i ponaglając ją krzykiem, ruszył pod górę. Niemal biegł, ciągnąc za sobą ledwie nadążającą dziewczynę. Gdy poczuł, że brakuje jej tchu, oparł się plecami o ścianę! obejrzał. Ta część ścieżki, którą mógł

zobaczyć, była jeszcze cała, ale dźwięk sypiących się drobnych kamieni rozlegał się bardzo blisko. Nie czekał, aż ścieżka ucieknie im spod nóg, tylko chwycił Immę, przerzucił ją sobie przez ramię i popędził do przodu, zahaczając ręką o ostre występy biegnącej w górę skały. Krucha dziewczyna nie ważyła zbyt wiele, ale na wąskiej ścieżce, która wila się węzowato wokół ogromnej skały, trzeba było bardzo uważać.

Starał się iść jak najszybciej. Nie mógł pozwolić zdradzieckiemu osuwisku deptać sobie po piętach. Gdy zatrzymał się dla złapania tchu, nie usłyszał za plecami szmeru osypujących się kamieni.

Król wywalczył sobie krótką przerwę. Lecz po chwili ścieżka za nimi znowu pokryła się drobnymi szczelinami i zaczęła się osypywać, niczym utwardzony piasek.

Najpierw spadły w dół drobne kamyczki, potem zaczęły odpadać całe plastry i oto już spory kawałek ścieżki zawałił się, obnażając gładką powierzchnię skały. Patrząc na jej szare granie, trudno było sobie wyobrazić, że przed chwilą była tu ścieżka.

Conan chwycił mocniej dziewczynę i pospiesznie ruszył dalej. Ścieżka to wila się wokół skalnych załomów, to biegła do przodu niemal równą dróżką, a oni zagubieni wśród skał pełzli

jak dwie mrówki, z uporem posuwając się naprzód ku niewiadomemu celowi.

Za kolejnym zakrętem ścieżka rozszerzała się. Conan postawił Immę na ziemi i obejrzał się, ciężko dysząc. Osuwisko nieustępliwie pożerało pokonaną przez nich drogę, ale gdy dotarło do miejsca, w którym ścieżka była szersza, zatrzymało się nagle. Ostatnie kamienie z szelestem spadły w dół i zapadła cisza. Conan słyszał tylko tętniącą głośno w skroniach krew i swój chrapliwy oddech.

Pot zalewał mu oczy. Otarł twarz połą płaszczą i obejrzał się, szukając Immy.

Skalami wstrząsnął jego gniewny ryk, odbijając się echem i zamierając w oddali.

! Na Croma! Gdzie podziałaś się, uparta dziewczyno?

Teraz, gdy obok niego nie było nikogo, z całą ostrością poczuł wrogość tych skał.

Wyczuł emanującą zewsząd nienawiść i obecność gotowej zniszczyć go w każdej chwili siły. Położył się na ziemi i wyjrzał, szukając żółtej plamy sukienki Immy. Ale widział

tylko skały, czarne zapadliny i wąskie wąwozy, niewiarygodnie głęboko.

! Wołałeś mnie, panie ! rozległ się w ciszy dźwięczny głosik. ! Chodź tutaj, chyba dotarliśmy do celu. To, czego szukasz, powinno być gdzieś niedaleko.

Conan zerwał się z zamiarem zwymyślenia samowolnej dziewczyny, ale tak się ucieszył, gdy wyłoniła się zza załomu skały, że gniewne słowa ulotniły się natychmiast.

Podszedł do niej w milczeniu. Teraz ona poszła przodem. Oglądała się raz po raz, a Conan szedł za nią, ściskając miecz w ręku, przygotowany na najgorsze.

Za zakrętem jednak zobaczył tylko spory placyk, z trzech stron otoczony stromymi, niemal pionowymi skałami, a z czwartej ogrodzony niewysokim, kamiennym murem.

Wyłom pośrodku ogrodzenia otwierał widok na urwistą skałę, spadającą pionowo w bezdenną przepaść. Conan podszedł do nieogrodzonej części i wychylił się ostrożnie. Stojąca obok niego Imma też wyjrzała, przytrzymując się ręką krawędzi muru.

Głęboko pod nimi, tak głęboko, że można było dziesięć razy umrzeć, zanim doleciało się na dno, ziała bezdenna, czarna

przepaść, okolona wieńcem zębatych skał. Im dłużej wpatrywał się w czarną rozpadlinę, tym bliższa się wydawała. Miał wrażenie, że unosi się do niego, kusząc i przerażając. Zapragnął nagle zrobić krok do przodu. Tylko jeden krok, a potem już tylko lot i wieczna błogość...

Z odrętwienia wyrwał go jęk, który rozległ się obok. Z całych sił wczepiona rękami w kamienie ogrodzenia, Imma walczyła ze sobą, by nie skoczyć w dół. Ją też przyciągała zdradliwa

czarodziejska siła.

Conan bez zastanowienia chwycił ją na ręce i rzucił się jak najdalej od krawędzi. Z

trwogą patrzył na zapadniętą, nieobecną twarz dziewczyny. Spod przymkniętych powiek płynęły łzy, wargi szeptały niezrozumiałe słowa.

! Puść mnie, Conanie ! usłyszał, gdy nachylił się nad nią. ! Jestem wreszcie. Muszę udać się tam, na dół. Tam jest mój dom. Wołają mnie.

Po raz pierwszy wypowiedziała jego imię. W tej czarnoksiężskiej krainie nie było już ani króla, ani uczennicy medyka. Był tylko Conan i mała Imma. Nie rozumiał łez szczęścia dziewczyny i zwróconego ku krawędzi placyku i błyszczącego wzroku.

Delikatnie posadził ją pod murem i usiadł obok niej, mocno ściskając drobną rączkę. Imma powoli dochodziła do siebie. Wreszcie otarła łzy i uważnie spojrzała w oczy Cymmerianinowi.

! Nie musisz mnie trzymać, nie skoczę ! rzekła. ! Jeszcze nie pora na powrót do domu, trzeba trochę poczekać...

! Na co? Ta przepaść mnie także zawróciła w głowie. Ja sam omal nie skoczyłem w dół. Siedź tu i niech ci nawet do głowy nie przyjdzie zrobić krok w tamtą stronę. Rozerwę płaszcz i zwiążę ci ręce i nogi, a wtedy dowiesz się, gdzie jest twój dom. ! Powiedział to na wpeł żartobliwie, ale dziewczyna zrozumiała, że jeśli ponownie spróbuje podejść do krawędzi, on naprawdę to zrobi.

Długo siedzieli w milczeniu, oparci plecami o nagrzaną słońcem skałę. Conan myślał, że lada chwila rozpęta się coś takiego, czego nawet nie jest w stanie sobie wyobrazić, a wtedy będzie musiał jednocześnie szukać talizmanu dla Ragona Satha i pilnować szalonej dziewczyny. Może rzeczywiście powinien ją związać?

Już miał zacząć drzeć płaszcz, gdy Imma dotknęła jego ręki. Dziewczyna wyciągnęła szyję, nasłuchując. Conan też wstał i wytężył słuch, ale niczego nie usłyszał, tylko poczuł, że coś zatkało mu uszy. Widział, że Imma mówi coś do niego, nie dosłyszał

jednak ani jednego dźwięku. I nagle ciszę rozdarł straszny łoskot gromu, góry drgnęły i Conan upadł na dziewczynę, osłaniając ją swym ciałem przed niewidocznym niebezpieczeństwem.

Echo zwielokrotniło potworny huk i umilkło, tylko w oddali rozlegały się jeszcze słabe odgłosy. Conan uniósł głowę i rozejrzał się. Od takiego huku powinny runąć góry, ale nic takiego nie nastąpiło. Znowu zapadła cisza.

Imma wstała, wpatrując się w górę jakby w oczekiwaniu. Conan spojrział na otaczające placyk strome skały. Szczyty kończyły się wysoko w górze jak ucięte gigantycznym nożem. Nagle z nieba dobiegł niezbyt głośny dźwięk, jakby ktoś wysypywał z worka orzechy. Odgłos narastał, przemienił się w huk i po zboczu potoczyło się coś okrągłego i lśniącego w słońcu. Potem stoczył

się jeszcze jeden błyszczący, kulisty przedmiot, po nim kolejny. Imma wykrzyknęła radośnie, z całych sił ściskając rękę Conana. Prosto na nich toczyło się kilkanaście stukających o siebie, podskakujących kul.

Wypadły lawiną na placyk, dotarli do krawędzi, ale tylko niektóre ześliznęły się w przepaść przez wylom.

Różnej wielkości kolorowe kule turlały po placyku w stronę muru, a z góry ciągle spadały nowe. Największe, wielkości koła od wozu, odtaczały się powoli na boki, a najmniejsze, nie większe od owocu granatu, zasypywały całą wolną przestrzeń.

Conan pochwycił Immę i przywarł do ściany, czując, że jeszcze chwila i kamienne kule rozgniotą ich i pogrzebią. Nagle dziewczyna, która do tej pory obserwowała kule, nasłuchując w skupieniu, odepchnęła mocno Conana i skoczyła do przodu, w stronę największego skupiska skaczących kul. Conan chciał ją powstrzymać, lecz ogromna kula podtoczyła się do jego nóg. Nim ją ominął, Imma była już daleko.

Uchylała się zręcznie przed lecącymi kulami, przeskakiwała z jednej na drugą i nagle znikła. Conan jęknął. Nie mógł jej w żaden sposób pomóc. Bogowie, i po co ta głupia dziewczyna przywlokła się tu za nim? Wprawdzie na krawędzi załomu uratowała mu życie, ale co z tego? Teraz te okrągłe kamienie rozwalkują ją, a potem zmiążdżą go, zanim zdoła zrozumieć, po co się tu znalazł.

W porwywie niepohamowanej furii wyciągnął miecz i zrobił zamach, żeby choćby w ten sposób wyładować rozpacz i złość. Niech sobie będą bezdusznymi kamieniami, niech go przysypią, ale on umrze jak wojownik, z mieczem w ręku i nienawiścią W sercu!

Lawina kamiennych kul na chwilę ustała, powstrzymywana niewysokim murem i wtedy Cymmerianin zobaczył Immę, pewnie stojącą na jednej z kul. Wyłoniła się z tego chaosu niczym żółty kwiatek i wyciągała ku niemu ręce z niewielką, seledynową kulą.

! Rzuć miecz, Conanie, i łap ją szybko! To jest to, czego szukasz! Nie wypuszczaj jej z rąk, nawet gdyby groziła ci śmierć!

Conan rzucił miecz i chwycił kulę. W tym samym momencie Imma zeskoczyła i znowu zniknęła wśród okrągłych, kolorowych kamieni. Z góry znowu potoczyły się nowe kule i niewysoki murek nie wytrzymał naporu. Barwna lawina z triumfalnym loskotem runęła w przepaść.

Conan znieruchomiał. Z przerażeniem patrzył na skaczące w dół kule, które pociągnęły za sobą Immę. Raptem w tym niewyobrażalnym hałasie usłyszał radosny, dźwięczny głosik.

! Wróciłam do domu! Żegnaj, Conanie! Pamiętaj, nie wypuszczaj jej z rąk!

Wydawało się, że lawina kul spadać będzie w nieskończoność, ale wreszcie loskot ustał. Placyk znowu był pusty i tylko odłamki murku przypominały o tym, co stało się przed chwilą.

Trzymając w jednej ręce kulę, Conan podniósł miecz i włożył go do pochwy. Miecz to najpewniejszy i najwierniejszy przyjaciel, nie można go tak po prostu zostawić w tej czarodziejskiej krainie. Conan przełożył kulę do drugiej ręki. I znowu poczuł to samo, co czuł zawsze, dotykając innych części talizmanu. Ani dziób czarnego Ofry, ani purpurowe serce podziemnego kwiatka, ani puchar z Szaissy, ani bransoleta kobiety Iłmii, ani bicz ludojadów, ani zielona kula nie chciały się z nim rozstawać. Dopiero teraz, gdy zdobył

ostatnią część talizmanu, Conan w pełni to pojął. Gdyby wszystkie te przedmioty mogły mówić, zapewne krzyczałyby jak Imma: „Nie wypuszczaj z rąk! Nie wypuszczaj!”.

Nagle zapragnął jeszcze raz zajrzeć w dół, tam, dokąd odeszła Imma. Powoli podszedł do krawędzi placyku i przyciskając mocno kulę do piersi, chwytając się ręką za krawędź muru, pochylił się nad bezdenną przepaścią, żegnając się w myślach z Imma.

Na dole znowu kłębiła się biała mgła, przesłaniająca góry, wąwóz i czarną przepaść.

Conan wstał z kolan i już miał odejść od krawędzi, gdy nagle zauważył, że mgła unosi się powoli, przybierając kształt ludzkiej postaci. Jej zarysy stawały się coraz wyraźniejsze i oto przed Conanem stał, sięgający nogami dna przepaści, a głową wierzchołków gór, majestatyczny starzec z oślepiająco białymi włosami. Nad jego głową rozlewał się złoty blask, po długich szatach utkanych z obłoków przebiegały co chwila bezgłośnie błyskawice.

Conan mimo woli znowu padł na kolana i pochylił głowę. Nie mógł patrzeć w bezdenne, niebieskie oczy starca. Nagle rozległ się loskot, który wstrząsnął placykiem i echem odbił się od skał.

■ Cymmerianinie, nie licz na wdzięczność uwięzionego w wieży ■ przemówił

starzec. — Ten, który tam na ciebie czeka, szykuje się do najbardziej okrutnych i ohydnych czynów! Przybyłem, by cię ostrzec i uratować.

Conan zerwał się i mrużąc oczy przed nieznośnym blaskiem, chciał o coś zapytać, ale głos zagrzemiał znowu.

■ Milcz, królu, i słuchaj! Temu plugawemu robakowi spodobało się twoje ciało, twoje królestwo i twoja królowa. Gdy oddasz mu kulę, stanie się królem Conanem, a ty zajmiesz jego miejsce. Ale wtedy w wieży będzie już dwanaścioro drzwi. A czarownik żyć będzie na ziemi tak długo, jak długo trwać będzie twoja niewola.

Conan zaryczał, nie hamując wściekłości. Z całych sił uderzył pięścią w skałę.

Złośliwe echo natychmiast pochwyciło jego ryk i długo odbijało od skały do skały. Ale ostry ból i krew, która popłynęła z rany, sprawiły, że oprzytomniał.

■ Ale bogowie nie znoszą niesprawiedliwości ■ dosłyszał znowu głos starca. ■

Winy musi ponieść karę! Tysiąclecia nie zdołały zmienić zdradzieckiego usposobienia maga, a więc jego życie dobiega końca. Posłuchaj, królu. Za chwilę znowu staniesz przed tym pomiotem piekieł. Wówczas, nie oddając mu kuli, będziesz musiał wypowiedzieć zaklęcie. To jest kara bogów i ty ją wykonasz! Powtórzysz zaklęcie sześć razy, zapamiętaj je!

Hathima saho! Hathima sahol Hathima sahol... I echo powtarzało zagadkowe słowa na wszystkie sposoby. Głos starca powoli cichł, zarysy postaci traciły wyrazistość.

Wkrótce ogromny, złocisty obłok powoli popłynął w górę. Niczym już nie przypominał majestatycznego posłańca.

Conan odsunął się od krawędzi przepaści, podszedł do skały, na którą już zaczynały napływać z dołu strzępy mgły, i usiadł na ziemi z kulą na kolanach. Nagle ostry poryw wiatru uderzył go w twarz i Conan zmrużył oczy. Wiatr wiał coraz silniej, syjąc w oczy garściami piasku. Conan zasłonił twarz dłonią i pochylił głowę. Wiatr wyl wściekle i wirował, szarpiąc włosy Cymmerianina i tarosząc jego ubranie. Potem ucichł równie niespodziewanie, jak się pojawił. Conan podniósł głowę i zobaczył wpatrzone w siebie płonące oczy Ragona Satha.

Powstał z kobierca, zrobił krok do tyłu i oparł się plecami o miedzianą ścianę wieży. Teraz nie było tu już żadnych drzwi, tylko połyskujący matowo metal. Czarownik siedział na swoim tronie, przyciskając ręką do piersi magiczny dysk. Drugą ręką wyciągnął do Conana:

I Daj mi go szybko, a zwrócę ci wolność! Szybciej, czemu zwlekasz?

Kula w rękach Conana nie drgnęła, ale jemu wydało się, że bije w niej żywe serce.

Może to serce Immy? Przycisnął kulę do piersi tak mocno, jak czarownik przyciskał swoją część talizmanu.

I Nic z tego I powiedział. I Najpierw zdejmij ze mnie obrożę i odeślij mnie do domu. Dopiero wtedy dostaniesz kulę!

Czarownik nie wierzył własnym uszom. Wstał z tronu i wznosił się nad Conanem.

I Cóż to, nie wierzysz mi, śmiertelniku I zasyczał gniewnie. I Ty, który żyjesz tylko dlatego, że ja tego chcę, śmiesz mi stawiać warunki? Myślisz, że skoro nie zginąłeś za drzwiami, mnie także zdołasz się oprzeć? Jak śmiesz się ze mną równać! Daj talizman!

Zrobił krok w stronę Conana, wyciągając trzęsącą się rękę. Conan wyszarpnął

miecz, lecz w tym momencie klinga rozsypała się w srebrny pył. Ręka czarownika była coraz bliżej, na końcach haczykowatych palców trzeszczały iskry, pazury niczym stalowe kindżały już miały dosięgnąć Cymmerianina.

Zimne, niebieskie oczy Conana spotkały się z płonącymi wściekłością oczami czarownika i z wykrzywionych w złośliwym uśmiechu ust Cymmerianina spłynęły dwa tajemnicze słowa.

! Hathima saho!

Czarownik osłupiał. Nie spuszczał płonącego wzroku z tego, co znajdowało się w rękach Conana. Zamiast kuli Cymmerianin trzymał w dłoni złoty trójkąt, ostatni element talizmanu, klucz do wolności. Dziki ryk złości i furii wstrząsnął ścianami wieży, mieszając się z loskotem, który nagle rozległ się za plecami Conana. Król błyskawicznie odskoczył na bok. Zobaczył, że w ścianie znowu pojawiły się drzwi, a zza nich zaczął

spadać z nieba rzęsy deszcz kamiennych kul.

Odskakując ku przeciwległej ścianie, czarownik machnął ręką i w stronę Conana poleciała ognista strzala.

! Hathima saho!

Strzala uderzyła w ścianę obok Cymmerianina, otwierając następne drzwi. Oparta na zakrwawionym ogonie patrzyła nienawistnie na czarownika królowa żmij, szczerząc drapieżnie jadowite zęby.

Z dysku, który czarownik kurczowo przyciskał do piersi, z lekkim trzaskiem odskoczył lśniący fragment i poleciał w stronę Conana. Cymmerianin pochwycił go w locie i przyłożył do trójkąta, który trzymał w ręku. Kawalki talizmanu zrosły się z cichym trzaskiem.

Czarownik zrozumiał wszystko.

! Powstrzymaj się! ! wykrzyknął przerażony. ! Milcz! Zlituj się! Odeślę cię do domu, daruję niezmierzone bogactwa, będziesz niezwyciężony i wszechmocny! Nie mów już ani słowa, oddaj mi talizman, a zrobię wszystko, co zechcesz!

Chichot Cymmerianina zagłuszył ostatnie słowa maga i w wieży znowu rozległo się niczym huk gromu:

! Hathima saho!

Kolejne drzwi otworzyły się z loskotem i do wieży wsunęły się dwa ogromne rogi, mignęło wściekle oko Hoca. Wieża drgnęła, wydawało się, że rozniesie ją, tak jak niedawno rozniósł kamienny dom.

Wyjąty czarownik próbował schować się za lśniącym tronem, ale trzeci kawalek talizmanu wyrwał się z jego rąk i przemienił tron w stertę tęczowych odłamków.

Teraz Conan trzymał w dłoniach połowę dysku i z triumfem patrzył na czarownika, który upadł

na podłogę, ściskając trzy złote trójkąty.

! Hathima saho!

Wieża zakolysała się i w czwartych drzwiach, które otworzyły się za plecami Ragona Satha, zamigotały ohydne mordy demonów Szaissy. Piszcząc, skowycząc i chichocząc, stwory wyciągały do czarownika ręce, trąby i macki. Zdążył odskoczyć w ostatniej chwili, z trudem wyrывая z czyjejś chwytilwej łapy brzeg swojej szaty. Broniąc się przed potworami, omal nie wypuścił z rak pękniętego talizmanu. Ściskając w ręku dwa kawalki, z jękiem padł na kolana.

! Zmiluj się, potężny królu! Będę ci służył jak wiemy niewolnik! Każde twoje żądanie zostanie natychmiast spełnione! Milcz, nie mów już niczego więcej! Aaaaa!...

! Hathima saho! Dobrze ci tak, Nergalowy pomociu! Moje żądanie już się spełniło, niczego więcej nie potrzebuję! Oho, są goście z jaskini! No, czarowniku, zaraz cię podszczypią!

Przez otwarte drzwi wleciało kilka zębatach stworów i z ohydnyu piskiem zapikowało na skurzonego Ragona Satha. Za nimi próbował się wcisnąć ogromny potwór z zębatach, kłapiącymi szczękami.

Dygocząc czarownik podpełził do ostatniej ściany, wczepiając się rękami w ostami fragment jeszcze niedawno całego talizmanu. Ale chociaż z całych sił zaciskał go w posiniałych palcach, złoty trójkąt wyrwał się i poleciał w stronę Conana, natychmiast łącząc się z pozostałymi czterema kawalkami.

! Oto kres twojej nieśmiertelności, potężny czarowniku! Zostało ci już tylko kilka chwil życia... Rozejrzyj się, oni wszyscy tylko czekają na moje ostatnie słowa, by móc rzucić się na ciebie! Lecz tę przyjemność rezerwuję dla siebie! Hathima saho!

Obręcz na szyi Conana pękła z brzękiem.

Przyciśnięty do ostatniej ściany czarownik omal nie wypadł na zewnątrz, ale w tym samym momencie skoczył z powrotem, wyjąc. Czarny Offa z bezkształtną, wyszczerzoną paszczą i złowieszczymi, czerwonymi oczami szedł prosto na niego, przepychając ogromnymi skrzydłami swoje niezgrabne ciało.

Ręce czarownika rozchyliły się, wypuszczając złoty trójkąt, i Ragon Sath przekościolkował po ostrzych odłamkach. Charcząc, drapał wściekle palcami szyję. Conan pochylił się i zobaczył, że szyję Ragona Satha zdobią teraz dwie stalowe obręcze.

Miotające się w drzwiach demony nie śmiały wdrzeć się do wieży. Ze strachem patrzyły na Conana i jaśniejący dysk. Zjeżony i pomarszczony czarownik kwiczał i wił się na podłodze u jego stóp. Cymmerianin z żalem spojrział na pustą pochwę.

! Ech, gdybym miał teraz mój miecz ! wykrzyknął. ! Tak mi się nie chce brudzić rąk! Ale to ja

cię zabiję, plugawy lajdaku! Pełzaj, wij się, i tak nie masz dokąd uciec!

Nagle złoty dysk zaczął się wydłużać i przybrał znajomy kształt. Dłoń odruchowo schwyciła za rękojęść i oto w ręku Conana lśnił już złotym blaskiem ciężki, bojowy miecz z dziwnymi znakami na klindze.

Czarownik jak szczur miotał się od drzwi do drzwi, ale wszędzie witały go wyszczerzone paszcze, ostre rogi albo lawina kamiennych kul. Conan chichocząc, poganiał go jeszcze chwilę, wreszcie zamachnął się mieczem, zadając czarownikowi cios w głowę. Na wszystkie strony trysnęły ogniste iskry i ciało Ragona Satha zaczęło przemieniać się w czarną głoźnię. Języki białego płomienia płały po niej, pożerając to, co jeszcze niedawno było potężnym magiem.

Nagle ściany wieży drgnęły, rozchyliły się niczym płatki niespotykanego kwiatu i opadły w dół. Conan stał na sześciokątnym placyku, wśród odłamków i czarnych strzępów sadzy, ściskając w rękach sześciokątny talizman.

Nad nim jaśniało poranne niebo. Wylaniające się z za horyzontu słońce lekko czerwieniło obłoki, świeży, poranny wietrzyk przyjemnie owiewał twarz. Conan podszedł

do krawędzi, ostrożnie spojrział w dół i natychmiast odskoczył. Przeklęty czarownik, pomiot Nergala, nawet po śmierci zostawił go w pułapce! Ziemia w dole była niemal niewidoczna. Nawet ptaki tu chyba nie dolatywały. Na Croma, jakby mu się teraz przydały latające sandały z Szaissy, a zamiast nich ścisnął w ręku kawałek metalu. Jeśli dla czarownika talizman znaczył tak wiele, to na co on jemu, Conanowi? Ledwie zdążył to pomyśleć, gdy talizman zaczął rosnąć. Stawał się coraz cięższy. Ściskając go w rękach ostatkiem sił, Conan klął głośno, wspominając wszystkich magów i czarowników, żywych i martwych. Ale to nie dodało mu sił i ręce same się rozchyliły.

Dysk, teraz wielkości ogromnego stołu, zawisł nad podłogą bylej wieży na wysokości kolan i lekko trącił Conana. Cymmerianin wskoczył szybko na środek i złoty dysk powoli odpłynął w bok. Zobaczył ogromny słup, wynurzający się z dołu, z samego serca dzikich gór. Stała za nim miedziana klatka, więzienie Ragona Satha.

Na oczach Conana słup rozplynał się, jakby uwity z dymu, i poranny wiatr rozwiał szare strzępy.

Nagle dysk pod jego nogami drgnął, zakolysał się i Conan poczuł, że spada w dół.

Próbował chwycić krawędź, ale zamiast twardego metalu ręka ścisnęła jedwabną tkaninę.

XI

Poczuł, że leży wtulony twarzą w coś miękkiego. Przez cały czas próbował

wymacać brzeg dysku, lecz ręce ślizgały się po jedwabiu. Uniósł głowę i rozejrzał się.

Dookoła siebie zobaczył przedmioty, które wydały mu się znajome. Wreszcie, jakby wynurzając się po długim, ciężkim śnie, doszedł do siebie. Koniec. Jest w Tarancii, w pałacu, w swojej sypialni. Jest wolny. Ręka sięgnęła do gardła i nie znajdując przekłętej obroży, z ulgą opadła na koldrę.

Król przekręcił się na plecy i leżał tak przez chwilę, nie otwierając oczu i słuchając śpiewu ptaków za oknem. Kolejnego plugawego czarownika mniej na ziemi! Crom dał

jemu, Conanowi, siłę, by uwolnił świat od tego potwora. Tak, sił mu nie brak, ale już dawno pora przekazać je dalej. Ta myśl sprawiła mu ogromną radość, król zaśmiał się i zerwał z pomiętej pościeli.

Drzwi królewskiej sypialni otworzyły się i Damunk z radosnym okrzykiem podbiegł do swojego króla. Poczzerwieniałe od bezsennej nocy i niepokoju oczy starego medyka świeciły się radością. Widząc, że na szyi Conana nie ma już obroży, medyk uniósł

ręce.

! Chwała bogom! Potężny król nareszcie jest wolny! Nadszedł koniec wszechwładzy przekłętego Ragona Satha!

! Tak, Damunku, już go nie ma, nawet jego popioły rozwiały się na wietrze. Ależ on cuchnął! Hej, który tam, przynieście mi dzban wina, a chyżo! Tego cierpkiego, czerwonego, chcę jak najszybciej splukać ten zapach i zapomnieć o koszmarach!

Na jego głośny, wesóły krzyk przybiegli czuwający nieopodal słudzy, niosąc wino, owoce, chleb i pieczone mięso. Conan zaproponował medykowi, by przed udaniem się na spoczynek pokrzepił się razem z nim i słudzy nalali w złote puchary ciemnoczerwone wino, po czym oddalili się z szacunkiem. Król usiadł naprzeciwko Damunka, osuszył

kilka pucharów.

! Swojej pomocnicy więcej nie zobaczysz ! powiedział. !Będziesz musiał poszukać innego pojętnego ucznia i przekazać mu swoją mądrość.

! Co się z nią stało? Co się stało z małą Imma, królu? Gdzie ona jest? Czy Ragon Sath...

! Nie, nie Ragon Sath, to ona sama... Potem ci wszystko opowiem... ! Conan sposepniał, podszedł do okna i otworzył je. Do komnaty wdarły się młode głosy i brzęk mieczy. Cymmerianin wyjrzał i przyglądał się przez chwilę. ! Patrz, oto, kogo po-trzebujesz ! zawołał do Damunka. ! Chodź tu, szybciej!

Teraz już obaj wyglądali przez okno. Na podwórzu, nieświadomi obecności króla i nadwornego

medyka, paziowie walczyli ze sobą drewnianymi mieczami. Bawili się, naśladując dorosłych wojowników. Przed Conanem i Damunkiem rozwinął się mały turniej rycerski. Nie rozumiejąc, co w tej zabawie przykuło uwagę króla, medyk zaczął się przyglądać uważniej. Wreszcie zrozumiał.

Jeden z chłopców, Ordig, wyraźnie się wyróżniał. Damunk przypomniał sobie, że już wcześniej zwrócił uwagę na tego chłopca o złocistych włosach i zamyślonych, szarych oczach. Marzyielski wzrok i nieschodzący z młodzieńczej twarzy delikatny uśmiech, na której nie było jeszcze śladu pierwszego puszku, w żaden sposób nie pasowały do jego odwagi oraz zręczności i umiejętności posługiwania się bronią. Inni chłopcy od dawna wymachiwali mieczami bezładnie, a Ordig, uśmiechając się i popatrując na kwitnące drzewo w kącie podwórca, z zadziwiającą precyzją parował ciosy przeciwnika, chociaż widać było, że myślami jest daleko stąd.

! Poznajesz ten wzrok, Damunku? I ten uśmiech... Już wcześniej się zastanawiałem, kogo on mi tak przypomina, a teraz widzę...

! Tak, panie, to jej spojrzenie i uśmiech. Gdzie ja miałem oczy? No tak, wtedy była Imma i nie szukałem innych uczniów. Ale teraz... Teraz już widzę, że ten chłopiec ma ukryte zdolności. Czyj to syn?

! Koniuszego Marda. Jak na wojownika za mało w nim złości, a do twojego rzemiosła w sam raz. Bierz go na ucznia.

Ogromna, ognista kula słońca płonęła już na zachodzie, gdy Conan i Damunk wyszli wreszcie na galerię. Stali teraz obaj w milczeniu, słuchając dobiegającej z ogrodu delikatnej muzyki. Conanowi ta smutna melodia wydała się znajoma. Posłuchał uważ-

niej i przypomniał sobie. Była to stara cymmeryjska pieśń o dziewczynie, którą porzucił ukochany, by wyruszyć na poszukiwanie szczęścia na innych ziemiach...

Conan drgnął, jego oczy błysnęły łobuzersko.

! No, medyku, idź i odpoczywaj. Ja mam ważną sprawę do załatwienia. Zaraz rozgonię te płaczki! ! Przeskoczył lekko przez balustradę i znalazł się w ogrodzie.

Po chwili Damunk usłyszał piski i śmiech. Obok galerii, tuląc do piersi flety, przebiegli muzykanci i śpiewaczki, pomiędzy drzewami mignęła postać króla, niosącego na rękach swoją królową.

Document Outline

- [Conan i Sześć Wrót Strachu](#)
 - [I](#)